

COLIN FORBES

Burza krwi

Lesiojat

Prószyński i S-ka

COLLINS FORBES

Burza krwi

Przełożył: Krzysztof Sokołowski
Tytuł oryginalny: Blood storm

Data wydania oryginalnego 2004
Data wydania polskiego 2006

Powieść z cyklu „TWEED” - tom 22

Prolog

Tweed jadł znakomitą solę z Dover w towarzystwie bardzo pięknej i bardzo przestraszonej kobiety. Przyglądał się jej przez szerokość stolika. Miała gęste jasne włosy opadające na odsłonięte ramiona.

Piękno jej ciała podkreślała droga, obcisła fioletowa suknia. Uniósł w górę kieliszek wina, ale nie przyłożył go do ust.

- Wydaje mi się pani osobą bardzo potrzebującą opieki - zarzucił haczyk. - Martwi panią coś... czy może ktoś? Bob Newman sugerował, że nalegała pani na spotkanie, by poprosić mnie o radę.

- Jest pan zastępcą dyrektora SIS, był pan jednym z najszynniejszych detektywów starego Scotland Yardu. Oczywiście, że chcę pana prosić o radę. Niepokoi mnie uwaga, jaką zwrócił na mnie bardzo potężny człowiek.

- Nazwisko tego człowieka?

- Mam wrażenie, że nie powinnam go jeszcze ujawniać. Mogę się mylić.

- Do niczego nas to nie prowadzi.

Tweed rozejrzał się po Mungano's, najmodniejszej restauracji Londynu. Sala ośmioboczna, z oknami wychodzącymi na Tamizę, była niemal pełna. Zamówił dyskretny stolik i teraz siedzieli w rogu, z dala od szmeru głosów i brzęku kieliszków.

Restauracja Mungano's, nosząca nazwisko właściciela, została otwarta zaledwie pięć miesięcy temu, a już trzeba było być osobą znaną, by dostać stolik... albo zarezerwować go kilka tygodni wcześniej. Przeważali kelnerzy, choć ostatnio Mungano zatrudnił kilka kelnerek, które oczywiście pracowały w wieczorowych sukniach. O fartuszkach nikt tu nigdy nie słyszał.

- Muszę przemyśleć kilka spraw - wyjaśniła Viola. - Mam nadzieję, że nie uzna pan spotkania ze mną za marnowanie czasu.

- Skądże znowu, skoro miałem przyjemność zjeść kolację w towarzystwie kogoś tak niezwykle atrakcyjnego jak pani.

Tweed uśmiechnął się, pochylił kieliszek w jej stronę, wypił wino. Poprzez szklankę obserwował siedzącą naprzeciw niego kobietę.

Zaledwie czterdziestoletnia Viola była klasyczną pięknoscią. Miała jasne brwi, piękne niebieskie oczy, prosty rzymski nos, zmysłowe usta i mocno zarysowany podbródek. Mówiła miękko, lecz przekonującym głosem. Przypomnił sobie, jak doszło do spotkania. Wszystko zaczęło się dziś rano, w kwaterze głównej SIS mieszczącej się na pierwszym piętrze starego budynku przy Park Crescent.

- Muszę cię prosić o przysługę - powiedział Bob Newman, jeden z najważniejszych członków zespołu SIS, gdy tylko Tweed zasiadł za biurkiem.

- Niech to będzie coś wartego uwagi.

- Ktoś, kogo znam, choć prawdę mówiąc niezbyt dobrze, ma jakieś informacje dotyczące Konspiracji. Chodzi o Violę Vander-Brow-ne. Może o niej słyszałeś?

- Nie słyszałem.

- Doskonale wykształcona, Roedean i w ogóle. Nie jest jednak przeciętną kobietą z wyższych sfer. Potrafi rozmawiać nie tylko o modzie i najnowszym kochanku.

Konspiracja! To jedno słowo opisywało największy kryzys, z jakim Tweed miał do czynienia. Trzej młodzi podsekretarze stanu stworzyli plan połączenia SIS, MI5, policji i Straży Przybrzeżnej w jedną służbę bezpieczeństwa, nazwaną Służbą Bezpieczeństwa Państwowego.

Na myśl o tej instytucji Tweedowi ciarki chodziły po skórze. Już zdążył dobitnie dać do zrozumienia, że sprzeciwia się całym sercem. Gdyby ten plan zrealizowano, Wielka Brytania uczyniłaby wielki krok w kierunku państwa policyjnego.

- A skąd się w tym wzięła Viola Vander-Browne? - spytał ostro.

- Jak rozumiem, zna kogoś z Konspiracji. Nie wiem kogo. Chce z tobą pogadać. Nic z niej nie wyciągnąłem. Będzie rozmawiała tylko z szefem. Czyli z tobą.

- Nie jestem pewien, czy to dobry pomysł. - Tweed wzruszył ramionami.

- Jest moją znajomą - zaprotestował bez przekonania Newman.

- Tak teraz nazywasz swoje dziewczyny? - zakpiła Paula Grey, siedząca w kącie pokoju przy komputerze. Atrakcyjna brunetka była pierwszą asystentką Tweeda i ważnym członkiem zespołu SIS. Tweed podziwiał przede wszystkim jej błyskotliwą inteligencję.

Newman dobiegał czterdziestki, miał dobrze ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, kamienną twarz z jakiegoś powodu bardzo podobającą się kobietom i ciemne włosy. Często się uśmiechał; na uwagę Pauli też zareagował uśmiechem i mocno, żartobliwie klepnął ją w ramię. Paula nie pozostała mu dłużna, uderzyła pięścią w jego pięść.

- Viola ma mieszkanie na Fox Street, przy Covent Garden - mó wiał dalej Newman do Tweeda. - Jest zamożna. Jej rodzice zginęli w wypadku samochodowym, odziedziczyła spory majątek. Czasami jednak potrafi nieźle zarobić.

- Jak? - spytał Tweed, bo Bob zamilkł na długą chwilę.

- Nie myśl, że jest tak, jak się wydaje, ale od czasu do czasu zaprasza na noc mężczyznę. Doskonale zna wszystkie kobiece sztuczki, tak dobrze, że goście płacą jej za tę przyjemność dwadzieścia tysięcy funtów. Jak rozumiem, bez targów.

- No tak - wtrąciła Paula. - Wysokiej klasy cali girl.

- Wcale nie! Ach, ta wiktoriańska moralność!

- Wiesz, że wcale nie jestem wiktoriańska - zdenerwowała się Paula. - Potrafię dostosować się do okoliczności. Mogę rzucić w ciebie komputerem.

- Spokój, proszę! - przerwał im te przekomarzania Tweed. - Co jeszcze wiesz o Violi, Bob? Podejrzewasz, że jeden z jej mężczyzn należy do Konspiracji, mam rację?

- Nie jestem pewien. Ale ona bardzo chce się z tobą zobaczyć i ma ci coś do powiedzenia. Wiedziałem, że się zgodzisz. Zarezerwowałem wam dyskretny stolik w Mungano's, tej twojej nowej ulubionej restauracji.

-i nie uznałeś za stosowne się ze mną skontaktować. Dobra, w porządku, rozumiem, działałeś pod wpływem chwili. Na którą?

- Siódmą. Viola wcześniej chodzi spać. Musiałem wspomnieć o tobie samemu Mungano.

- Niech będzie - powiedział Tweed szorstko. Nie miał pojęcia, że w ten sposób

wplątał się w najgroźniejszą przygodę w życiu.

Obserwując Violę podczas deseru, Tweed przypominał sobie wszystkie otrzymane od Newmana informacje. I uświadomił sobie, że ona też go ocenia. Miała przed sobą mężczyznę w okularach w rogowej oprawie, spoczywających na mocno zarysowanym nosie, o niebieskich oczach zdolnych, jak sądziła, przejrzeć ją aż do głębi duszy, zdecydowanych ustach i szczęce świadczącej o sile charakteru. Od pierwszego rzutu oka sprawiał wrażenie człowieka inteligentnego i bardzo pewnego siebie. Pomyślała, że zaczyna go lubić.

- Zna pani wielu ludzi... mam na myśli ludzi liczących się w strukturach władzy? - spytał.

- Jeśli ma pan na myśli sławy, jak głupio się ich dziś nazywa, nie. Unikam ich jak zarazy. To zera nadęte przez media. Ludzie, których znam i między którymi się obracam, są mądrzy.

- Czy są wśród nich przedstawiciele władzy, których mógłbym znać? - naciskał Tweed.

Przy ich stoliku pojawiła się kelnerka. Postawiła szklanę przed nim, kieliszek przed Violą.

- Dla pana margarita, dla pani szampan. Z pozdrowieniami od kierownictwa. I znikła. Tweed spostrzegł tylko, że była wysoka, szczupła, miała czarne, gładko zaczesane włosy obejmujące jej głowę jak hełm i ubrana była w czarną suknię. Spojrzał na swój drink, później na Violę.

- Ostatni raz piłem margaritę w Lubece, nad Bałtykiem - powie dział. - Pewien twardeł próbował wyrzucić mnie z okna. Skończyło się na tym, że sam wyleciał przez to okno, z dwóch pięter na bruk.

Wypił maleńki łyk margarity, nie więcej niż piątą część szklaneczki. Miała dziwny smak. Viola wyciągnęła palec o idealnie przyciętym, pomalowanym blad różowym lakierem paznokciu. Dotknęła krawędzi szklanki, podniosła palec do ust.

- Sól ! - krzyknęła cicho, zdziwiona.

- Sól jest niezbędnym składnikiem tego drinka. Nigdy pani nie piła margarity? Jest niebezpiecznie mocna... chyba że człowiek się do niej przyzwyczai.

- Poprosiłabym o łyżeczkę, ale wracam do domu samochodem. - Viola zerknęła na zegarek. - Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, pożegnamy się teraz. FYoszę się na mnie nie gniewać za to, że tak mało powiedziałam, ale mam wrażenie, że powinnam jeszcze raz wszystko sobie dokładnie przemyśleć. Przecież mogę się mylić.

- Mylić co do tego, czego się pani boi?

- Nic mi nie jest. Zawsze denerwuję się przed kolacją z kimś, kogo nie znam i z kim spotykam się po raz pierwszy.

Nie, to nieprawda, pomyślał Tweed. Jesteś opanowana jak sam szatan. Nie naciskaj jej ! - upomniał sam siebie.

Czuł się kiepsko, kręciło mu się w głowie. Musiał się bardzo skoncentrować, żeby podpisać rachunek. Zaproponował, że odwiezie Violę do domu, ale nie był pewien, czy w tym stanie może prowadzić samochód. Z wielkim wysiłkiem wstał i poszedł za swym gościem do wyjścia.

Kiedy wyszli na dwór, wskazała mu rolls-royce'a phantoma, przy którym

warował jeden z umundurowanych strażników restauracji Mungano's. Odwróciła się, zarzuciła ramiona na szyję Tweeda i mocno go ucałowała.

- To był wspaniały wieczór - szepnęła - a towarzystwo jeszcze wspanialsze. Już czuję się tak, jakbym znała pana od wieków. Kiedy wszystko sobie przemyśle, spotkamy się znowu, dobrze? - Wsunęła mu ozdobioną złotem wizytówkę do górnej kieszeni płaszcza. - To numer mojego prywatnego telefonu. Ale pewnie ja do pana zadzwo nię. Mam numer od Boba. Lubię pana...

Jej aksamitny płaszcz zawirował, podeszła do samochodu, wręczyła napiwek parkingowemu. Inny parkingowy przyprowadził forda. Tweed patrzył za Violą, widział, jak mu pomachała i odjechała. Miał spory problem z wsiadaniem do forda. I co teraz zrobić? - pomyślał z gniewem. Nie powinien sam wracać do domu. Przypomniał

sobie niedaleką ślepa alejkę, przy której stały magazyny. Zaparkuję tam, zdecydował. Zaparkuję tam i poczekam, aż mi przejdzie.

Z wielkim wysiłkiem woli wsunął kluczyk do stacyjki. Uważnie rozejrzał się dookoła. W pobliżu nie dostrzegł żadnych samochodów, nie słyszał niczego. Opuścił szybę, wpuszczając do środka chłodne powietrze. Kilka razy głęboko odetchnął. Poczul się lepiej. Ruszył bardzo powoli.

Wjechał do alejki tyłem. Ukrył samochód, wyłączył silnik. Wokół panowała martwa cisza.

Dostał dreszczy, więc zamknął okno. Zablokował wszystkie drzwi. Czul się coraz gorzej, niemal zasypiał. Spojrzał na zegarek. Podświetlane cyfry wskazywały dwudziestą drugą trzydzieści. Ostatnią świadomą myśl poświęcił Violi. Czy bezpiecznie dojechała do mieszkania na Fox Street?

A właściwie dlaczego tak się o nią martwi?

Stracił przytomność. Zapadł w głęboki sen.

Rozdział 1

Łup... Krótka przerwa. Łup...Przerwa.

Łup...

Naga, zakneblowana Viola leżała na podłodze sypialni swego mieszkania przy Fox Street. Zaatakowano ją, gdy weszła i zapaliła światło. Ktoś przyłożył jej do twarzy chusteczkę nasyoną chloroformem. Niewidzialny napastnik zaniósł niemal bezwładne ciało za łóżko, bezpardonowo cisnął je na podłogę.

Powoli odzyskiwała przytomność. Usta miała zakneblowane ręcznikiem. Ręka w gumowej rękawiczce uniosła jej głowę i uderzyła nią w podłogę, nie za mocno. Viola była zaledwie świadoma tego, że dzieje się z nią coś strasznego, kiedy poczuła, że jej ciało zostało uwolnione od leżącego nad nim ciężaru. Otworzyła oczy.

Dostrzegła przedziwną postać ubraną w biały strój chirurga, z twarzą skrytą za białą maską i wielkimi goglami. Nie potrafiła powiedzieć, czy to kobieta, czy mężczyzna. Aż skrzyła się z przerażenia, widząc, jak ręka w rękawiczce chwyta tasak do mięsa. Jak go podnosi... i jak opuszcza. Łup! Tasak odciął jej lewą rękę tuż pod łokciem. Viola straciłaby przytomność, gdyby nie straszny, przejmujący ból. Ramię z dłonią osunęło się o kilka centymetrów od reszty ciała.

Łup!

Tasak opadł ze straszną, miażdżącą siłą. Odrąbał prawe ramię, w tym samym

miejscu. Ostrze przecięło kości i mięśnie, utkwilo w podłodze. Żeby je uwolnić, trzeba było szarpnąć bardzo mocno.

Łup!

Lewa noga została odcięta poniżej kolana równie łatwo jak ręce. Ciało Violi drżało niepokonanie. Zębami powoli przegryzała knebel, choć był to tylko odruch.

Łup!

Tak łatwo jak lewa, odcięta też została prawa noga. Na podłodze rozlało się jezioro krwi. Postać w bieli miała także grube, płócienne ochraniacze na buty.

Viola przegryzła knebel. Otworzyła usta do ostatniego, rozpaczliwego krzyku.

Pora kończyć.

Łup!

Nim zdążyła krzyknąć, tasak gładko oddzielił jej głowę od ciała, przecinając tętnice. Potężna fontanna krwi zalała pokój, sięgając aż okna z matową szybą, wychodzącego na ulicę.

Biała postać westchnęła głośno. Odciągnęła rękaw, spojrziała na zegarek. Dwudziesta trzecia piętnaście. Najwyższy czas załatwić kilka spraw i jak najszybciej się stąd wynieść.

Rozdział 2

Skulony za kierownicą Tweed poruszył się lekko. Początkowo nie wiedział nawet, gdzie jest, ale powoli wróciła mu pamięć kolacji z Violą i tego, jak źle się poczuł, kiedy wychodzili z Mungano's. Przeciągnął się, poruszył rękami, uznał, że czuje się całkiem normalnie. Niemal wystarczająco normalnie, żeby móc prowadzić. Spojrzął na zegarek. Szósta rano.

Boże!

Nie potrafił w to uwierzyć, ale przespał siedem i pół godziny. Bardzo powoli wyjechał z alejki. Ulica była pusta. Wiedział, że może już prowadzić bezpiecznie, mimo to do starych, przebudowanych stajni, gdzie za straszne pieniądze wynajmował garaż, dojechał w żółwym tempie. Zamykając drzwi, rozejrzał się dookoła. Ani żywego ducha. Czuł się lepiej. Ruszył szybkim krokiem. Okazało się, że przecenił swoje możliwości. Nogi nadal się pod nim ugiwały, ale udało mu się jakoś dojść na Bexford Street, ulicę starych, wysokich domów szeregowych. Wspiął się po schodach, stanął zdyszany przed ciężkimi dębowymi drzwiami. Lampa, świecąca na pustej o tej porze dnia ulicy, oświetlała zamek Banham.

Wyjął klucz z wewnętrznej kieszeni płaszcza, lecz gdy miał otworzyć drzwi, dostrzegł wokół zamka szereg wgłębień. Ktoś próbował dostać się do jego domu! Klucz obracał się z największym trudem. Czy intruz jest jeszcze w środku? Udało się wreszcie pokonać uszkodzony zamek. Cicho otworzył drzwi.

Wszedł do środka, nie zapalając światła. Stał nieruchomo, słuchając uważnie. Cisza. Powoli przeszedł korytarzem, prawą ręką dotykając paneli na ścianie. Przy czwartym zatrzymał się, przycisnął jego róg kciukiem trzy razy, przerwa, raz i znów trzy razy. Panel się przesunął. W skrytce leżał samopowtarzalny walthers. Tweed wyjął go i zasunął panel. Minął drzwi do salonu, zaczął bardzo ostrożnie wchodzić po schodach. Choć nazywało się to mieszkaniem, był właścicielem całego trzypiętrowego domu. Dotarł na piętro, omijając skrzypiący stopień. Drzwi do sypialni były uchylone. Wprawdzie na

kolację z Violą przebierał się w pośpiechu, ale to nie znaczy, że zapomniał o podstawowych środkach ostrożności. Przytulił się do ściany korytarza, ostrożnie wysunął rękę, włączył górne światło, po czym wślizgnął się do środka i okręcił dookoła, trzymając broń przed sobą. Nie dostrzegł niczego, tylko znów zakręciło mu się w głowie. Zaklął pod nosem, zamknął drzwi, zatoczył się na łóżko, zdarł narzutę, rzucił na podłogę. Czuł, że lada chwila zemdleje.

Z wielkim wysiłkiem ściągnął buty, zrzucił płaszcz, schował pistolet pod poduszkę. Zdołał jeszcze zdjąć krawat i rozpiąć kołnierzyk koszuli. Padł na łóżko, zgasił światło i... stracił przytomność.

Paula, pragnąc dojechać do pracy jak najwcześniej, pojechała skrótem przez Bexford Street. Zaparkowała przed domem Tweeda. Miała zamiar wsunąć mu do skrzynki listek z wyjaśnieniem, nad czym pracuje.

Jeszcze na schodach zobaczyła wgłębienia wokół zamka, pod tym względem była bardzo spostrzegawcza. Z pewnością ktoś próbował się włamać, gdy Tweed był na kolacji z Violą. Dysponowała zapasowym kluczem, ale drzwi udało się jej otworzyć z największym trudem. Nim weszła do środka, z kabury ukrytej pod płaszczem wyjęła samopowtarzalnego browninga .32.

Ostrożnie, cicho zamknęła za sobą drzwi. Bezszelestnie przeszła przez korytarz. Doszła do drzwi salonu. Słuchała przez chwilę, po czym przytuliła się do ściany i otworzyła je na oścież. Weszła do środka, lewą ręką włączyła światło, obróciła się dookoła. Nie dostrzegła nikogo, nic też nie świadczyło, by był tu ktoś obcy.

Weszła po schodach, nie zapominając o ominięciu skrzypiącego stopnia. Przy drzwiach sypialni zatrzymało ją donośne chrapanie. A przecież Tweed nigdy nie chrapał. Wyjęła z kieszeni silną latarkę. Oświetliła nią wnętrze sypialni. Tweed leżał na plecach, co nie było u niego normalne. Oddychał regularnie, dobry znak. Skierowała promień światła na środkową część sypialni... i zamarła. Stojący zwykle na stoliku srebrny świecznik leżał teraz przewrócony na ściereczce do kurzu, tłumiącej dźwięk. Jedna z szuflad szafki nie była domknięta.

Paula wiedziała, że Tweed utrzymuje gospodarstwo domowe we wręcz przesadnym, pedantycznym porządku. Gdyby potrafił świecznik, nigdy nie pozostawiłby go leżącego. Zasunąłby też niedomkniętą szufladę. Weszła do środka, włączyła lampę z abażurem, schowała latarkę i zaczęła poszukiwania.

Szafka składała się z siedmiu szuflad, najniższa była najgłębsza. Paula zaczęła od górnej, ale znalazła w niej wyłącznie chusteczki do nosa i szaliki. Nic interesującego. W drugiej, tej niedomkniętej, też nic ciekawego nie było. Dopiero w ostatniej, najgłębszej, wśród skłębionych koszul zobaczyła, co podrzucano Tweedowi podczas jego nieobecności.

Stara teczka aktówka, która z pewnością nie do niego należała, była wypchana po brzegi. Paula włożyła gumowe rękawiczki, wyjęła walizkę, odpięła paski. Wstrzymała oddech. W teczce znalazła sporą przezroczystą torbę, w której był tasak do mięsa z ostrzem zabrudzonym czymś brązowym; wiedziała, że to zaschnięta krew. W mniejszej torebce zobaczyła coś, co przypominało kawałki zaschniętego mięsa, także okrwawione.

Jeszcze raz sprawdziła szuflady, po czym zaniósła teczkę pod okno. Usłyszała zatrzymujący się przy krawężniku samochód. Przestraszona, zgasila lampę i wyjrzała na zewnątrz. Pod oknem stał rangę rover Newmana. Bob otworzył

drzwi, wychylił się, rozejrzał dookoła. Chwyliła latarkę, uniosła ją pod brodę, włączyła. Zbiegała ze schodów, gdy Newman wyskakiwał z samochodu.

- Akurat przejeżdżałem, a Tweed często wstaje wcześniej - usprawiedliwił się.
- Ktoś próbuje zrobić go w jakieś przestępstwo, bardzo mi się to nie podoba - przerwała mu Paula. - Dowody masz tutaj.

Podala mu teczkę. Wskoczył do samochodu, a Paula zatrzasnęła za sobą drzwi i pobiegła na górę sprawdzić, czy gospodarz się nie obudził i nie dziwi się, co się wokół niego dzieje. Ale kiedy wpadła do sypialni, okazało się, że śpi jak dziecko. Podbiegła do okna i zdążyła zobaczyć, jak Bob Newman wpada w pułapkę.

Newman wsunął teczkę pod siedzenie kierowcy i właśnie w tej chwili zza rogu wyjechał ciemny samochód, oświetlając go oślepiającym blaskiem reflektorów. Zatrzymał się tak, by zagrozić rangę roverowi drogę. Wyskoczył z niego wysoki mężczyzna w długim czarnym płaszczu. Na lewym rękawie płaszcza - a lewą rękę wsunął w otwarte okno od strony kierowcy - miał szeroką opaskę z napisem: „Służba Bezpieczeństwa Państwowego”.

- Wsiadaj z samochodu, ale już! Dłonie na wysokości ramion rozkazał.

Nasunął kapelusz nisko na czoło, lecz nie wystarczająco nisko, by nie widać było haczykowatego nosa, cienkich, mocno zaciśniętych ust, spiczastej dolnej szczęki. Prawą ręką sięgał pod płaszcz.

- Nie rób tego - poradził Newman. Zdążył już wymierzyć w niego go smith & wessona.

Zerwał napastnikowi z ramienia opaskę - zawsze to jakiś dowód i przez okno uderzył go długą lufą rewolweru w twarz, prawdopo dobnie łamiąc kość policzkową. Facet krzyknął z bólu, zrobił krok w tył, potknął się o krawężnik i padł na wznak.

Newman cofał się już z maksymalną szybkością. Przełożył dźwignię automatycznej skrzyni biegów na „drive”, wcisnął gaz do dechy, wystrzelił do przodu jak rakietą. Zderzak jego samochodu zrobiony był ze wzmocnionej stali. Uderzył w zagrządzający drogę,

zaparkowany skośnie ciemny samochód, przesuwając go, niszcząc maskę, druzgocąc silnik. We wstecznym lusterku Newman zauważył drugi, równie ciemny wóz, próbujący zamknąć mu drogę.

Wrzucił „reverse”.

Tyłny zderzak rangę rovera zrobiony był z tej samej stali co przedni. Newman trafił w nadjeżdżający samochód z taką siłą, że obrócił go, otwierając sobie drogę ucieczki. Z której natychmiast skorzystał.

Muszę wydostać się z Londynu przed korkami, powiedział do siebie. Wiedział już, dokąd pojechać.

Rozdział 3

Organizacja znana pod nazwą Konspiracji spotkała się w skromnym budynku przy bocznej uliczce odchodzącej od Whitehall. W jej skład wchodziło trzech podsekretarzy stanu mających wielkie wpływy w wyższych kręgach władzy. Współpracowali ze sobą bez zgrzytów, przynajmniej w większości przypadków. We współpracy pomagało im to, że byli braćmi, dziećmi genialnego, lecz cieszącego się nie najlepszą sławą generała Macombera, bohatera wojny w

Zatoce Perskiej.

- Tweeda powinniśmy już mieć z głowy. Dzięki naszej akcji jest skompromitowany. To pierwszy wielki krok w łączeniu służb państwowych - powiedział Nelson Macomber.

- Wkrótce powinniśmy otrzymać pełny raport z tej operacji - dodał Noel Macomber znany jako Planista. - Skandal zniszczy naszego najgroźniejszego przeciwnika. - Z jego poważnej, szczupłej twarzy nietrudno było odczytać zadowolenie.

Trzej bracia znacznie się od siebie różnili. Nieco ponadczterdzie-stoletni Nelson, gładko ogolony, miał blisko dwa metry wzrostu, wielką głowę, szerokie ramiona; w ogóle był potężnie zbudowany. Spod gęstych ciemnych włosów i brwi patrzył na świat lodowatonie-bieskimi oczami. Miał kształtny nos, szerokie usta i kwadratową szczękę, sugerującą siłę woli i aktywność.

- Do cholery, powinniśmy już dostać jakieś potwierdzenie - nie wytrzymał Benton. Mówił cicho, grubymi palcami niespokojnie bębnił w stół.

Ten najmłodszy z braci także był dobrze zbudowany, ale nie tak wysoki jak Nelson. Nieczęsto zabierał głos, lecz jego milkliwość i pełne rezerwy zachowanie podobało się kobietom. Był ostrożny, niczego nie przyjmował na wiarę; uznawał fakt za dokonany, dopiero kiedy otrzymywał dowody.

Ci trzej mężczyźni siedzieli w obitych kosztowną tkaniną fotelach przy nietypowym stole z trójkątnym blatem, symbolem tego, że żaden nie jest ważniejszy od dwóch pozostałych. Zadzwoił telefon. Noel podniósł słuchawkę smukłą dłonią.

- Jesteś pewien? - spytał po chwili. - Wpadka? To znaczy, że spa prałeś robotę. Wracaj natychmiast, ty głupcze.

Zakończył rozmowę i delikatnie odłożył słuchawkę.

- Zbyt szybko wydałeś wyrok, Nelsonie - stwierdził ze złośliwą satysfakcją, wyraźnie widoczną na szerokiej twarzy. Trzej bracia pracowali razem, ale nie znaczy to, że nie rywalizowali. - Cokolwiek kompromitującego dostarczyłeś do domu Tweeda, zostało stamtąd usunięte.

- Usunięte? - warknął Nelson. - Nie będziemy czekali rok, aż nam wszystko wyjaśnisz.

- Pojawił się Newman. Odebrał teczkę od Pauli Grey.

- Znowu Newman! - Nelson pochylił się w fotelu. - Ten człowiek stał się tak niebezpieczny jak Tweed. Co z ludźmi, których wysłałeś w tych dwóch samochodach?

- Newman ma terenówkę. Napęd na cztery koła, zbudowana jak czołg. Rozbił oba nasze wozy i uciekł.

- Powinni go ścigać - warknął Nelson. - Tego byli uczeni.

- Jakim cudem? - Noel uśmiechnął się złośliwie. - Przecież żaden z naszych dwóch wozów nie nadawał się do użytku.

- A więc zaczęła się wojna - powiedział spokojnie Benton. - Jaki będzie nasz następny ruch?

- Skoro nie dało się kijem, spróbujemy marchewki. - Nelson był już równie spokojny jak Benton. - Spotkam się z Tweedem, wyjaśnię mu, o co nam chodzi. Zaproszę go do naszego grona.

- On się nigdy nie zgodzi! - zaprotestował Noel.
 - To tylko kwestia metody perswazji. Udowodnię mu, że połączenie instytucji przestrzegania prawa i bezpieczeństwa jest nieuniknione, zaoferuję także stanowiska zastępcy dyrektora. Będę nalegał na spotkanie jeszcze dzisiejszego ranka. Zgadza się ze mną, panowie?
 - W tej chwili to najlepsza taktyka - przytaknął Benton.
 - Nie podobają mi się działania podjęte pod wpływem chwili - skrzywił się Noel Planista.
 - I nie jesteś zbyt spostrzegawczy - szepnął Nelson, przykładając palec do ust. Wstał bezszelestnie i cicho podszedł do drzwi. Nie były zamknięte, tylko uchylone, a przecież sam zatrzaskał je przed spotkaniem. Teraz między skrzydłem i framugą była kilkucentymetrowa szczelina. Powoli otworzył drzwi, wślizgnął się do sąsiedniego pokoju, ogromnej sali pozbawionej wygód charakterystycznych dla głównej siedziby Konspiracji. Szczupła dziewczyna, mająca co najmniej metr osiemdziesiąt wzrostu, ubrana w czarny strój przypominający mundur, siedziała pochylona nad komputerem. Nelson podszedł do niej powoli.
 - Nie lubię, kiedy ktoś się do mnie podkrada - powiedziała dziewczyna, nie odwracając głowy. - O co chodzi?
 - Otworzyłaś drzwi do naszej świątyni dumania?
- Wyprostowała się, obróciła w krzesło, spojrzała na niego płonącymi piwnymi oczami. Miała ciemne, starannie uczesane włosy i ładną twarz o pełnych ustach. Nie uśmiechała się.
- Oskarżasz mnie o podsłuchiwanie, ty bezmyślna Świnio?
 - Ależ skąd!
 - A skoro już o tym rozmawiamy, kiedy znów gdzieś się razem wybierzemy?
- Z tymi słowami zarzuciła mu ramiona na szyję. Całowali się mocno, póki dziewczyna go nie odepchnęła.
- Odpowiedz mi na pytanie, do jasnej cholery! Tracę cierpliwość.
 - Wkrótce.
 - Wkrótce? Lepiej, żeby...
 - Panno Partridge! - rozległ się głos dobiegający z jednego z dalszych pomieszczeń. Obiecała, że zaraz przyjdzie, tylko skończy z komputerem. Ale zmieniła zdanie. Wyłączyła komputer i przeszła do sąsiedniego pokoju, nie żegnając się z Nelsonem nawet spojrzeniem. A on dopiero teraz dostrzegł drobną dziewczynę siedzącą w rogu sali i zajęętą przeglądaniem papierów. Coral Flenton, także urzędniczka państwowa, asystentka Partridge, miała rude włosy, brązowe oczy i bardzo ładny uśmiech. Nelson uznał, że powinien z nią porozmawiać. Podszedł bliżej.
 - Nie zdarzyło się tu przed chwilą nic dziwnego, prawda? - spytał.
 - Pan Macomber! - Coral obróciła się w biurowym krzesle. - Tu nic nie zdarzyło się od wieków! Tylko Straszna Zrzęda próbowała się rządzić, jak zwykle.
- Straszna Zrzęda. Nelson wiedział, że tego przezwiska Zeny Partridge używano nawet w świątyni dumania. Zena musiała kontrolować dosłownie wszystko, co w pełni usprawiedliwiało tych, których irytowała. Nazywano ją także Papugą. Pomachał rękami i uśmiechnął się.

- Czasami rzeczywiście trudno z nią wytrzymać - przyznał - ale ciąży na niej wielka odpowiedzialność. Zwłaszcza wobec nas. No, głowa do góry....

Wrócił do pokoju, nie zapominając dokładnie zamknąć drzwi. Usiadł, rozejrzał się dookoła. Jego bracia nie odezwali się ani słowem. Najprawdopodobniej nie słyszeli ani słowa z jego rozmowy z Partridge. Ale uchylone drzwi nie dawały mu spokoju.

- Mówiliśmy o wielu poufnych sprawach przy otwartych drzwiach - powiedział.
- Przypomnijcie mi.

- To były sprawy bardzo poufne - przytaknął Noel. Głos miał wysoki, niemal piskliwy. - Dostawa armatek wodnych do Harber's Yard niedaleko Tolhaven. Oddział zbirów ćwiczący w tym samym Har-ber's Yard. Omawialiśmy to ze szczegółami. Ośmielę się powiedzieć, że ze wszystkimi szczegółami. Podszedłem do drzwi, dopiero kiedy skończyliśmy. W przyszłości powinieneś wykazać się większą ostrożnością, bracie.

- Nie nazywaj mnie bratem - powiedział cicho Nelson, a w jego głosie brzmiała groźba.

- Pora zmienić temat - zaproponował Benton.

- Postanowiłem, jaki będzie mój następny krok - oznajmił Nelson. -1 wykonam go w ciągu godziny.

- Czyli? - spytał Noel, marszcząc swą trójkątną twarz.

- Chodzi o przeprowadzenie ataku - odparł obojętnie Nelson, wiedząc, jak bardzo Planista chce wiedzieć o każdym ich ruchu. - Nie ty jeden potrafisz planować, drogi chłopcze.

- Nie nazywaj mnie tak! - Noel wściekły zerwał się na równe nogi. -Słyszysz?! Nie wolno ci tak się do mnie odzywać!

Zupełnie jakby nie słyszał jego wrzasków, Nelson spokojnie wyszedł z pokoju.

- Gniew niczego nie załatwi - powiedział cicho Benton. Niemal cały wolny czas tracił na łagodzeniu sporów między braćmi i ta rola zaczynała go męczyć.

- Sprawdź sąsiedni pokój - warknął Noel.

Wszedł do wielkiej sali, którą poprzednio odwiedził jego brat. Papugi nie było. Coral Flenton siedziała w swym kąciku, pochylona nad komputerem. Wiedziała, kto wchodzi, dzięki specjalnie ustawionemu na biurku lusterku, ale udawała, że nie widzi podchodzącego do niej Noela.

- Flenton, od kiedy siedzisz tu przy biurku?

- Od czasu kiedy przyszedłam do pracy... proszę pana - odpowiedziała dziewczyna po ledwie wyczuwalnej przerwie.

- Jesteś tego najzupełniej pewna? - spytał Noel, uśmiechając się złośliwie.

- Nie poszłaś do toalety? Żadna kobieta potrzeba nie zajęła ci tego kobiecego ptasiego mózdzku?

- Przecież odpowiedziałam już na pytanie... proszę pana.

- Dobrze, niech ci będzie. To teraz na odmianę wyjdź i przynieś kawę i ciastka. Dla dwóch. Ale prędko, dziewczyno!

Obrócił się i ruszył z powrotem do braterskiej świątyni dumania. Nie miał oczu z tyłu głowy, nie widział więc nienawiści na twarzy wstającej zza biurka Carol.

Wróć do domu i przebiorę się, pomyślał Nelson. Potem pojedę do Tweeda mercedesem. Tweed kryje się w swej jamie na Park Cre-scent; pokaz siły z

pewnością nie zaszkodzi.

- Najpierw do domu - polecił kierowcy, Jeffowi, siedzącemu w niewielkiej wnęce przy drzwiach wejściowych do budynku.

Kiedy podjechali do apartamentu w Mayfair, wyskoczył, nim samochód zdążył się zatrzymać przy krawężniku. Taki miał zwyczaj, mocno niepokojący Jeffa, no ale Nelsonowi Macomberowi, który zawsze robił, co chciał, i zawsze ignorował służbę, nie wolno było zwracać uwagi.

Nelson wbiegł po schodach niczym dziesięciolatek. Ku swemu wielkiemu rozczarowaniu zastał w mieszkaniu żonę, Loelię, córkę hrabiego, ubraną w aksamitną garsonkę i najwyraźniej gotową do wyjścia.

Loelia była olśniewającą brunetką pod czterdziestkę. Lekkie skrzywienie pełnych ust świadczyło, że nie ucieszyła się na widok męża.

- Nie zamykaj drzwi! - krzyknęła. - Wracasz do domu o tej porze? Powinieneś zadzwonić!

- A niby dlaczego? - Nelson poszedł w stronę sypialni. - Wyjeżdżasz na spotkanie, prawda? Z twym najlepszym przyjacielem Fre-derickiem?

- Wszyscy oprócz ciebie mówią mu Freddie...

- Dla mnie to zwykły pyszałkowaty playboy Frederick.

- Nie jest pyszałkowaty! - zaprotestowała, a jej usta skrzywiły się jeszcze bardziej. - Ma znacznie lepsze maniery niż ty. Do jakiej taniej dziwki idziesz dzisiaj? Do Jeanette? Mam rację?

- Jak zwykle nie masz racji. Chodzi o interesy. Gdzie garnitur od Armaniego?

- Właśnie na niego patrzysz. Nie zapomnij go porządnie powiesić, nim wskoczysz do łóżka jakiejś zdziry.

- Wynoś się stąd, do diabła! - nie wytrzymał Nelson.

- Pieprz się! - wrzasnęła jego żona, trzaskając drzwiami sypialni.

Nelson ubrał się szybko. Wszystko robił szybko... chyba że rozgrywał polityczną grę; wówczas odzywał się rzadko i mówił bardzo powoli.

Tak właśnie miał zamiar rozmawiać z Tweedem.

Rozdział 4

Wczesnym rankiem Newman jechał autostradą na południowy zachód. Jego zazwyczaj uśmiechnięta twarz była zacięta. Kto próbował Tweeda zrobić? I dlaczego? Zatrzymał się na chwilę, by zbadać zawartość teczki, na szczęście gumowe rękawiczki miał w samochodzie. Nie podoba mi się to, bardzo nie podoba, pomyślał nieświadomy, że powtarza myśl Pauli.

Mrok ponurego, chmurnego ranka rozdarły jaskrawe reflektory szybko zbliżającej się ciężarówki. Newman już zdecydował, w którym bezpiecznym domu ukryje walizkę. Podczas przerwy w podróży sprawdził także, co napisane jest na karteczce wręczonej mu przez informatora spotkanego w drodze do domu Tweeda, gdzie zaczął się ten szczególny kryzys.

Harber's Yard, na wybrzeżu, na południe od Tolhaven.

Zjechał z autostrady na drogę do Tolhaven. Raz, podczas jednej z wcześniejszych spraw, nad którą pracował z Tweedem, odwiedził Buckler's Hard koło Beaulieu. Czy wskazane mu miejsce też jest rodzajem tajnej bazy? Musi to sprawdzić. Jego informatorzy rzadko się mylili.

Dojechał do ukrytego wejścia do bezpiecznego domu. Rangę rovera zaparkował

w polu, za rzędem drzew. Wcale nie był pewien, czy udało mu się zgubić groźnych mężczyzn w czarnych mundurach.

Pod ciemnym, zachmurzonym niebem szedł zarośniętą chwastami ścieżką prowadzącą do niewielkiego, stojącego na uboczu, krytego strzechą domu. Podchodził powoli, okrążył domek, zatrzymał się i nadśluchiwał przez długie kilka minut. Najwyraźniej nie było tu nikogo.

Dom wybudowano nad autostradą; Newman widział stąd światła ciężarówek jadących do Londynu. Drżącymi z porannego chłodu palcami wyjął klucz. Obdrapane frontowe drzwi zaskrzypiały przeraźliwie. Newman wskoczył do środka ze smith & wessonem w prawej ręce. Usłyszał szmer, coś się poruszyło. W domku nie zainstalowano żadnych zabezpieczeń - wyglądałyby bardzo podejrzanie - więc to szuranie go zaniepokoiło.

Przystanął tuż przy drzwiach, częściowo ukryty za ich skrzydłem. Wyjął silną latarkę. Nadśluchiwał... i znów coś usłyszał. Włączył latarkę, którą trzymał w lewej ręce. Dostrzegł błysk wpatrzonych w niego zdumionych oczu. Rudy lis odwrócił się błyskawicznie, skoczył przez wybite okno i znikł.

Dopiero teraz Newman się zorientował, że wstrzymuje oddech. Odetchnął głęboko.

Trzymając teczkę pod pachą, odciągnął od starego drewnianego stołu jedyne solidnie wyglądające krzesło, wspiał się na nie, oświetlił latarką sufit. Sięgnął za stare krokwie, przycisnął panel i zamknął oczy, chroniąc je przed sypiącym się z góry kurzem. Dłonie pokryte miał starymi pajęczynami. Panel przesunął się w prawo. W skrytce leżał kufer ze starymi ubraniami. Newman wsunął teczkę pod niego, zamknął skrytkę, zeskoczył na podłogę. Chusteczką oczyścił się z kurzu i pajęczyn. Wreszcie mógł otworzyć oczy.

Odstawił krzesło dokładnie na miejsce, w którym stało do tej pory. Otworzył skrzypiące drzwi i przez chwilę stał nieruchomo, nadśluchiwał. Zaczęło padać. Zaklął, wyszedł na dwór, zamknął drzwi zardzewiałym kluczem. Na szczęście miał na sobie nieprzemakalną kurtkę z kapturem, który natychmiast naciągnął na głowę.

Następny krok: Tolhaven, powiedział do siebie. Pora rozwiązać tajemnicę Harber's Yard.

Paula pozostała w mieszkaniu Tweeda. Przeszukała je po raz drugi, ale nie znalazła nic kompromitującego. Zupełnie nic. Tweed tymczasem wziął długi prysznic, ogolił się i ubrał. Czuł się już niemal normalnie. Wszedł do sypialni; światło było włączone, a Paula wyglądała przez okno na ulicę.

- Mamy kolejnego gościa - powiedziała. - Przyjechał limuzyną. Profesor Saafeld! Nie do wiary! Zejdę na dół, otworzę mu drzwi.

Tweed chodził po sypialni tam i z powrotem, sprawdzając, jak udaje mu się utrzymywać równowagę. Na schodach rozległ się tupot dwóch par nóg. Wizyta bardzo go zdziwiła. Profesor Saafeld, jego bliski przyjaciel, był najsłynniejszym w Wielkiej Brytanii patologiem; policja go wzywała do najważniejszych spraw.

Siwowłosa, niski, podobny do gnoma lekarz z oczami błyszczącymi ożywieniem i humorem nawet o tej wczesnej godzinie wszedł do sypialni z uśmiechem na ustach. W ręku trzymał torbę. Paula szła za nim.

- Do łóżka, Tweed - rozkazał. - Połóż się na wznak.

- A po cholere!?

- Rób, co mówię. Paula opowiedziała mi w skrócie o wszystkim, co się wczoraj zdarzyło. Rozumiem, że podano ci narkotyk. W mar-garicie. Sprytne, bo jej smak zabija smak większości środków. Pobiorę ci krew; analiza wykaże zapewne, co ci podano.

Wyjął z torby wielką strzykawkę. Paula przyniosła z łazienki ręcznik i położyła go na łóżku, żeby Tweed nie musiał zdejmować butów. Pacjent westchnął ciężko, położył się, pozwolił podwinąć sobie rękaw; postanowił nie protestować, choć jego zdaniem badanie nie miało sensu. Saafeld sprawnie pobrał krew, nakleił na ranę plaster, a strzykawkę schował do specjalnego metalowego pojemnika.

- Wyniki powinienem mieć jeszcze dziś - oznajmił. - Przekażę ci je natychmiast. - Jak zwykle mówił szybko, krótkimi zdaniami. -Właśnie jadę do jakiegoś wyjątkowo strasznego morderstwa. Wezwał mnie twój przyjaciel, komisarz Roy Buchanan.

- Kogo zamordowano? - zainteresował się Tweed.

- Pannę Violę Vander-Browne, w jej mieszkaniu w Covent Garden. Zdaje się, że sprawcą jest psychopata. Odcięto jej ręce, nogi i głowę. Ale naprawdę obrzydliwe jest to, że już po wszystkim morderca ułożył ją na łóżku mniej więcej tak, jak leżałaby we śnie. Muszę lecieć, lada chwila jakiś głupi gliniarz przypadkiem zatrze najważniejsze ślady. Przepisuję ci dzień w łóżku - rzucił na zakończenie, już od drzwi sypialni.

Paula odprowadziła go do drzwi, zamknęła je za nim na zamek, po czym wbiegła na górę. Twarz miała bardzo poważną.

Tweed stał wyprostowany i nieruchomy przed lustrem, poprawiając krawat. Odwrócił się, uśmiechnął. Zrobił kilka szybkich kroków i znów się uśmiechnął. Doskonale ukrywał szok.

- Lepiej się czujesz? - spytała zaniepokojona Paula.

- Zdaje się, że przed chwilą właśnie to zademonstrowałem. A więc Saafeld pospieszył na miejsce zbrodni? Na wezwanie Roya...

- Z tą Violą jadłeś wczoraj kolację w Mungano's?

- Widzę, że jesteś zmartwiona. Upewniam cię, że bez powodu. Nie zabiłem jej... ale do końca życia będę się przeklinał za to, że nie odwozłem panny Vander-Browne do domu. - Otworzył szafę. Z górnej kieszonki marynarki, którą miał na sobie wczoraj podczas kolacji, wyjął wizytówkę, którą dostał na pożegnanie. -Mieszka, czy raczej mieszkała na Fox Street.

- Wiem, gdzie to jest. Jechałam raz tamtędy, w zimie, kiedy odwiedzałam mieszkającą w Covent Garden przyjaciółkę. To skrót do Covent Garden przez King Street. Nie podobało mi się tam, zwłaszcza że było ciemno. Wąski zaułek, brukowany, zupełnie pusty. Jakiś taki... niesamowity. Przejechałam tamtędy jak najszybciej. Słuchaj, mam ci do powiedzenia coś raczej nieprzyjemnego...

Opowiedziała Tweedowi, jak zobaczyła uszkodzenia zamka przy frontowych drzwiach świadczące, że ktoś przy nich majstrował. Jak przeszukała sypialnię, podczas gdy on leżał nieprzytomny, jak w szafce znalazła teczkę, jak przekazała ją Newmanowi. Opisała przyjazd dwóch czarnych samochodów i mężczyzn w czarnych płaszczach oraz to, jak poradził sobie z nimi Bob.

- Długie czarne płaszcze - powtórzył Tweed. - Nakrycia głowy? Aha, rozumiem.

Opaski na ramionach? Bardzo mi się to nie podoba. Sprawy idą w złym kierunku. Wyjeżdżamy do biura.

Tweed siedział przy antycznym biurku (był to prezent od pracowników) w obszernym pokoju na pierwszym piętrze, kiedy pojawił się gość. Paula zajmowała swe zwykłe miejsce w rogu. Monica, wierna sekretarka w średnim wieku, z włosami związanymi w kok, czuwała przy drzwiach, stukając w klawisze komputera. Obecni byli również dwaj inni ważni członkowie zespołu: Harry Butler, lon-dyńczyk z East Endu mówiący cockneyem, ubrany w starą kurtkę i wystrzępione, wypchane spodnie, siedzący po turecku na podłodze, i jego partner, Pete Nield, zajmujący krzesło blisko biurka Pauli.

Nield i Butler byli partnerami, ale różnili się zarówno osobowością, jak i ubraniem. Dobiegający czterdziestki Nield miał na sobie elegancki garnitur, idealnie wyprasowaną koszulę i doskonale dobrany krawat. Obaj z identyczną uwagą słuchali Tweeda opowiadającego o tym, co się ostatnio wydarzyło.

- Wystawili cię - warknął Harry. - Ta operacja została z góry za planowana. Ale wybrali złego faceta. Znajdziemy ich, a jeśli przy tym będę, ockną się dopiero w szpitalu.

Zadzwoił telefon; Harry umilkł posłusznie. Monica podniosła słuchawkę, spojrzała na szefa.

- Nie uwierzy pan, ale jest tu komisarz Roy Buchanan. Twierdzi, że musi natychmiast się z panem zobaczyć.

- Wpuść go.

Usłyszeli szybkie kroki na schodach. Paula ze zdumieniem spojrzała na wchodzącego Buchanana, który zamiast normalnego biurowego garnituru miał na sobie mundur dowódcy oddziału antyterrorystycznego, choć był to przydział czasowy. Na stałe Buchanan pełnił funkcję komisarza Wydziału Dochodzeń Kryminalnych policji.

- Dzień dobry, Roy - powitał go przyjaźnie Tweed. - Skąd ten elegancki garniturek?

- Jestem tu służbowo - odparł poważnie Buchanan. Usiadł po drugiej stronie biurka Tweeda. Twarz miał poważną, wręcz ponurą.

- Cześć, Roy! - powiedziała Paula z uśmiechem.

- Dzień dobry, panno Grey. - Policjant zaledwie na nią spojrzał.

- Tak? Od kiedy jestem dla ciebie „panną Grey”? - Ton głosu Pauli stał się nagle lodowaty. - Przepraszam, zapomniałam wstać i zsalutować.

- Roy, możesz mi wyjaśnić, o co chodzi? - spytał Tweed spokojnie, łagodząc sytuację.

- Muszę wiedzieć, gdzie byłeś między godziną dwudziestą trzecią wczorajszego wieczora a trzecią po północy.

- Nie, w ten sposób tego nie rozegramy - zaprotestował Tweed, ale nadal łagodnie. - W końcu znamy się od lat. O co chodzi? I od pręż się, człowieku, na litość boską!

Spokój i siła Tweeda działały nawet na ludzi tak upartych jak Buchanan. Gliniarz chwycił czapkę, którą do tej pory trzymał na kolanach, i cisnął ją na podłogę, jakby nagle przestała mu się podobać. Odetchnął głęboko.

- W porządku. Mam do czynienia ze strasznym morderstwem. Ofiarą jest

panna Viola Vander-Browne. Saafeld oznaczył czas śmierci na między dwudziestą trzecią a pierwszą w nocy, ale raczej bliżej dwudziestej trzeciej. Biedną kobietę pocięto dosłownie na kawałki. Dziś wczesnym rankiem odebrałem anonimowy telefon, rozmówca radził mi sprawdzić, co robiłeś wczoraj wieczorem i w nocy. Sprawę prowadzi nadinspektor Hammer. W Scotland Yardzie nazywamy go Buldożerem. Chciał przyjechać, ale go powstrzymałem. Powiedziałem, że ja to załatwię. Sierżant Warden, mój asystent, przyjedzie jutro odebrać od was zeznania. Znasz... to znaczy znałeś pannę Vander-Browne, co, Tweed?

- W tym stadium sprawy nie zamierzam udzielać żadnych informacji. Natomiast mam zamiar przeprowadzić własne śledztwo.

- Bardzo bym sobie tego życzył. Zajmujesz pozycję, która daje ci władzę. Hammerowi to się nie spodoba, ale mnie on się nie podoba, więc wszystko w porządku. Ja niechętnie pytałbym cię o cokolwiek... z wiadomych powodów.

- Buchanan wstał. - Dzięki za raporty od twoich agentów za granicą. Wygląda na to, że nic szczególnego się nie dzieje. No, wracam do siebie.

- Zapomniałeś o czapce! - zawołała Paula, gdy był już przy drzwiach.

- Aha, dziękuję. - Policjant wrócił, podniósł czapkę z podłogi. Podszedł do dziewczyny, podał jej rękę. - Tyle się dzieje, że czasami tracę głowę. Przepraszam, że tak cię potraktowałem. Przyjechałem mocno zdenerwowany.

Paula potrząsnęła jego ręką, uśmiechnęła się szeroko.

- Zdarza się nam wszystkim.

- Roy - odezwał się Tweed. - Możesz opisać głos tego kogoś, kto poradził ci skontaktować się ze mną?

- Nie do rozpoznania. Niski. Ochryply. Będziemy w kontakcie.

Kiedy pozbyli się gościa, pierwszy nie wytrzymał Harry, przez cały czas siedzący na podłodze.

- To przez ten jego cholerny mundur! Za kogo uważa się ten fa cet? Admirala floty? I to floty, której nie mamy?

Piętnaście minut później, kiedy Tweed przedzierał się przez bieżące raporty, telefon znów zadzwonił. Monica podniosła słuchawkę, spojrzała pytająco na szefa.

- W to też nie uwierzysz. Masz kolejnego gościa. Przyszedł Nel son Macomber, jeden z członków Konspiracji.

Rozdział 5

Ten dżentelmen, jak sądzę, zechce rozmawiać ze mną sam na sam - powiedział Tweed, nie zapraszając na razie Macombera do gabinetu. - Harry, włącz magnetofon, później sobie wszystko odsłuchacie. Nie, Paula, nie wychodź. Chcę, żebyś została. Jesteś dobra w opartej na pierwszym wrażeniu analizie nowych graczy w tej śmiertelnie niebezpiecznej grze.

Monica poszła na górę, za nią Nield i Butler. Dopiero wówczas Tweed zadzwonił do George'a z ochrony i zaprosił gościa do siebie. Nelson Macomber wszedł do gabinetu. Miał na sobie garnitur od Armaniego i krawat Chanel; w tych sprawach Paula rzadko się myliła. Ukłonił się uprzejmie. Trzeba przyznać, że na oko raczej się jej spodobał.

- Dzień dobry, panie Macomber - powitał go Tweed chłodno.

- Proszę usiąść.

Nelson nie spuszczał wzroku z Pauli.

- Bardzo mi przykro, ale będę z panem rozmawiał wyłącznie w cztery oczy.

- Kiedy wyjeżdżam lub biorę udział w akcji, panna Paula Grey przejmuje ode mnie wszystkie zadania - wyjaśnił Tweed.

Macomber zareagował błyskawicznie. Wstał i z uroczym uśmiechem podszedł do Pauli, wyciągając rękę.

- Panno Grey, proszę przyjąć moje szczerze przeprosiny. Niestety, nie znam tutejszej hierarchii służbowej. Może pani oczywiście wy słuchać wszystkiego, co mam do powiedzenia.

Uścisnęła wyciągniętą dłoń, choć krótko. Nelson Macomber wrócił na miejsce. Poruszał się niezwykle sprawnie jak na człowieka, który przekroczył czterdziestkę.

- Panie Tweed - zaczął - słyszałem, że jest pan człowiekiem, który nie owija w bawełnę. Ja cieszę się podobną opinią. Przeszedłem przedyskutować z panem propozycję połączenia służb prawa i po rządku oraz służb bezpieczeństwa, czyli policji kryminalnej, MI5, policji, Straży Przybrzeżnej, oddziałów specjalnych oraz pana jed-

nostki SIS. Nowo powstała organizacja ma nosić nazwę Służby Bezpieczeństwa Państwowego. Naszym zdaniem byłby pan doskonałym zastępcą jej dowódcy.

- Komu nowa organizacja by podlegała? - spytał Tweed pozornie obojętnie. Wysłuchał tej rewolucyjnej propozycji z pokerową twarzą. Paula, zdumiona i przerażona, westchnęła cicho. Była pewna, że jej szef nigdy się na to nie zgodzi.

- Podlegałaby ministrowi, członkowi Rady Ministrów, kierującemu nowym, nieistniejącym jeszcze Ministerstwem Bezpieczeństwa Państwowego.

- Wcześniej użył pan słowa „propozycja”. Chciałbym się dowiedzieć, co to właściwie znaczy.

- No cóż... - Macomber zawahał się, ale nie przestał się uśmiechać. -W tej chwili odpowiednia ustawa została już przygotowana, ale nie przedstawiono jej jeszcze parlamentowi.

- I rząd się na to zgadza? - Tym razem ton głosu Tweeda był nieco ostrzejszy.

- Właściwie... - Kolejna chwila milczenia. - Właściwie w tej chwili jest zgoda blisko połowy członków gabinetu. To tylko kwestia czasu. Reszta z pewnością wskoczy do toczącego się wozu, gdy nabierze on prędkości.

- Panie Macomber... -Tweed pochylił się w fotelu.

- Nelson, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

- Zdaje mi się, iż słyszałem, że w tę sprawę włączonych jest trzech podsekretarzy stanu. Jesteś jednym z nich. Kim są pozostali dwaj?

- Zapewne się zdziwisz, ale pozostałymi dwoma są moi bracia. Jesteśmy potomkami słynnego generała Luciusa Macombera, genialnego dowódcy podczas wojny w Zatoce Perskiej.

- Opowiedz mi o swoich braciach... i ich roli w tym przedsięwzięciu.

Tweed założył ramiona na piersi. Nie spuszczał wzroku z twarzy

Nelsona, wpatrywał się w niego nieruchomym spojrzeniem oczu w rzadkim kolorze lapis-lazuli.

- Najmłodszy to Noel, którego nazywamy Planistą. Benton jest o rok młodszy

ode mnie. Gra rolę arbitra w rzadkich przypadkach, kiedy się spieramy.

- Jest was trzech...

- Współpracujemy ze sobą bardzo blisko. Mamy nawet wspólny gabinet i...

- Komunikacja? - przerwał mu Tweed.

- Ach! - Nelson rozjaśnił się w uśmiechu. - Dysponujemy najbardziej zaawansowanym systemem w Wielkiej Brytanii. Służba Bezpieczeństwa Państwowego będzie przecież musiała wiedzieć, co się dzieje w każdym zakątku kraju. Podsluchiwanie rozmów telefonicznych, system podglądu telewizji przemysłowej rozciągnięty na całe państwo...

- Już zainstalowany? - Tweed znów przerwał mu potok słów.

- Właśnie go instalujemy. Koniec prac jest przewidziany za kilka tygodni.

- Kto na to zezwolił?

Nelson roześmiał się. Zerknął na Paulę.

- Mam wrażenie, że to nie rozmowa, lecz raczej przesłuchanie.

- To przecież moja specjalność. A więc kto na to zezwolił? Jak, jeśli - o czym wspominałeś - parlament na oczy nie widział ustawy?

- Przecież musimy być przygotowani. - Nelson Macomber nieco spuścił z tonu.

- A więc co powiesz? Niczego przed tobą nie ukrywałem.

- Muszę to sobie przemyśleć, prawda? Udało ci się mnie zaskoczyć.

Nie udało, chytrusie! - pomyślała Paula. Wiedziałaś o wszystkim, zanim ten facet się pojawił.

- Coś ci powiem - mówił dalej Tweed. - W najbliższej przyszłości chciałbym odwiedzić waszą siedzibę i spotkać się z twoimi braćmi. Zabiorę ze sobą Paulę.

- Świetnie! - Macomber zerwał się z krzesła. - Dziękuję, że poświęciłeś mi tyle swojego cennego czasu. Zapraszamy, odwiedź nas jak najszybciej. Zaczynamy się spieszyć. Nie muszę chyba mówić, że uznaję naszą rozmowę za poufną.

- Umundurowanie - powiedział nagle Tweed, nim Nelson Macomber zdążył pożegnać się z Paulą. I najwyraźniej go zaskoczył. - Zastanawiam się właśnie, czy zaproponowałeś, żeby po połączeniu pracownicy bardzo różnych przecież służb nosili takie same uniformy.

- Właściwie... - Nelson stał wystarczająco blisko, by Paula mogła dostrzec, jak kurczowo zaciska i rozluźnia palce prawej dłoni. - Jest jeszcze nieco za wcześnie, żeby rozważać ten problem. - Powiedział to spokojnie, nawet wesoło. - Myśleliśmy o długich czarnych płaszczach, czarnych czapkach i opasce identyfikującej właściciela jako funkcjonariusza służby bezpieczeństwa. Ale jest jeszcze nieco za wcześnie, żeby rozważać ten problem - powtórzył.

- Rozumiem.

- Mogę pani mówić po imieniu? - spytał Macomber, wyciągając rękę do Pauli. - Mam na imię Nelson.

- Skoro sobie tego życzysz - odparła cicho - Ucisnęła jego dłoń. I znów, jak poprzednio, Nelson Macomber szybko cofnął rękę.

- Co o tym sądzisz? - spytał Tweed, kiedy gość wyszedł z pokoju.

Paula wyglądała przez okno.

- Dobrze mu się wiedzie - powiedziała z namysłem. - Przyjechał potwornie wielkim mercem z kierowcą. - Usiadła za biurkiem. - Mu szę przyznać, że jestem

oszołomiona. Spodziewałam się, że na niego rykniesz, powiesz mu, co sądzisz o tym kretyńskim, poronionym po myślę, i nie zechcesz mieć z tym nic wspólnego.

- To utalentowany polityk - wyjaśnił Tweed. - A ja dobrze sobie radzę z politykami. Kiedy opowie o tym spotkaniu braciom, nie będą mieli zielonego pojęcia, co zamierzam zrobić.

- A co zamierzasz zrobić?

- Wszystko co leży w mojej mocy, by zmiażdżyć ich i unicestwić ten plan, choćbym miał wykroczyć poza granice sumienia i prawa. -Tweedowi oczy płonęły. - Ciekawe, przyszedł tu zaledwie kilka godzin po tym, jak ktoś próbował wrobić mnie w obrzydliwe morderstwo. I te mundury... ma je gotowe. Łgał.

- Nie tylko o mundurach. O wielu innych sprawach pewnie także.

- Niewątpliwie. Sprowadź Monice, Pete'a i Harry'ego. Na moje polecenie odegrajcie sobie całość tej rozmowy. Do faceta chyba nie dotarto, że możemy zarejestrować każde słowo. - Spojrzał na gzyms sufitu nad biurkiem Pauli. Harry zrobił wspaniałą robotę, ukrywając tam mikrofony. Sfotografowaliście go?

- Mam mnóstwo zdjęć. Nie widział, jak je robiłam. - Paula pokazała mu niewielki aparat fotograficzny z ruchomym obiektywem, cofającym się po naciśnięciu przycisku.

Do gabinetu weszła Monica, a za nią Nield i Butler.

- Kiedy siedzieliśmy tam, na górze, dzwonił profesor Saafeld -powiedziała sekretarka. - Ma jakieś dane, którymi chciałby się jak najszybciej podzielić. Jest u siebie, na Holland Park.

- Skontaktuj się z nim, gdy tylko wyjdę. Powiedz mu, że do niego jadę. A w tymczasem... -Tweed zwrócił się do trójki współpracowników, których nie było przy spotkaniu. - Posłuchajcie mojej rozmowy z Macomberem, Nelsonem Macomberem. To, co usłyszycie, trzymajcie przy orderach.

- Nie mam żadnego orderu - zażartował Nield.

Tweed spojrzał na niego gniewnie i mówił dalej:

- Nield, kiedy już wysłuchasz nagrania, masz ruszyć tyłek. Skontaktuj się z informatorami. Chcę wiedzieć, czy pozostali dwaj bracia, Noel i Benton, są żonaci. Wiemy, że Nelson ożenił się z Loelią, córką któregoś z hrabiów. Może mają przyjaciółki? Jeśli tak, zdobądź nazwiska i adresy.

- To wszystko? - zapytał Nield z uśmiechem.

- Ja jadę do profesora Saafelda. Nie będzie mnie pewnie przez parę godzin. Kiedy wrócę, chcę usłyszeć, co dla mnie macie.

- No to daleś mi mnóstwo czasu. - Nield nie miał zamiaru spoważnieć. -Ale nie zdziw się, jeśli mnie nie będzie, kiedy wrócisz.

Tweed go zignorował. Następna na jego liście była Monica.

- Jeśli nadinspektor Hammer przyjdzie albo zadzwoni, powiedz mu, że wyszedłem i nie wiesz, kiedy wrócę. No, już mnie nie ma.

- Jadę z tobą - oznajmiła stanowczo Paula. Zdażyła już narzucić wiatrówkę na bluzę, którą zawsze nosiła w biurze.

Tweed wstał. Wyglądało na to, że nie podoba mu się ten pomysł. Paula chwyciła go za ramię.

- Mówiłeś chyba, że się spieszysz - przypomniała mu.

Harry zbiegł za nimi na dół. Miał im wiele do powiedzenia.

- Przyjechałem wcześniej. Zauważyłem, że nasi przyjaciele założyli kamery na latarniach po drugiej stronie ulicy. Bardzo dobrze ukryte. Filmowały wejście do budynku.

- Filmowały? - zdziwiła się Paula.

- Zalepiłem je czarną mazią, w takim samym kolorze jak ich sprzęt. Będą potrzebowali nowych obiektywów.

- Nie tracą czasu - zauważył Tweed.

- Harry też nie - powiedziała Paula.

Deszcz przestał padać, chmury znikły z błękitnego nieba. Było bardzo zimno. Zbiegając po schodach, Tweed zręcznie narzucił płaszcz.

Przedzierali się przez korki. Byli już blisko Holland Park. Paula obejrzała się, zaklęła cicho.

- Nadal za nami jadą. Ten duży czarny samochód uczepił się nas, kiedy wyjeżdżaliśmy z Park Crescent. Widzę kierowcę i pasażera, czarne płaszcze, czarne czapki z daszkiem.

- A Nelson twierdził, że na rozmowę o mundurach jest jeszcze za wcześnie. Zgubię ich.

Tweed zwolnił przed skrzyżowaniem mimo zielonych świateł. Zaczekał na żółte, wcisnął gaz do dechy i przejechał na czerwonym. Przy krawężniku stał policyjny radiowóz. Tweed rozpoznał kierowcę, pokazał mu legitymację. Policjant zsalutował.

- To Ned. Zna mnie dobrze.

Paula spojrzała przez tylną szybę.

- Zgubiliśmy naszych przyjaciół - powiedziała. - Zostali na świa tłach.

Po kilku minutach skręcili w zaułek, przy którym stał dom Sa-afelda. Dojechali do końca uliczki, zawrócili i zaparkowali na rogu. Szybkim krokiem podeszli do prowadzącej na podjazd bramy z kutego żelaza.

Tweed wcisnął przycisk. W słuchawce rozległ się wyraźny głos Saafelda.

- Tak, słucham?

- To ja. A raczej my. Oczekujesz nas.

Sterowana elektronicznym mechanizmem brama otworzyła się i zamknęła za nimi szybko, by nie dopuścić do wjazdu mogącego ich śledzić samochodu. Skręcili za rogiem i pośród ocieniającej drogę zieleni dostrzegli elegancki dwór. Weszli po schodach, otworzyły się przed nimi masywne drzwi. Powitał ich Saafeld otulony białym szlafrokiem dopiętym pod szyję, zaprosił do środka. Zamykając drzwi na zamek, przyglądał się Pauli uważnie.

Stali w wielkim holu z marmurową posadzką.

- Paulo - powiedział lekarz łagodnie - nie jestem pewien, czy jest to widok odpowiedni dla ciebie.

Tweed i Paula znali obowiązujące tu reguły. Zdjęli wierzchnie nakrycia. Saafeld powiesił je na wieszakach, zamknął szafkę, otworzył drugą, wyjął z niej białe fartuchy, białe czapki i gumowe rękawiczki. Kiedy się ubierali, lekarz jeszcze raz obrzucił Paulę pełnym powątpiewania spojrzeniem. Dziewczyna zareagowała natychmiast, ostro.

- Byłam tutaj parę razy. Proszę nie traktować mnie jak małej dziewczynki.

Saafeld wzruszył ramionami, podszedł do masywnych stalowych drzwi, wsunął

kartę magnetyczną do czytnika. Stalowa płyta się przesunęła. Paula poczuła silny zapach środków dezynfekujących. Zeszli po kilku schodach. Saafeld otworzył kolejne stalowe drzwi.

Znaleźli się pod ziemią. Prowadzeni przez lekarza weszli do wielkiej sali wyposażonej w metalowe stoły. Przy ścianach biegły kanały ściekowe przeznaczone do odprowadzania krwi. Na pierwszych dwóch stołach leżały zwłoki; ubrani na biało asystenci przeprowadzali sekcję. U sufitu wisiały duże kamery wideo, każde łóżko wyposażone było w aparaty rentgenowskie na teleskopowych wysięgnikach.

Paula wyczuła kolejny zapach - zapach ciał, które już nigdy się nie poruszą.

- Tutaj leży ta biedna kobieta - powiedział cicho Saafeld. Wyda wało się to dziwne, ponieważ z zasady nigdy nie wyrażał uczuć, ja kie budziła w nim praca w kostnicy.

Paula stała nieruchomo, zaciskając spocone dłonie.

Ciało Violi Vander-Browne leżało na stole. Odcięta sina głowa, pokryta zaschniętą, brązową krwią, spoczywała kilka centymetrów od szyi. Paula tłumiała szczekanie zębami. Lewe i prawe ramię także położono kilka centymetrów od ciała, podobnie nogi, odrąbane pod kolanami; z ran wystawały ostre fragmenty kości. Widok był wręcz potworny. Saafeld domyślił się chyba, co Pauli chodzi po głowie. Odezwwał się obojętnym tonem zawodowca:

- Ciało znaleźliśmy w tej pozycji, leżące na łóżku, w mieszkaniu przy Fox Street. Morderca najpierw cisnął nagą ofiarę na podłogę obok łóżka. Sądzę, że...

- Powiedział pan „morderca” - przerwała mu Paula. - Wyklucza pan kobietę jako sprawczynię?

- Nie wykluczyłbym kobiety, gdyby nie jeden fakt. Po zakneblowaniu ofiara została zgwałcona. Użyto prezerwatywy, więc nie mamy próbki nasienia. Chociaż z drugiej strony kobieta mogła to przecież zrobić, choćby zakładając prezerwatywę na którąś z tych seksualnych zabawek. Po zgwałceniu Viola Vander-Browne została zamordowana przez odcięcie członków ostrym narzędziem, prawdopodobnie tasakiem do mięsa. Głowa była ostatnia. Przeciął tętnicę szyjną. Stąd tyle krwi, nawet na oknie.

- Przepraszam - wtrącił Tweed - ale... czy kiedy przyjechałeś, światło w sypialni było włączone?

- Tak. Morderca je zostawił. Policja przyjechała przede mną i to zakrwawione okno pierwsze rzuciło się im w oczy. W każdym razie, jak wspomniałem wcześniej, ciało znaleziono leżące na łóżku. Ostrze narzędzie zbrodni zostawiło głębokie nacięcia na drewnianej podłodze, stąd wiadomo dokładnie, gdzie zginęła Viola. Morderca, mężczyzna lub kobieta, to bez różnicy, przeniósł następnie zwłoki na łóżko i poszczególne ich części ułożył tak, jak leżą w tej chwili na stole.

- To straszne - powiedziała Paula ochryłym głosem. Odchrząknęła.

- Jedna z najgorszych spraw w mojej karierze, a przecież byłem pewien, że widziałem już wszystko. Okropne. Proponuję, żebyśmy się przenieśli do salonu. Żona przygotowała poczęstunek. Możemy rozmawiać w znacznie przyjemniejszym otoczeniu. John - zwrócił się do młodego lekarza myjącego ręce w głębokim zlewie - wiem, że zrobiłeś rentgenogramy kobiety leżącej na

moim stole. Ale będę potrzebował dodatkowych, zrobionych pod każdym możliwym kątem. Z góry dziękuję.

W małej szatni, przez którą przechodzili wcześniej, pozbyli się obowiązkowych białych strojów. Zamykając szafkę, Saafeld zwrócił się do Tweeda:

- Jestem wyjątkowo pedantyczny. Te ubrania zostaną spalone, bo przecież mogliście złapać w kostnicy coś nieprzyjemnego. No, to idziemy na herbatkę.

Wyszli do holu. Saafeld zamknął ciężkie drzwi, ale nie użył karty magnetycznej. Zapewne zatrzaśkiwały się automatycznie.

Siedzieli w wygodnych fotelach w luksusowo umeblowanym salonie. Siwowłosa kobieta pod sześćdziesiątkę przyniosła dużą srebrną tacę z ciasteczkami, porcelanowymi filiżankami Wedgwooda oraz dwoma dzbankami z kawą i herbatą.

- Pozwól, że ci pomogę... - Saafeld poderwał się z miejsca.

- Nie. Siadaj, Willy - powiedziała kobieta rozkazującym tonem. - Z tym ciągle potrafię sobie poradzić. - Postawiła tacę na stoliku pomiędzy fotelami. - Dzień dobry, Paulo. Miło cię znowu widzieć. Pana także, panie Tweed.

- Nie powinnaś robić sobie tyle kłopotu - odpowiedziała Paula z równie ciepłym uśmiechem.

- Wybaczcie, że nie dotrzymam wam towarzystwa - usprawiedliwiła się gospodyni. - Mamy gości na kolacji, moje miejsce jest w kuchni.

- Gości? - zdziwił się Saafeld i przerwał, widząc szczególny wyraz oczu wychodzącej z pokoju żony.

Ona wie, co widzieliśmy, pomyślała Paula. I taktownie zostawia nas samych. Przyjęła filiżankę herbaty z odrobiną mleka, bez cukru. Kiedy gospodarz podał jej ciasteczka, odmówiła ze sztucznym uśmiechem. Była głodna, ale to, co zobaczyła w kostnicy, odebrało jej apetyt. Tweed pił kawę, lecz nawet on odmówił poczęstunku.

- Przed wyjściem z biura zjedliśmy obfity lunch - zełgała dziewczyna.

- Możesz nam powiedzieć coś o mordercy? - spytał Tweed.

Saafeld rozparł się w fotelu. Patrząc w sufit, uważnie dobierał słowa.

- Przede wszystkim jest wyjątkowo silny. Dowodzi tego fakt, że ilekroć uderzał tasakiem do mięsa, a moim zdaniem użył właśnie tego narzędzia, choć nie jest to do końca ustalone, nie tylko przecinał kości, mięśnie i ciało, ale także pozostawiał głębokie ślady na dębowej podłodze. Większej siły niż cios wymagało pewnie wyrwanie ostrza z parkietu do następnego uderzenia.

- A więc z pewnością cały zalany był krwią? - podpowiedział Tweed.

- Niekoniecznie. Mógł włożyć chirurgiczną maskę i taki strój, jaki mieliście na sobie w kostnicy. Po wszystkim zdjął fartuch i spakował go do jakiegoś pojemnika czy torby, którą przyniósł ze sobą.

- Czy są jakieś oznaki, że włamał się do mieszkania?

- Nie ma żadnych. Co sugeruje, że pani Vander-Browne znalazła mordercę. Niezwykle dobrze przemyślana zbrodnia. - Saafeld umilkł na chwilę, po czym kontynuował: - Morderca... czy też morderczyni - dodał, zerkając na Paulę - przyjechał na miejsce z całym swym wyposażeniem: bronią, strojem i tak dalej. Podejrzewam, że ubrany był normalnie. Twierdzą tak, ponieważ w łazience

znaleźliśmy włókna bawełny i ślady pudru. Gość panny Vander-Browne mógł przyjechać wcześniej. Włożył fartuch, kiedy była w łazience. Obawiam się, że to wszystko, co mogę powiedzieć w tej chwili.

- Doprawdy? - zdziwił się Tweed.
- No cóż, nie jestem psychiatrą. Może mamy do czynienia z psychopatą, ale to słowo w gruncie rzeczy niewiele mówi. Niektórzy ludzie o zimnej krwi, z gruntu źli, żyją w strasznym napięciu wewnętrznym. Napięcie wzrasta przez dni, może tygodnie, aż osiąga poziom, kiedy ten człowiek gotów jest mordować... i rozkoszować się morderstwem.
- A więc trudno ich wykryć - mruknął do siebie Tweed.
- Nazywam to burzą krwi - zakończył Saafeld.

Rozdział 6

Wracali na Park Crescent. Prowadził Tweed. Paula zerknęła na niego kilkakrotnie, udając, że przygląda się ruchowi ulicznemu. Był bardzo poważny, sprawiał wręcz wrażenie przybitego. I w dodatku od kiedy wsiedli do samochodu, nie odezwał się ani słowem.

- Zatrzymaj się - poprosiła.
- Włączył migacz, podjechał do krawężnika, spojrzał na nią pytająco. Poprosiła, żeby wyłączył silnik. Przekreślił kluczyk, skulił się w siedzeniu. Wzięła go za rękę.

- O co chodzi? - spytała cicho.
- O nic. Wszystko w porządku.
- A jednak coś nie jest w porządku. Zdecydowanie nie w porządku. Porozmawiaj ze mną. Rozmowa zawsze pomaga.

Podawała mu płaską butelkę wody, którą wyjęła z kieszeni w drzwiach. Tweed wypił na jej prośbę mały łyk, po czym niemal opróżnił butelkę.

- Dzięki. Teraz już wszystko w porządku.
- Wcale nie. Mów do mnie.
- Byliśmy w kostnicy. Myślałem tylko o tym, jak wyglądała Vio-la, kiedy jedliśmy kolację w Mungano's. Taka prześliczna, taka młoda. Spodobała mi się. I chyba ja się jej spodobałem. Gdybym tylko odwiózł ją do domu... a ja zjechałem w alejkę i zasnąłem. Gdybym odwiózł ją do domu, teraz by żyła. Nigdy sobie tego nie wybaczę.

Przerwał mu sygnał telefonu komórkowego. Paula wysłuchiwała informacji, zadając tylko kilka pytań.

- Dzwonił profesor Saafeld - powiedziała. - Przeprasza, że zapo mniał przekazać ci wyniki badania krwi. W twojej margaricie był percodin. - Przeliterowała nazwę specyfiku. - Nie amerykański per-codan; to coś zupełnie innego. Percodin paraliżuje system nerwowy, osłabia go. Po prostu wyłącza człowieka. Powiedziałaś Saafeldowi, że wypileś mniej więcej jedną piątą drinka. Percodin działa początkowo powoli, po czym, w krótkim czasie, daje pełny efekt. Gdybyś wypił całą szklaneczkę, twój umysł przestałby działać spójnie na dwadzieścia cztery godziny. Więc jak, do cholery, mogłeś odwieźć Violę do domu? Nie mogłeś i tyle. Lepiej się teraz czujesz?

- Czuję się lepiej, kiedy się dowiem, kto mi zaserwował tego cholernego drinka. - Tweed był wściekły. - Pamiętam kelnerkę, która ra podawała mi drinka. Mungano zapewne będzie w stanie ją zidentyfikować. No, jedziemy!

Milczał przez całą drogę do Park Crescent. Dzięki Bogu, że Sa-af eld zadzwonił do mnie, pomyślała Paula.

Weszli do biura. Niel był już na miejscu. Sprawiał wrażenie bardzo zadowolonego z siebie. Monica pomogła szefowi zdjąć płaszcz.

- Dzwonił pański przyjaciel, nadinspektor Hammer - powiedziała. - Chce się z panem spotkać. Twierdzi, że to pilne.

- Może dla niego - zakpił Tweed. Usiadł za biurkiem.

- Powiedziałam, że pan wyjechał, chyba za granicę. I że nie mam pojęcia ani gdzie, ani kiedy pan wróci.

- No to oberwał po pysku - powiedziała Paula zza swego biurka. - Gdzie Harry?

- Wyszedł. Wyglądał jak włóczęga, jeszcze bardziej niż zazwyczaj, chociaż to się wydaje niemożliwe. Powiedział, że chce pogadać z jakimiś przyjaciółmi na East Endzie.

- Bardzo dobrze. A ty, Pete, czego dokonałeś? Bo jakoś szybko wróciłeś.

- Przecież mnie znasz - odparł Niel. Przysiadł na biurku Tweeda, założył ręce.

- Nie marnuję czasu. Na razie udało mi się dowiedzieć, że Benton Macomber ma żonę Georginę, która prowadzi własny dochodowy dom mody. Mieszkają w domu w Hampstead. Mam adres i numer telefonu. Najmłodszy, Noel, to coś całkowicie innego. Lubi kobiety, im więcej, tym lepiej. Rzuca kolejne przyjaciółki, gdy tylko wpadnie mu w oko ładniejsza i bardziej atrakcyjna kobieta. Prawdziwy Don Juan. Dysponuje nieprzeciętnym urokiem, który włącza i wyłącza na życzenie, jak światło. Intelktualista. Wszyscy trzej bracia studiowali w Oxfordzie. Noel miał status juniora ze względu na wiek, ale i tak skończył na pierwszych miejscach na trzech fakultetach, co nie zdarza się często. Ma kawalerkę na uliczce odchodzącej od Pall Mail. Tu jest wszystko: adresy, numery telefonów... z wyjątkiem danych Noela, który zastrzegł sobie dane osobowe.

- Doskonale się spisałeś - przyznał Tweed, kartkując notes, który Niel rzucił mu na biurko.

- Jest jeszcze coś - powiedział Niel głosem absolwenta dobrej prywatnej szkoły. - Nelsona, Bentona i Noela tropi urzędniczka pań stwowa wysokiego szczebla, niejaka Zena Partridge, nazywana za plecami Papugą lub Straszną Zrzedą. Zwariowana na punkcie kon trolowania wszystkiego w okolicy, tak przynajmniej twierdzą moi informatorzy. Ojciec, generał Lucius Macomber, ma dom na dużej działce obok niewielkiej wioski Peckham Mailer na granicy Surrey i Sussex. Wszystko jest w notatniku. Nic więcej nie wiem.

- Ta twoja informatorka to żyła złota - zauważył Tweed. - Kim ona jest?

- Nie przypominam sobie, bym powiedział, że to kobieta. I nie pytaj mnie o nazwisko. Znasz zasady. Żaden z nas nie zdradzi informatora. Nie ma mowy. Za pięć sekund znów ruszam na polowanie.

- Udanych łowów i wielkie dzięki - rzucił Tweed wychodzącemu z biura Nielowi.

- Założę się, że ani pan, ani Paula nic nie jedliście - powiedziała stanowczo Monica, wstając. - Na szczęście przygotowałam wam coś w kuchni na gorze. Zaraz wracam.

- Rzeczywiście, jestem głodny - powiedział z namysłem Tweed.

- I ja też! - krzyknęła Paula. - Wypadam przez własne kieszenie, jak mawiają na północy.

Oboje ze smakiem zjedli zapiekanekę z mięsa i ziemniaków, marchewkę, szpinak i na deser szarlotkę na gorąco z kawą i herbatą. Paula próbowała sprzątnąć po posiłku, ale uprzedziła ją Monica, ułożyła naczynia w szybie windy kuchennej i wcisnęła guzik informujący obsługę, że mają dodatkową pracę.

Paula wyjrzała przez okno. Zmarszczyła brwi, odwróciła się.

- Zdaje się, że mamy kolejnego gościa. Dziwnie wygląda.

Monica podeszła do okna, wyjrzała przez gęste firanki. Dostrzegła wysoką, szczupłą postać w ciemnych spodniach, granatowym płaszczu i kapeluszu nasuniętym nisko na oczy. Gość już wchodził po schodach, gdy Paula zobaczyła jeszcze okulary w rogowej oprawie.

- Idzie do nas. - Monica usiadła za biurkiem. Czekala na telefon z recepcji na dole.

I doczekała się.

- Zena Partridge chce się z panem zobaczyć. Natychmiast.

- Zdaje się, że mówiłaś o mężczyźnie - zauważył Tweed.

- Bo wygląda jak mężczyzna.

- Dobrze, że Nield zdążył poinformować nas o swych odkryciach. Przyślij tę dziwnie wyglądającą osobę. Nie rozumiem, dlaczego zwraca się właśnie do mnie.

- Wkrótce się dowiemy, prawda? - zakpiła Paula.

Na schodach usłyszeli stuk ciężkich butów, drzwi otwarły się bez pukania i tajemniczy gość wszedł do pokoju. Paula przyglądała się dyskretnie dziwnej postaci. Gdy Zena Partridge zdjęła męski kapelusz, na jej plecy opadła fala gęstych kasztanowych włosów.

Nosiła okulary z grubymi kościanymi oprawkami i grubymi szklami. Ukrytymi za nimi zielonozłotymi oczami szybko i nieco ukradkowo rozejrzała się po pokoju. Usta pomalowane miała jaskrawą szminką. Zignorowała Monice proponującą, że odbierze od niej płaszcz, i powiesiła go na oparciu krzesła przed biurkiem Tweeda. Miała na sobie luźną białą bluzkę ze wzorem z róż.

- Pan jest Tweed - powiedziała bez wstępów. - A pani to z pew nością Paula Grey - dodała, obrzucając Paulę krótkim spojrzeniem.

Ja nazywam się Zena Partridge. Jestem starszą urzędniczką pań stwową. Moim zadaniem jest udzielanie pomocy trzem podsekretarzem stanu, Nelsonowi, Noelowi i Bentonowi Macomberom. Mam też inne obowiązki, praca jest bardzo ciężka, ale to mnie nie mar twi. Jestem przyzwyczajona do ciężkiej pracy. Natomiast chciałam zasięgnąć pańskiej opinii w sprawie wynajęcia ochrony.

O Boże, tylko nie kolejna przerażona kobieta! - pomyślał Tweed. Tymczasem Partridge mówiła dalej rozkazującym tonem, niczym oficer zwracający się do żołnierzy:

- Zgłaszam się do pana z tym żądaniem, ponieważ jestem śledzona. Chcę położyć temu kres. - Spojrzała na niego gniewnie zza grubych szkieł. - Ochrona musi być jednak niewidzialna. Ludzie, dla których pracuję, pod żadnym pozorem nie mogą wiedzieć, co się dzieje. Nie potrafię powiedzieć panu, dlaczego ktoś mnie śledzi, ale to się musi skończyć. Nie mam wrogów. Nic, tylko pracuję, pracuję, pracuję...

- Czy mogłaby pani opisać... - spróbował przerwać jej Tweed.
- Jest niski, tęgi, ma około pięćdziesiątki, ubiera się zawsze w granatowy garnitur, białą koszulę i czerwony krawat. Nosi niebieskie sportowe buty, cały czas pali tanie cygaro. Mam nawet dowód.

Sięgnęła do skórzanej torby i wyjęła przezroczystą torebkę z na pół wypalonym cygarem. Rzuciła ją na biurko. Tweed przyjrzał się foliowej torebce, lecz nawet nie wziął jej do ręki.

Pani Partridge miała jeszcze wiele do powiedzenia.

- Może to jakiś trop - DNA ze śliny i w ogóle - ale ja się na tym nie znam. Zapłacę za pańskie usługi rozsądne honorarium, a to nu mer mojego telefonu komórkowego. - Położyła na biurku wizytówkę, którą wyjęła z torby razem z cygarem. - Na wizytówce jest tylko numer. Nie chcę, żeby ktokolwiek wiedział, gdzie mieszkam. Zorientowałam się, że powinnam coś zrobić, kiedy w gazecie przeczytałam o śmierci tej Vander-BrOwne. Po ulicach kręci się szaleniec. Nie mam zamiaru być jego następną ofiarą.

Dopiero się rozkręcała, mówiła coraz szybciej i szybciej. Wzięła głęboki oddech, otworzyła usta. W tym momencie Tweed uderzył pięścią w stół. Spojrzała na niego oburzona.

- Gdzie znalazła pani to cygaro? I od jak dawna jest pani obserwowana?
- To cygaro podniosłam z chodnika w Whitehall. Zobaczyłam jadący powoli ulicą radiowóz, więc odwróciłam się i chciałam podejść do tego mężczyzny, rzucić mu wyzwanie. Grubas rzucił cygaro na ziemię, a potem znikł. Kiedy minął nas radiowóz, grubas pojawił się znowu. Zobaczył, że podchodzę, więc zatrzymał taksówkę. Odjechał, a ja podniosłam ten niedopałek. Miałam rękawiczki. Schowałam resztkę cygara w torebce na dowody rzeczowe. Zawsze mam je przy sobie, chowam do nich zużyte jednorazowe chusteczki. Zarazki są wszędzie. Grubas śledził mnie od dwóch dni, za każdym razem, kiedy wychodziłam z biura. A w ogóle tak sobie myślę, że pani Paula Grey jest w poważnym niebezpieczeństwie. Nie pytajcie, skąd o tym wiem. Nie powiem. Ścisłe tajne.

- Medfords Security Agency - przerwał jej Tweed. - Podam pani adres i nazwisko człowieka, z którym powinna się pani skontaktować. Nie zajmujemy się rozwiązywaniem problemów takich jak pani problem. Bardzo mi przykro.

- Mnie też! - krzyknęła pani Partridge, zrywając się na równe nogi. Narzuciła płaszcz na ramiona. - Wiem, jak trafić do Medfords Security. Przychodząc tutaj, straciłam tylko mnóstwo czasu. Odchodzę. Pan może zatrzymać cygaro.

Wyszła. Monica wstała, odetchnęła głęboko.

- No, no! Mówiła prawie pięć minut bez przerwy. Nic dziwnego, że koledzy z pracy nazywają ją Papugą. Żeby już nie wspomnieć o Strasznej Zrządzie. A wrogów musi mieć tłumy, w końcu podlega jej wielu ludzi.

- Paula, wierzysz to, co powiedziała?

- Nie wierzę w ani jedno jej słowo.

- Mnie obeszło tylko jedno: uwaga, że jesteś w niebezpieczeństwie. Być może, przyszła tylko po to, żeby nam to powiedzieć. Być może, Konspiracja rozpoczyna kampanię dyskredytowania mnie, bo chce, żebym przestał się przeciwstawiać ich szalonym planom połączenia służb bezpieczeństwa i policji.

- Nie sądzę - powiedziała Paula. W tym momencie zadzwonił jej telefon

komórkowy. - Tak? - rzuciła w słuchawkę.

- Poznajesz mój głos? - spytał ktoś. Newman.

- Tak, poznaję.

- Potrzebna mi twoja pomoc. Natychmiast. Jestem w hotelu Monk's Head w Tolhaven, na zachód od Dorset. Możesz przyjechać?

- Już jadę.

- Przywieź aparaty fotograficzne. Dzieje się coś bardzo dziwnego. Dojedź od...

Połączenie zostało przerwane. Paula zapisała adres w notatniku. Otworzyła zamkniętą na klucz szufladę, wyjęła z niej browninga, sprawdziła mechanizm, włożyła magazynek, umieściła pistolet w kaburze podramiennej. Małą berette 6.35 milimetra wsunęła do zrobionej specjalnie dla niej kabury umocowanej na łydce. Pokazała kartkę z adresem Tweedowi, streściła rozmowę z Newmanem.

- Zaczyna się ruch w interesie - zakończyła. - No, najwyższy czas.

- Pojechałbym z tobą - usprawiedliwił się Tweed - ale tyle tu się dzieje...

- Bob o ciebie nie prosił. - Uśmiechnęła się kpiąco. - Będę cię o wszystkim informowała... na ile to możliwe. Pożycz komórkę od Nielda. Do zobaczenia.

- Tylko nie jedź swoim saabem - ostrzegł ją Tweed. - Ludzie wiedzą, jaki masz samochód, a nasi przeciwnicy z pewnością odrobili lekcje. Weź mojego poobijanego forda z podkręconym silnikiem. To może ich zmylić.

- Jasna sprawa.

Była już prawie przy drzwiach, gdy zatrzymała się, pochyliła i podniosła złotzieloną soczewkę kontaktową. Położyła ją na biurku Tweeda.

- Nasza Papuga musiała ją zgubić, kiedy opuszczała nas w pośpiechu.

- Ciekawe. - Tweed zamyślił się głęboko.

- Jeszcze jedno. - Paula wręczyła mu aparat fotograficzny. - Zrobiłam dwa zdjęcia naszego gościa.

Tweed przywołał Monice i wręczył jej aparat.

- Zabierz to do piwnicy, dobrze? - polecił. - Niech wywołają zdjęcia i przekażą je naszemu utalentowanemu artyście, Joelowi. Potem poproś go na górę. Wiem z doświadczenia, że nie ma sobie równego w tworzeniu portretów.

Rozdział 7

Paula pędziła autostradą, tą samą, którą wcześniej jechał Newman. Przed wyjazdem z Park Crescent sprawdziła z mapą w rękę, jak dojechać do Tolhaven. Przedtem nigdy o tej miejscowości nie słyszała. „Podkręcony silnik”, powiedział Tweed. Musiała uważać, żeby nie stracić panowania nad samochodem. Prowadziła skoncentrowana do tego stopnia, że minęła skrzyżowanie z dróżką prowadzącą do bezpiecznego domu, który wybrał Newman, nawet o tym nie myśląc. Nieco dalej zjechała z autostrady w drogę biegnącą nieco bardziej na południe.

Koniec marca. Było piękne, choć chłodne, słoneczne popołudnie. Otworzyła okno na kilka centymetrów, zimne powietrze doskonale odświeżało. Często patrzyła we wsteczne lusterko, ale nie zauważyła nawet śladu czarnego samochodu. Udało się jej umknąć Służbie Bezpieczeństwa Państwowego... nie, to ciągle jeszcze były Służby Specjalne, mimo czarnych mundurów, długich płaszczy i czapek z daszkiem.

Po obu stronach drogi ciągnęły się łagodne wzgórza. Tu i ówdzie widać było

brązowe płachty nagich pól; orka szła pełną parą. Paula westchnęła z nieukrywaną przyjemnością. Dobrze było znaleźć się na wsi, z dala od zatłoczonych ulic i kamiennych domów Londynu.

Zakręty na tej drodze zdarzały się rzadko, przeważały długie proste odcinki, zaryzykowała więc zwiększenie szybkości. Przejechała wreszcie przez Dorset Downs i w tym momencie otworzył się przed nią przepiękny widok. Otoczona po obu stronach żywopłotami droga prowadziła w dół, ku szerokiemu pasmu błękitnej w promieniach słońca wody. Kanał La Manche. Przejechała powoli przez pierwszą od bardzo wielu kilometrów wioskę. Przy drodze stał znak z nazwą: Tolhaven.

Na drodze nie było żadnego samochodu oprócz jej forda. Paula myślała o soczewce kontaktowej, którą dała Tweedowi razem z aparatem ze zdjęciami Papugi. Identyczny aparat miała teraz w kieszeni. „Ciekawe” - powiedział Tweed i poprosił Monice, żeby zaniósła aparat do rządzących piwnicą technicznych geniuszy. Mieli wywołać film, a zdjęcia dać grafikowi, Joelowi. Dlaczego? Co też za pomysł ułagł się w tym jego jakże sprawnym mózgu?

Tolhaven było zaledwie prowincjonalnym miasteczkiem, maleńkim, zabudowanym kamiennymi domami; większość parterów zajmowały sklepiki. Znalazła Monk's Head, zaparkowała pod lukiem. Rangę rover Newmana stał w rogu parkingu.

Siedząca w recepcji kobieta pod sześćdziesiątkę w pogniecionej szarej garsonce oznajmiła jej, że owszem, pan Newman uprzedził o przyjeździe gościa. Zajmuje pokój numer dwadzieścia pięć, jej zarezerwował pokój numer dwadzieścia cztery, oba na pierwszym piętrze.

- Pospieszylaś się - powitał Paulę Newman, gdy weszła do jego pokoju, dużego, z oknami wychodzącymi na główną ulicę Tolhaven. - Wzięłaś broń?

- Tak. A co, spodziewasz się kłopotów?

- Owszem. Dzięki, że przyjechałaś. Potrzeba mi kogoś wrażliwego, czulego na atmosferę. Idziemy. Pieszko. Wkrótce się ściemni.

- Mogę zanieść do pokoju torbę? I włożyć mocniejsze buty? Chodź ze mną, jeśli chcesz.

Widziała, że Newman tryska energią, lecz choć powitał ją uśmiechem, teraz był bardzo poważny, nawet ponury. Miał na sobie wojskową połowę kurtkę i spodnie wsunięte w wysokie buty. Paula przebrała się szybko, podczas gdy on wyglądał przez okno, obserwując parking.

- Wiesz, co robisz - pochwalił ją. - Zaparkowałaś tyłem, jak ja. Przygotowałaś się na szybką ucieczkę.

- A przewidujemy takie wyjście?

- Zapłaciłem za oba pokoje, za dwie doby z góry. Jeśli zajdzie taka potrzeba, możemy wiać w każdej chwili.

- Spodziewasz się takiej potrzeby?

- Służba Bezpieczeństwa Państwowego już tu jest w pełnym rynsztunku bojowym. Przeprowadziłem rekonesans; jak chcesz, mogę ci wszystko pokazać. - Zerknął na łazienkę. - Być może, wychodzimy na dłużej.

- Ja jestem gotowa. To na co czekamy?

- Jadłaś? - spytał Newman, zatrzymując się na chodniku przed hotelem.
 - Powiniennem był zapytać wcześniej.
 - Powinieneś. Podobno się spieszymy?
- Obeszli hotel boczną uliczką, dotarli na Main Street u jej końca. Wyszli na pola; miasteczko znikło, jakby go nigdy nie było. Droga doprowadziła ich do starego mostu. Paula wyjrzała przez kruszącą się kamienną barierkę; pod mostem bystra rzeka biegła do morza. Na jednym z brzegów znajdowała się drewniana przystań, powoli, acz nieuchronnie wałęsa się do wody.
- Wiele lat temu, nim cofnęła się linia brzegu, Tolhaven leżało nad morzem - tłumaczył Newman. - W mieście do tej pory opowiada się o bitwach przemysłowców z, jak dziś byśmy nazwali, Strażą Przybrzeżną.
 - Strasznie tu cicho. Słysząc tylko szum wody - zauważyła Paula. Szybko zeszli z mostu.
 - W porównaniu z miejscem, do którego zmierzamy, tu toczy się wojna.
 - Nie mogę się doczekać.
- Droga zmieniła się w ścieżkę między jodłami. Po prawej stronie odbiegała od niej ścieżka, przy której stał znak z napisem „Prom”.
- A prom dokąd płynie? - spytała Paula.
 - Na Black Island. To niedaleko stąd. Byłem tam niedawno, taki szybki rekon...
 - A co to takiego? Kiedyś chyba słyszałam to słowo.
 - Wojskowe określenie zwiadu. Słyszałem je od Philipa Cardona, podczas tej zabawy w Marsylii.
 - Zabawy? Omal nie zginęliśmy!
 - W porównaniu z tym, co nas może czekać, Marsylia to jak miś miódki.
- A teraz bądź cicho i chodź za mną.
- To, co mówił i jak zachowywał się Newman, sprawiło, że Paula sprawdziła, czy browning łatwo wychodzi z kabury. Skręcili w kolejną leśną ścieżkę. Przygnieciona trawa i zeschnięte paprocie układały się w dwie równoległe linie, ślady samochodowych opon. Nagle znaleźli się na skraju polany.
- Newman podniósł rękę, ostrzegając Paulę, by nie szła dalej. Na polanie stały trzy samochody zwrócone maskami w stronę przeczki. Zrzucił torbę do górnika, którą niósł przewieszoną przez ramię, i przyjrzał się samochodom uważnie przez niewielką, choć mocną lornetkę. Zabrało mu to trochę czasu.
- Puste - powiedział szeptem.
 - Co masz w tej torbie? Podejrzewam, że nie kajdanki?
 - Pistolety maszynowe z mnóstwem amunicji - wyjaśnił obojętnie. - Moim zdaniem możemy zaryzykować, przepłynąć promem na Black Island. Nasi przeciwnicy zainstalowali lampy oświetlające teren robót, więc zapewne pracują także w nocy.
 - A nad czym?
 - Chciałbym, żebyś to sobie obejrzała. A jeśli usłyszysz ode mnie coś w rodzaju „padnij!”, to padaj natychmiast i o nic nie pytaj.
- Wrócili ścieżką do miejsca, w którym stał znak wskazujący dojście do promu.
- Mam wrażenie, że zawsze wykonywałam twoje polecenia - zauważyła Paula. - W końcu byłam z tobą na obozie treningowym w Surrey. I na strzelnicy poszło mi, o ile pamiętam, znacznie lepiej niż tobie.

- To oczywiście prawda - przytaknął Newman. - Chodziło mi tylko o to, że moim zdaniem ci twardziele w mundurkach Służby Bezpieczeństwa Państwowego są dobrze wyszkoleni... i dobrze uzbrojeni. Szli ścieżką prowadzącą do promu. Co jakiś czas Newman zatrzymywał się, nasłuchiwał, po czym ruszał przed siebie długimi krokami. Żeby za nim nadążyć, Paula musiała niemal biec. Las skończył się wreszcie, wyszli na otwarty teren, zapach morza stał się jeszcze silniejszy. Prom przypominał dużą barękę z drabinką na rufie, tuż przy dużym silniku. Na nabrzeżu stał facet o pomarszczonej od słońca i wiatru twarzy. Palił wygiętą fajkę.

- Chcecie przepłynąć na drugą stronę? - zapytał z charakterystycznym akcentem zachodniego wybrzeża. - Spokojnie dziś, nie musicie wkładać peleryn. Jestem Abe.

Newman zapłacił za przewóz dwóch osób.

- Miał pan dziś jakichś pasażerów?

- Tylko sześciu tych sukinsynów... och, bardzo przepraszam, panienko... tych w czarnych wymyślnych mundurkach. Pojawili się wcześniej rano, zapytali, czy ta stara balia, tak nazwali mój prom, pływa nocą. Powiedziałem im, że ostatni kurs mam o wpół do dziewiątej wieczorem. Wracam kanałem oznaczonym przez boje świetlne. Jeden z nich powiedział, że jeśli choć o nich wspomnę, to skończę w szpitalu. Już nigdy nie odezwę się do żadnego z nich...

Wspięli się po drabince. Po obu stronach barki stały ławy dla pasażerów. Zajęli miejsca w pierwszym rzędzie, na dziobie. FTom odbił od brzegu, przepłynął kanałem wśród wysokich trzcin i znalazł się na otwartym morzu.

- Black Island ma kształt trójkąta z wierzchołkiem skierowanym na południe, w głąb kanału La Manche - tłumaczył Pauli Newman. - Dobijemy do brzegu w małej wiosce Lydford. Jest tam pub... i niewiele więcej.

- Żadnych turystów?

- Bywa ich sporo na wschodnim wierzchołku, gdzie stoi trochę małych hotelików i gdzie są ładne plaże. Mają tam nawet prom przystosowany do przewożenia samochodów. My wylądujemy w okolicy, gdzie mieszkają tylko autochtoni w wiosce takich jak Lydford. Na zachodzie nie ma nic i tam nasi mundurowi przyjaciele budują jak szaleni. To aż straszne. Dlatego chcę, żeby ktoś zrobił zdjęcia.

Przerwał, bo Abe zdążył już zablokować ster i zmierzał w ich stronę. Właściwie nie czuli ruchu, tylko wieża kościoła w Lydford stawała się coraz większa i wyraźniejsza.

- Nie wiem, co oni mogą budować - zaczął Abe. Mówił, nie wyjmując fajki z ust.

- Widziałem, jak podpływają tam statki towarowe, wyladują stalowe szyny i pustaki.

- Pewnie planują kolejne centrum turystyczne - powiedział z namysłem Newman.

- Nie wygląda mi na to. No, wkrótce przybijamy. Przyplynie odebrać pasażerów za godzinę. Wy wracacie?

- Mam nadzieję - powiedziała Paula cicho, do siebie.

Cichy stuk oznajmił, że barka dobiła do drewnianego nabrzeża. Newman zarzucił na ramię torbę golfową i pomógł Pauli zejść na brzeg. Po drodze do

małej wioski z uśmiechem postukał palcem w torbę.

- Dobrze, że na wschodzie są pola golfowe. Nikt nie zwróci na mnie uwagi.
- Bo tu nikogo nie ma - odpowiedziała Paula.

Wioska rzeczywiście była maleńka. Po obu stronach drogi stały piętrowe, kryte strzechą domki; przed każdym z nich znajdował się ładnie utrzymany ogródek wielkości znaczka pocztowego. Kościółek, rozmiarami pasujący do wioski, wybudowano wieki temu z czarnego kamienia.

- Niezbyt przyjazny widok - zauważyła dziewczyna. - Czarny kamień. Dlaczego?
- Ponieważ na wyspie znajdują się jedyne znane mi kamieniołomy granitu na południu. Czarnego granitu. Stąd zresztą jej nazwa.

- Tam stoi kilka ładnych i z pewnością nietanich domów. Widać je w przerwach między jodłami. I dęby tu rosną.

- Skracamy o tam, w tamtą alejkę. - Newmana nie zainteresowały jej obserwacje. Cały czas rozglądał się dookoła, szukając choćby najdrobniejszych śladów życia. - Za chwilę może zrobić się ciekawie.

Szli na zachód uliczką skręcającą łagodnie. Gałęzie jodeł krzyżowały się nad ich głowami; mieli wrażenie, że idą tunelem. Skręcili za rogiem i zobaczyli dróżkę prowadzącą w lewo. Na nierównej, pełnej dziur nawierzchni widać było wyraźnie ślady kół dużych ciężarówek. Stał tu wartownik w długim czarnym płaszczu i czapce z daszkiem, uzbrojony typowo dla Służby Bezpieczeństwa Państwowego w pistolet maszynowy przewieszony przez lewe ramię. Twarz miał okrutną, niedogoloną.

- Wracajcie, skąd przyszliście - warknął, widząc zbliżającą się do niego parę. - Z powrotem na pieprzony stały ład. Tu nie ma wstępu. Równie dobrze możecie wytarzać się w trawie po drugiej stronie kanału.

- Ach, te maniery... - zakpił Newman.

Wartownik zsunął broń z ramienia. Obserwował tylko mężczyznę. Paula już miała pistolet w ręku, trzymała go za lufę. Uderzyła faceta kolbą, mierząc w nasadę nosa. Wartownik szeroko otworzył oczy, zamknął je powoli i upadł na wznak na skraju dróżki. Newman przykląkł przy nim, zbadał puls. Spojrzał na przyjaciółkę, uśmiechnął się do niej.

- Dobra robota.
- Patrzył tylko na ciebie. Kobieta go nie interesowała.
- Poleży tak sobie jakiś czas. Musimy go gdzieś ukryć, ale na szczęście znam dobre miejsce. Znalazłem je, kiedy byłem tu dziś ra no. - Bez wysiłku zarzucił na ramię ciało potężnie zbudowanego mężczyzny. - Weź jego broń! - krzyknął do Pauli.

Na skrzyżowaniu zszedł z drogi. Paula dogoniła go, zobaczyła, że stoją na krawędzi porzuconego kamieniołomu. Zbocze z tej strony było względnie ładne. Newman pochylił się, położył nieprzytomnego na ziemi i lekko pchnął. Strażnik potoczył się na sam dół. Nie czekając na instrukcje, Paula rzuciła pistolet maszynowy tak, by wylądował obok niego.

- Teraz zrobi się niebezpiecznie - zauważył Newman, kiedy wrócili na ścieżkę.
- A jak nazwiesz to, co się stało przed chwilą? - zainteresowała się Paula.
- Och, to tylko pierwsza wymiana strzałów.

Wyszli zza zasłony drzew, znaleźli się wśród nagich, łagodnych pagórków.

Daleko na południe Paula zobaczyła zielone wzgórze na tle niebieskiego morza. I ani śladu życia.

- Co to za wzgórze? - spytała.

- Nos Wiedźmy. Całkiem dobra nazwa, biorąc pod uwagę, kto zajął sobie zachodnie wybrzeże wyspy.

Newman niósł już w rękę pistolet maszynowy, który wyjął z torby. Paula trzymała przy boku browninga, gotowa w każdej chwili wsunąć go do torebki, gdyby uznała, że zmuszają ją do tego okoliczności. Weszli na niewysoki, długi grzbiet. Newman zatrzymał się, padł na ziemię, przyłożył broń do ramienia. Paula natychmiast ukryła się obok niego.

- A to po co? - spytała.

- Interesują mnie kampanie księcia Wellingtona na Półwyspie Iberyjskim. W bitwie pod Vimeiro rozmieścił swą piechotę za grzbietem wzgórze, by ochronić ją przed rozpoczynającym bitwę ciężkim ogniem artylerii. Kiedy zaatakowała konnica, niewidoczni dla niej strzelcy powitali atak morderczym ogniem. Ofiary liczone w setki. No, na nas pora...

Przekroczyli grzbiet wzgórze, zeszli z drugiej strony i po krótkim marszu wśród traw wspięli się na kolejne zbocze. Niebo miało barwę głębokiego błękitu, wiał ostry, zimny wiatr. Paula zapięła wiatrówkę aż pod szyję.

Newman wspiął się na górę, położył, wysunął przed siebie pistolet maszynowy. Paula oczywiście poszła za jego przykładem.

- Możemy przestać bawić się w żołnierzy i coś wreszcie zrobić? - zaprotestowała, wyraźnie zirytowana. - Cholernie zimno.

- Jesteśmy już prawie na miejscu. - Newman z uśmiechem poderwał się na równe nogi. - Masz ze sobą aparat fotograficzny? Tak?

No to świetnie. Będiesz mogła zrobić kupę zdjęć... jeśli nic się nie zawali. Początki państwa policyjnego...

W wielkiej dolinie trwała budowa. Newman obejrzał ją dokładnie przez lornetkę.

- Nie widzę nikogo - oznajmił zadowolony. - Wszyscy co do jednego poszli na lunch do pubu. Wchodzimy. Przygotuj się na szok, to nowe i bardzo pomysłowe więzienie. Zrób jak najwięcej zdjęć.

Wszędzie dookoła widać było szkielety budynków, dobudowywanych do już istniejących. Konstrukcja była prosta: stalowy szkielet wypełniony pustakami. Newman poprowadził Paulę w kierunku jednego z wykończonych budynków. Drzwi wejściowe zrobiono z grubej stali, jednak ciągle brakowało w nich zamka.

Paula weszła do środka i zadrżała. Za podłogę służył nagi beton; podziękowała losowi za to, że włożyła mocne buty. Prowadzący przez całą długość korytarz był zdumiewająco wąski. Spodziewała się, że po jego obu stronach zobaczy cele oddzielone od niego kratami, ale nie dostrzegła żadnych krat. Newman otworzył stalowe drzwi jednej z nich.

Okazało się, że cela ma rozmiar niewielkiej psiej budy. Paula robiła zdjęcie za zdjęciem. Toaletę zastępowała dziura w podłodze. Do ściany zamocowano poziomo prostokątny arkusz stali.

- To jest łóżko - wyjaśnił Newman. - Wyobraź sobie, że próbujesz na nim zasnąć. Materaca, zdaje się, nie przewidziano. Brytyjska policja nie tak przyjmuje gości.

- A tam, na suficie? Co to jest to coś podobne do prysznic? - Migawka aparatu trzaskała raz za razem.

- Jeśli zachowanie więźnia nie spodoba się strażnikom, mogą puścić tędy wodę, przed którą nie ma gdzie się ukryć. Sprawdziłem system. Najpierw leci woda zimna, potem bardzo gorąca, zapewne nawet parząca.

- To nieludzkie.

- Poczekaj, aż zobaczysz karczer.

Po jednej stronie korytarza Paula naliczyła pięćdziesiąt cel. Pięćdziesiąt po drugiej. Stu więźniów przetrzymywanych w przerażającej ciasnocie. Na końcu korytarza znajdowały się większe drzwi, stalowe jak wszystkie. Cella także była większa. Paula zajrzała do środka, a potem weszła.

Tu podłoga była nie betonowa, lecz stalowa. I pochyła, przy ścianach wyższa, opadająca do znajdującego się pośrodku kanału ściekowego. Dobrze ponad dwa metry nad nią wbito w ściany haki. Na jednej wisiało sześć kotów o dziewięciu ogonach; każdy z tych „ogonów” zakończony był ostrą igłą. Paula zrobiła kilka kolejnych zdjęć.

- A to po co? - spytała.

- Bicie na agresywnych więźniów. Tną ciało, zadają może nie głębokie, ale bardzo bolesne i silnie krwawiące rany. Po to ten kanał ściekowy. Nasza wymarzona Służba Bezpieczeństwa Państwa tego to mili ludzie.

Newman podszedł do ściany przy końcu korytarza, pochylił się, chwycił rączkę pokrywy mającej jakieś półtora metra średnicy. Dźwignął ją nie bez wysiłku. Pod nią znajdowało się wysokie pomieszczenie w kształcie walca. Na ścianach zawieszane były głośniki oraz końcówki pryszniców.

- Po co głośniki? - zdziwiła się Paula.

- Pewnie zamkniętemu tu więźniowi puszcza wodę z pryszniców i włącza jakąś upiorną muzykę na cały regulator. Tak głośno, żeby spowodować pęknięcie bębenków w uszach.

Zaświecił mocną latarką. Paula zrobiła kilka kolejnych zdjęć. Kiedy skończyła, zamknęły celę. Nie chcieli pozostawić po sobie żadnych śladów.

- Najwyższy czas się stąd wynosić - zdecydował Newman. - Tylko sprawdzę jeszcze tę wielką amerykańską zamrażarkę na końcu korytarza.

- A te haki? Tak wysoko na ścianie?

Newman otworzył szufladę stalowej, wbudowanej w ścianę szafy. Wypełniały ją metalowe kajdanki. Zamknął szufladę jak najciszej.

- Mają zamiar skuwać więźniów - powiedział. Twarz miał ponurą. -1 wieszają ich na tych hakach za łańcuch kajdanek. To rzeczywiście dość wysoko, więc nawet najwyższy człowiek nie sięgałby stopami podłogi. Cały ciężar ciała przyjęłyby przeguby. A, jest lodówka.

Byli już na korytarzu. Newman otworzył zamrażarkę. Elektryczność już podłączono, wypełniał ją lód.

- Rozumiem - rzekł. - Najpierw wypełniają karczer lodem, po tem wrzucają tam więźnia. Moim zdaniem wychłodzi biedaka, aż zacznie tracić przytomność, a potem zaleją go gorącą, może nawet wrzącą wodą. Wynosimy się stąd, póki jeszcze możemy.

Przeszli korytarzem w stronę wyjścia. Newman ostrożnie otworzył drzwi, skinął

głową i wyszedł na zewnątrz, Paula pospieszyła za nim. Znad morza nadciągnęła wilgotna, lepka mgła. Szli szybko wzdłuż zewnętrznej ściany więzienia, kiedy Newman złapał Paulę za ramię, przyciągnął ją do muru i sam przywarł do niego plecami.

- Stój nieruchomo - szepnął. - Ruch przyciąga uwagę.

Ledwie widoczni wśród mgły czterej mężczyźni w mundurach szli w stronę odległego, niewykończonego budynku podobnego do tego, który właśnie obejrzel. Dwaj nieśli stalowe szyny, dwaj pchali wózek wyładowany pustakami.

Wchodząc na teren obozu, Paula i Newman zauważyli, że otacza go wysokie ogrodzenie z drutu kolczastego. Weszli przez dziurę w ogrodzeniu, gdzie wiązki drutu odepchnięto na bok.

- Miejmy nadzieję, że nie zamknęli nam drogi wyjścia - szepnęła Paula.

- Nawet jeśli, potrafię je znów otworzyć.

Dotarli do ogrodzenia, znaleźli dziurę, wydostali się na zewnątrz. Ruszyli przez łąkę i dotarli do grzbietu pierwszego wzgórza, kiedy Paula zatrzymała Newmana.

- Dostrzegli nas. Gonią nas trzej mężczyźni uzbrojeni w pistole ty maszynowe.

Newman się obejrzał. Rzeczywiście, mimo mgły widać było zbliżające się szybko sylwetki. Chwycił Paulę za rękę. Razem przesadzili grzbiet i szybko pobiegli na następne wzgórze. Paula dostrzegła kolejnych trzech mężczyzn, odcinających im drogę ucieczki.

- Mają nas w krzyżowym ogniu - syknęła.

- Kładź się płasko za grzbietem! - Sam też posłuchał swej rady. - Nie ruszaj się, choćby nie wiem co. I nie strzelaj.

Obejrzał się przez ramię. Podchodzący z tego kierunku trzej niewyraźnie widoczni ludzie wyglądali jak duchy, choć można było dostrzec, że broń trzymają w pogotowiu. Newman spojrzął przed siebie, wymierzył, odczekał, dokładnie wybierając właściwą chwilę. Kiedy mężczyźni stanęli na szczycie wzgórza, wystrzelił i trafił jednego z nich tam, gdzie chciał trafić: w kolano. Usłyszał krzyk i wystrzelił jeszcze dwukrotnie, tym razem mierząc nad głowy.

Mgła sprawiła, że jego taktyka okazała się skuteczna. Trzej mężczyźni nadchodzący od strony więzienia byli pewni, że strzelają do nich trzej inni, zbliżający się z przeciwnego kierunku. Rozpoczęła się bezładna strzelanina, rozpoczęta przez tę trójkę, wśród której był ranny. I doszło do tego, że grupy z obu wzgórz wystrzelały się nawzajem. Tylko ich dwoje pozostało żywych.

- Pora wiać - szepnął Newman.

Przeskoczyli przez grzbiet wzgórza. Po drodze obejrzel ofiary strzelaniny. Wszyscy trzej mężczyźni byli martwi. Taktyka księcia Wellingtona okazała się skuteczna.

Oboje ruszyli biegiem. Paula nie zapomniała o zegarku i orzekła, że mogą spóźnić się na prom. Ale gdy wbiegli na molo, Abe powitał ich machaniem ręki.

Newman spojrzął na przycumowaną po drugiej stronie potężną motorówkę. Wiatr zwał okrywający jej ładunek brezent do wody.

- Udało nam się - westchnęła Paula, wspinając się na pokład promu.

- Nie byłbym tego taki pewien.

Rozdział 8

Abe odbił od mola, gdy tylko oboje znaleźli się na pokładzie. Powiał mocny wiatr, burzący spokojne do tej pory morze i rozwiewający resztki mgły. Niebo nad ich głowami było zielono-niebieskie.

Przysiedli na rufie.

- Dzięki Bogu, że już po wszystkim - powiedziała Paula. - To, co widzieliśmy, było straszne.

- Najważniejsze, że mamy dowody. Twoje zdjęcia. Gdy tylko wrócimy na Park Crescent, oddaj aparat facetom z piwnicy. Niech wywołają film i zrobią pięć zestawów odbitek.

- Pięć?

- Przecież powiedziałem - warknął, ale zaraz się uśmiechnął.

Byli w połowie kanału, w połowie drogi na stały ląd, kiedy Paula spojrzała w stronę Black Island. Bob także patrzył w tym kierunku. Motorówka odbiła od nabrzeża i z rykiem silnika szybko się do nich zbliżała. Paula wyjęła lornetkę, podniosła ją do oczu, opuściła i schowała do pokrowca.

- Możemy nigdy nie dotrzeć do lądu - powiedziała cicho.

Newman przyglądał się motorówce przez własną lornetkę. Odetchnął głęboko, spojrział na Paulę. Zdążyła już wyjąć browninga, choć trzymała go tak, by broni nie mógł dostrzec Abe.

- Widziałeś, co nas goni?

- Motorówka. Stała przycumowana do nabrzeża obok naszego promu. Zajrzałem do środka. Prawie cała wyładowana była granatami.

- Sądzisz, że zdołają zatopić tę łajbę?

- Co do tego nie mam żadnych wątpliwości.

W sytuacjach, gdy ich życie było zagrożone, Newman nigdy nie ukrywał przed Paulą niczego. Była wystarczająco twarda i wystarczająco doświadczona, by stawić czoło prawdzie. Spojrzała na Abe'a, zajmującego się właśnie silnikiem. Stał daleko, nie mógł ich podsłuchać.

- Na pokładzie są te trzy świny w czarnych mundurach - powiedziała z namysłem Paula. - Jeden pilotuje łódź, dwaj mają broń maszynową. Mogą zasypać nas gradem kul.

- Już raczej użyją granatów.

Wiatr ucichł. Morze się uspokoiło, było znów równą płaszczyzną błękitu. Ryk potężnego silnika motorówki stawał się coraz głośniejszy. Newman ocenił, że mordercy mogą ich dopaść za parę minut. Podeszedł do Abe'a.

- Słuchaj, wiem, że coś ci chodzi po głowie, ale nie zwiększaj szybkości.

- Nie podoba mi się ta szybka łódka. Płynie wprost na nas.

- Nie zwiększaj szybkości, jeśli chcesz żyć.

Coś w jego głosie i w wyrazie twarzy ostrzegło starego przewoźnika, który przestał majstrować przy silniku. Obejrzał się za siebie. Jego rumiana, pomarszczona twarz skrzywiła się ze strachu.

- Wszystko będzie w porządku - upewnił go Newman. - Tylko płyn ze stałą prędkością.

- Mam nadzieję, że pan wie, co robi!

Paula oparła lufę pistoletu na burcie barki.

- Odlóż to - powiedział jej Bob cicho, lecz z wielkim naciskiem. -1 nie ruszaj się.

- Skoro tak mówisz. - Bez wahania wykonała jego polecenie. Tymczasem Newman przyglądał się motorówce, oceniając jej prędkość i kurs. Początkowo kierowała się na rufę promu, ale przed chwilą skręciła w lewo. Utrzymywała się na równoległym kursie wystarczająco blisko, by umożliwić rzucanie granatów, a wystarczająco daleko, by uniknąć skutków ewentualnej eksplozji. Miała przewagę prędkości. Jeszcze minuta i obie jednostki będą płynąć równolegle, w bezpiecznej odległości. Newman sięgnął do kieszeni torby golfowej, coś z niej wyjął. Pokazał Pauli granat.

- Całkiem spory - powiedziała dziewczyna.
- Specjalna robota Harry'ego. Skorupy robi mu kumpel pracują cy w hucie, a on sam wypełnia je silnym materiałem wybuchowym i zakłada czterosekundowe zapalniki.

Trzymał granat tak, by jak najbardziej go ukryć w dłoni. Abe, który do tej pory patrzył tylko na szybko zbliżającą się motorówkę, teraz zagapił się na zaciśniętą pięść Boba.

- A to co?! - krzyknął.
- Fajerwerk. Pozostałość po dniu Guya Hawkesa.
- Cholernie nam po...

Przerwał. Newman, widząc, że motorówka zrównuje się z promem, wstał szybko, jednocześnie wrywając zawleczkę. Rzucił granat, który poleciał wysokim łukiem i wpadł do motorówki. Załoga oddała kilka strzałów, ale Paula i Bob leżeli już ukryci za burtą.

Granat wybuchł z ogłuszającym hukiem, lecz był to zaledwie trzask w porównaniu z tym, co się stało, gdy w powietrze wyleciały materiały wybuchowe będące głównym ładunkiem motorówki. Dziób pofrunął w powietrze, a zaraz za nim rozerwane fragmenty rufy. Pęd powietrza cisnął Abe'em o pokład.

Paula usiadła, spojrzała na miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą znajdowała się wroga motorówka. Woda kotłowała się, w burtę barki uderzały krótkie, ostre fale. Kawalki łodzi unosiły się jeszcze na powierzchni. Po chwili zatoniły. Wreszcie woda uspokoiła się i pozostał na niej ostatni ślad załogi -rozlewająca się coraz szerzej czerwona plama.

Abe wstał chwiejnie, wyraźnie zdumiony. Otworzył usta, wybełkotał coś, w końcu odzyskał panowanie nad głosem.

- A co to było, do diabła?

Newman wstał, podszedł do niego, jedną rękę położył mu na ramieniu, drugą pokazał portfelik z legitymacją.

- Tajne służby? - spytał Abe z niedowierzaniem. - O rany!
- Owszem. Więc nikomu nie powiesz, że byliśmy tutaj... nikomu, pamiętaj! A jeśli ktoś wTolhaven usłyszał huk, powiesz, że to ładunki wybuchowe założone w kamieniołomie na Black Island. Rozumiesz?

- Jasne! Będę trzymał gębę na kłódkę. A teraz odwiozę was na miejsce.

- Wyjeżdżamy natychmiast - rzekł Newman. Widzieli już Monk's Head. - Zabierz swoje rzeczy, ja zabiorę swoje i spotkamy się na parkingu.

Pozostawili Tolhaven za sobą. Pierwszy jechał Newman rangę rove-rem, za nim Paula fordem. Znow musiała walczyć o panowanie nad samochodem. Zatrzymali

się na herbatę w starym farmerskim domu. Mimo chłodu usiedli w ogródku; tu nikt nie mógł ich podsłuchać.

- Gdzie jest Harber's Yard? - spytała Paula. - Tego się nie dowiedzieliśmy.
- Pamiętasz, jak przechodziliśmy przez ten stary most nad rzeczka? Wyrzłaś przez barierkę. Nieco dalej ta rzeczka rozlewa się w jezioro, wypływa z niego i przez las dociera do morza. Nim przyjechałaś, poszedłem wzdłuż jej brzegów, a potem wsiadłem na prom i znalazłem więzienie.
- Zadowolony z naszej wyprawy?
- Bardzo. - Objął ją ramieniem, przytulił. - Twoje zdjęcia bardzo nam pomogą. Mamy teraz silne dowody na to, do czego tak zwana Służba Bezpieczeństwa Państwowego jest w stanie się posunąć, by zmienić Wielką Brytanię w państwo policyjne. Co więcej, w bitwie na wzgórzach sześciu jej funkcjonariuszy powystrzelało się nawzajem. Do tego trzeba dodać załogę motorówki. O dziewięciu tych sukinsynów nie musimy więc się martwić. Pierwsza bitwa wojny zakończyła się sukcesem.
- Masz rację. - Paula skinęła głową. - To wojna. Ciekawe, co działo się w Londynie, kiedy my bawiliśmy się tu, w Dorset.

Rozdział 9

Konspiracja odbywała właśnie kolejną sesję burzy mózgów. Trzej jej , członkowie siedzieli za trójkątnym palisandrowym stołem. Zapadał zmierzch, światła w pokoju były włączone. Nelson, nadal w garniturze od Armaniego, bawił się wiecznym piórem. Jak zwykle na pierwszy plan wysunął się Nelson.

- Papuga poinformowała o doniesieniach informatora, którego wysłała na Park Crescent. Tweed nadal siedzi w biurze, co oznacza, że podjęta przez nas próba uwikłania go w to straszne morderstwo na Fox Street się nie powiodła.
 - Jakie straszne morderstwo? - zdziwił się Nelson.
 - Najwyraźniej nie czytasz „Daily News”. - Noel skrzywił się szyderczo. - A chyba byłoby lepiej, gdybyś wiedział, co się dzieje na świecie. Ta Świnia, ich czołowy reporter, Drew Franklin, napisał o tym sensacyjny artykuł. Powinniśmy coś z nim zrobić, wyłączyć go jakoś z akcji.
 - W tych kilku zdaniach zrobiłeś dwa duże błędy - zaprotestował gwałtownie Nelson. - Po pierwsze, gdy mówisz o panie Partridge, nazywaj ją właściwym nazwiskiem. Jeśli kiedykolwiek usłyszy, że któryś z nas używa tego przezwiska, stracimy jej lojalność, której w tej chwili bardzo potrzebujemy. A po drugie, nie próbuj żadnych sztuczek na Drew Franklinie. Przeszkadza, nie przeszkadza, ale ma wielkie wpływy. Więc lepiej się pilnuj, Horlick.
- Noel z twarzą siną z gniewu poderwał się na równe nogi i rzucił na brata, sięgając dłońmi do jego szyi.
- Nie wolno ci tak mnie nazywać! - krzyczał.
- Benton interweniował w sam czas, by uniemożliwić jednemu bratu uduszenie drugiego. Złapał Nelsona za rękę. Nie przestał się przy tym uśmiechać, mimo iż brat patrzył na niego wściekle i oddychał ciężko.
- Wracaj na swoje miejsce, Noel. - Benton obejrzał się przez ramię. - Nelson, moim zdaniem mądrze postąpisz, jeśli postarasz się zapamiętać, że dziś to jest Macomber. Przeprasiny z pewnością pomogą. Jeśli się nie przeprasicie, kończę nasze spotkanie.

- Bardzo mi przykro, Noel - powiedział Nelson natychmiast. - Cholerna gafa, przepraszam. Obiecuję, że to się więcej nie powtórzy.

- Mam nadzieję! - warknął Noel.

Nelson wrócił na miejsce, otarł pot z czoła chusteczką, nalał wody do szklanki i wypił ją jednym haustem. To go uspokoiło. Po krótkiej chwili ciszy zaczął mówić:

- Jak już wspomniałem, informator panny Partridge odwiedził Tweeda w jego biurze. Tweed zachowywał się normalnie, jakby nic się nie stało. Ona... informator... to znaczy informatorka dostrzegła coś, co możemy wykorzystać, by wytrącić tego faceta z równowagi. Mam na myśli jego starszą asystentkę, Paulę.

- A co w niej takiego szczególnego? - spytał Benton.

- Jest słabym punktem Tweeda. Tweed ma do niej słabość. Gdyby ją porwać...

- Co?! - nie wytrzymał Benton. - Kto ci podsunął ten pomysł?

spytał cicho, groźnym tonem.

- Sam to wymyśliłem. - Noel uśmiechnął się. Najwyraźniej był z siebie bardzo zadowolony.

Benton pochylił się nad stołem. Patrzył Noelowi wprost w oczy.

- W takim razie usuń tę myśl ze swojego chorego mózgu.

- Kim jest informatorka panny Partridge, że z taką łatwością przeniknęła do fortecy Tweeda? - wtrącił Nelson.

- To zastrzeżona informacja - powiedział Noel. - Nikt nie może się tego dowiedzieć, w żadnych okolicznościach.

- Rozumiem. - Benton nie miał zamiaru rezygnować. - Znasz kogoś, kto mógłby przeprowadzić twój głupi pomysł?

- Prawdę mówiąc, znam kogoś doskonale nadającego się do tej roboty. - Noel demonstrował niezachwianą wiarę w siebie.

- Kogo? To chyba możesz mi powiedzieć?

- Amosa Fitcha.

Nie pozwolono mu wypowiedzieć ani słowa więcej. Benton zrobił się nagle szkarłatnoczerwony na twarzy jak człowiek z podwyższonym ciśnieniem.

- O mój Boże! - westchnął, przeczesując palcami włosy. - Amos Fitch! Czy ty jesteś przy zdrowych zmysłach? Nie możemy wiązać się z takim łotrem. Jakies osiem lat temu oskarżono go o zadźganie nożem człowieka. Nie został skazany tylko dlatego, że błyskotliwy adwokat podważył dowody pośrednie.

- To tylko taki pomysł. - Noel uśmiechnął się niewinnie. - Zapomnijmy o nim. Chyba nikt nie zauważył, że ilekroć tu sobie rozmawiamy, drzwi do sąsiedniego pokoju pozostają uchylone. Kto wychodził stąd ostatni?

- Pamiętam. - Nelson zachowywał absolutny spokój i pogodę ducha.

Panna Partridge.

Noel podszedł cicho do drzwi, uchylił je. Zawiasy były dobrze naoliwione. Zamknął drzwi, sprawdził, czy zamek zaskoczył; pociągnięte, nie otworzyły się. Spojrzał na braci.

- Sprawdź, czy ktoś tam jest - szepnął.

Znow otworzył drzwi, wślizgnął się do sąsiedniego pokoju, zamknął je za sobą bez trzasku. Benton i Nelson wymienili spojrzenia.

- Popeliłeś fatalny błąd, przypominając to nazwisko: Hornick. Widziałeś, jak zareagował.

- Mój błąd. Ale przecież przeprosiłem.

Tymczasem Noel wodził wzrokiem po wielkiej sali przylegającej do pokoju konferencyjnego. Panny Partridge nie było przy biurku, natomiast przy swoim komputerze w rogu siedziała jej asystentka, Coral Flenton, pracowicie stukająca w klawisze. Podszedł, położył dłoń na jej ramieniu.

- Och, proszę, niech pan tego nie robi! - Coral przesunęła lustro i niemal wyskoczyła z krzesła, co bardzo rozbawiło Noela. Obróciła się w krzesło, spojrzała na niego wielkimi orzechowymi oczami. Odgarnęła włosy z czoła. -

O co chodzi? - spytała niespokojnie.

- O co chodzi, proszę pana. Jestem podsekretarzem stanu. - Noel uśmiechnął się do niej przyjaźnie. Usiadł na sąsiednim biurku. Górował nad dziewczyną. Potrafił zdobywać sobie ludzi uśmiechem, więc Coral też uśmiechnęła się do niego, choć nie zareagowała na uwagę o konieczności użycia formuły „proszę pana”. Noel założył ręce na piersi. Wyglądał bardzo młodo, budził ambiwalentne uczucia.

- Te drzwi powinno się bezpiecznie zamykać, a były uchylone - powiedział. - Oczywiście nie sugeruję, by miało to coś wspólnego z tobą. Czy panna Partridge interesowała się jakoś szczególnie wejściem do naszej świątyni dumania?

- Bardzo w to wątpię. - Coral nabrała śmiałości. - Ale siedzę przecież twarzą do ściany, więc skąd mam wiedzieć, co się dzieje za moimi plecami?

- Oczywiście, oczywiście. Może dziś po pracy napilibyśmy się kawy albo herbaty?

- To bardzo miło z pańskiej strony - odparła, nie zdradzając żadnych emocji - lecz jestem zaproszona na urodziny przyjaciółki.

- Szkoda. - Noel wstał. Cały czas się uśmiechał. - Może innym razem?

Przeszedł przez wielką salę, kierując się do pokoju konferencyjnego. Swe myśli wypowiedział tylko do siebie, szeptem.

- Kluczem jest Paula. A Amos Fitch to właściwy człowiek do tej roboty.

Amos Fitch obserwował wyścigi chartów. Stał w tylnym szeregu widzów; z nawyku starał się nie rzucać w oczy. Średniego wzrostu, miał na sobie brązowy płaszcz i jak zwykle filcowy kapelusz z szero-
kim rondem opuszczonym na oczy. Widoczna była wyłącznie dolna część twarzy, znacznie milsza niż cała reszta.

Jego piwne oczy maskowane przez ciężkie powieki nigdy nie pozostawały nieruchome, bezustannie śledziły otoczenie. Złamany nos nad cienkimi, skrzywionymi kpiąco ustami sprawiał, że Fitch wyglądał na cwaniaka.

Znany był w kręgach niekoniecznie przestrzegających prawa jako Chytrus. W tej chwili zastanawiał się nad otrzymanym dziś SMS--em zapraszającym go na spotkanie z Canalem o wpół do dziesiątej wieczorem w Pig's Nest, pubie na East Endzie.

Tony Canal był pośrednikiem wątpliwej reputacji, lecz nigdy nie zdradzał zleceniodawcy, więc Chytrus przyjmował jego zlecenia. Canal uczył się w Eaton, ale potem zszedł na psy, według określenia Scotland Yardu. Zlecali mu różne zadania autentyczni przedstawiciele klas wyższych. Ostatnio, o czym Chytrus wiedział doskonale, zwrócił się do niego z jakimś zleceniem niejaki Noel Macomber.

Rozdział 10

Tweed jechał powoli drogą na granicy Surrey i Sussex. Szukał Peckham Mallet, miejscowości, w której miał dom generał Lucius Macomber, ojciec trzech braci tworzących Konspirację. Uznał, że najwyższy czas porozmawiać z generałem.

Tego wczesnego popołudnia niebo było czyste, błękitne. Wyjechał przeszło godzinę temu, a ciągle jeszcze nie trafił do niewielkiej wioski, której nie było nawet na mapie, jaką dysponował na Park Crescent. Udało mu się ulokować ją mniej więcej w tej okolicy dzięki temu, że Monica poradziła mu skorzystać z indeksu. Powinien pierwszy wpaść na ten pomysł. Czyżby narkotyk zostawił jakieś ślady w jego krwi? Saafeld mówił, że ten środek nazywa się percodin.

Szosa biegła przez lasy. Nie było domów, nie było pubów, nie było kogo zapytać o drogę. Jechał powoli, ale omal nie przeoczył starego znaku drogowego przy rozjeździe. Cofnął się, podjechał blisko.

„Peckham Mallet”, przeczytał.

Jechał wąską dróżką bardzo wolno i ostrożnie. Po niespełna kilometrze dostrzegł staruszkę w kombinezonie, ścinającego trawę na poboczu. Zatrzymał się, wysiadł, podszedł do niego z uśmiechem. Dziadek miał przeszło siedemdziesiątkę i strasznie się garbił, był to zapewne objaw choroby zawodowej. Pomarszczonej twarzy o cofniętym podbródku nie golił od tygodnia, jeśli nie więcej.

- Czy mógłby pan mi pomóc? Poproszono mnie, żebym przekazał pewne informacje generałowi Macomberowi. Muszę się z nim spotkać jak najszybciej.

- A pan kto?

Tweed wyjął legitymację i podsunął staruszkowi pod nos. Dziadek przyjrzał się jej, próbował się nawet wyprostować, ale plecy go nie posłuchały. Spojrzał na Tweeda.

- SIS? To chyba będą Tajne Służby, nie?

- Będą i są. Ja tylko proszę o pomoc.

- Panie, tutaj pan generała nie znajdzie. Przyjeżdża do domu po drodze do Londynu. Spędza tu kilka dni i wraca. Przy okazji płaci mi i sprawdza, w jakim stanie jest jego domek.

Machnął sierpem, którego nie wypuszczał z dłoni. Tweed cofnął się, usunął z zasięgu śmiertelnościanego ostrza. Przyjrzał się prowadzącej do domu dróżce.

- Mógłby pan odłożyć ten sierp? Nie skończyliśmy jeszcze rozmowy.

- To by znaczyło, że będę go musiał podnosić. Nie wiem, czy zdołam się pochylić...

- Podniosę go za pana.

Nie pochylając się, dziadek rzucił sierp na ziemię. To straszne, tak musieć pracować na starość, pomyślał Tweed, przyglądając się dróżce prowadzącej do domu, ceglanego, niedawno przykrytego nową dachówką, z błyszczącą jak słońce mosiężną klamką na świeżo pomalowanych drewnianych drzwiach. Macomber senior najwyraźniej lubił się pokazać.

- Czasami zostaje tu na noc - mówił dziadek. - Tylko śpi, a potem wraca do Londynu.

- A kiedy był tu po raz ostatni? I w Londynie?

- Tydzień temu. Został w mieście kilka dni, nawet wpadł tu dziś rano po drodze

do domu.

A więc generał Lucius Macomber był w Londynie w dniu śmierci Violi Vander-Browne. Interesujące, pomyślał Tweed. Pochylił się, podniósł sierp i wręczył właścicielowi.

- Gdzie on tak naprawdę mieszka? - spytał. - Jakoś udało się nam zgubić jego właściwy adres.

- Kawalek stąd. Ma duży dom na Black Island, koło Tolhaven. Trzeba przepłynąć promem do Lydford, przejść przez wioskę, skręcić w pierwszą drogę w lewo. Dom stoi przy niej, zaraz po lewej. Bywam tam czasem, pracuję w ogrodzie, choć to raczej park niż ogród. Ma innych pracowników, ale woli, żebym ja strzygł żywopłoty. Mam na imię Pat - przedstawił się.

- Bardzo mi pomogłeś, Pat. - Tweed próbował nie okazać zdumienia, w jakie wprawiała go informacja, że generał mieszka na terenie, który postanowili zbadać Newman i Paula. - Jeszcze jedna sprawa. Dokąd prowadzi ta droga?

- Na Najwyższą Górę. Ze szczytu widać prawie całe Sussex i Sur-rey. Na pana miejscu wziąłbym samochód. To droga długa i stroma.

Tweed nigdy dotąd nie słyszał o Najwyższej Górze. Skorzystał z rady staruszka. Droga rzeczywiście była stroma, lasy znikły, zostały tylko porośnięte trawą zbocza. Wysokość zaczynała dawać się we znaki.

Dojechał na szczyt, który okazał się płaski jak stół bilardowy i bardzo rozległy. Lotniskowy rękaw na maszcie wskazujący kierunku wiatru sugerował, że lądują tu prywatne samoloty. Tweed zatrzymał samochód na granicy trawiastego pasa startowego, wysiadł, odetchnął głęboko.

Miał wrażenie, że wspiął się na szczyt świata.

Pat nie przesadzał. Rzeczywiście, widok na wszystkie strony zapierał dech w piersiach. Daleko, niemal na horyzoncie Tweed dostrzegł lecący mały samolot. Wrócił do samochodu po lornetkę.

Dom generała wyglądał stąd jak domek dla lalek. Jeszcze przed chwilą parkowała za nim duża ciężarówka z zakrytą budą, właśnie teraz odjeżdżała. Tweed odczytał napis na naczepie: „Windrush i Carne. Przeprowadzki. Przewozimy wszystko prócz czołgów”.

Ciężarówka podjechała do wielkiej stodoły; tylne wrota były szeroko otwarte. Wjechała do środka. Kierowca wszedł do naczepy, ukazując oczom Tweeda ładunek - wewnątrz były masywne stare meble i jakieś czarne metalowe skrzynie. Otworzył kluczem jedną ze skrzyń, podniósł wieko. Wypełniała je skłębiona masa przewodów. Tweed zacisnął wargi.

Materiały wybuchowe.

Mógł teraz lepiej przyjrzeć się kierowcy. Miał przy sobie notatnik i ołówek. Nakreślił szkicowy portret. Brązowy kapelusz z szerokim rondem naciągnięty głęboko na czoło. Ciężkie powieki zasłaniające oczy niemal do połowy, skrzywiony nos, cienkie usta, masywna szczeka. Ten człowiek wyglądał na cwaniaka. Odwrócił głowę. Tweed schował notatnik i dalej obserwował akcję przez lornetkę.

Kierowca zgrabnie zeskoczył na ziemię. Zamknął ciężarówkę na grubą kłódkę. Zamknął stodołę, na jej wrotach zawiesił drugą kłódkę. Podbiegł do zaparkowanego niedaleko saaba, wskoczył za kierownicę. Tweed zanotował

numer rejestracyjny. Samochód ruszył szybko i skręcił w drogę prowadzącą do Londynu.

Tymczasem samolot zbliżył się znacznie i właśnie podchodził do lądowania na trawiastym pasie. Gdy tylko zakończył kołowanie, z kokpitu wyskoczył pilot. Zdjął hełm i gogle. Uśmiechnął się szeroko.

- Jest pan pierwszą osobą, którą tu widzę - powiedział. Był młody, mówił jak człowiek doskonale wykształcony. Zachowywał się bardzo przyjacielsko. Podeszedł do Tweeda. - Przeleci się pan? Małe pół godzinki i będzie pan oglądał z góry całą urodę tego zakątka świata. Mnie się to nigdy nie znudzi.

- Bardzo dziękuję za propozycję, ale muszę już jechać. Mam umówione ważne spotkanie w Londynie. Może kiedyś skorzystam z pańskiej propozycji.

- Służę uprzejmie.

Tweed wrócił do samochodu. Myślał o tym, że lotnisko na szczycie Najwyższej Góry pewnego dnia może okazać się bardzo użyteczne. Newman, doświadczony pilot, przerzuciłby tu ludzi w bardzo krótkim czasie.

Konspiracja kontynuowała burzę mózgow po lunchu. Nelson twierdził stanowczo, że bracia muszą kontrolować postęp operacji. Udowadniał, że jest skomplikowana i trzeba czuwać nad każdym z wielu jej aspektów.

- Nadal tracimy czas, goniąc za spódniczkami? - zapytał spokojnie Benton, patrząc w sufit. Jego złośliwość wymierzona była w Noela.

- Ależ oczywiście. Znasz lepszy sposób spędzenia wolnego wieczoru? Rzuciłem Eve. Była zbyt... skromna w tym, co najważniejsze. Bo przecież w gruncie rzeczy kobiety nadają się tylko do jednego. Nie przejąłem się. Teraz spotykam się z Tiną. Jest zarozumiała i pewna siebie, ale z pewnością wie, czego potrzebuje mężczyzna.

Jest młodszy, pomyślał Benton. Wyrośnie z tego. A może nie? Kolejny powód do zmartwienia. Spojrzał na Noela.

- Ten twój pomysł porwania Pauli Grey... Mam nadzieję, że nad nim nie pracujesz?

- Już o tym zapomniałem - gładko zełgał Noël. - I tak mamy mnóstwo problemów do rozwiązania. Choćby więzienie na Black Is-land...

- Nie widzieliśmy żadnych planów - przerwał mu Benton ostrym tonem. - Nim w ogóle zaczniemy rozważać budowę, chcę zobaczyć plany. Jestem pewien, że Nelson także.

- Oczywiście - przytaknął Nelson.

- Nie zaczęliśmy budowy. - Noel łął jak z nut. - A jeśli chodzi o plany... projekt jest tak tajny, że jedyne plany są w posiadaniu geodety przebywającego na Black Island. Uznałem, że kopiowanie ich byłoby zbyt ryzykowne.

Bentona to nie zadowoliło.

- Chcę mieć pewność, że nie położycie cegły na cegle, nim ich nie zobaczymy. Ten pomysł mnie martwi.

- Słuchaj - przerwał mu Nelson - musimy przecież mieć miejsce dla sabotażystów życia społecznego.

- A co oznacza to groźnie brzmiące określenie?

- Oznacza każdego, kto próbuje sprzeciwić się tworzonemu przez nas nowemu społeczeństwu.

- To zbyt niejasne - zaprotestował gwałtownie Benton. - Jeśli damy Służbie Bezpieczeństwa Państwowego za długi sznur, ktoś go użyje i wrócą dawne złe czasy. Nie zamierzam do tego dopuścić.

- Tę sprawę możemy odłożyć na później - wtrącił Noel. - Nie musimy się spieszyć. Benton może mieć rację.

Noel rozgrywał gierkę, którą dokładnie sobie wcześniej przemyślał: miał być głosem rozsądku, tym z braci, który utrzymuje równowagę pomiędzy rodzeństwem, wtedy zostawią go w spokoju. A jednak podlegał naciskom.

- Kiedy rozegramy kartę terroryzmu? - spytał Nelson, uśmiechając się szeroko. Zapadła martwa cisza. Nelson uznał, że należy zagęścić atmosferę. W parlamencie krążyły plotki, jakoby miał się stać członkiem gabinetu, ministrem spraw wewnętrznych. Oczekiwał gwałtownych sprzeciwów, ale Benton był znacznie subtelniejszy.

- Noelu - powiedział, wciąż na pozór obojętnie wpatrzony w sufit. - Czy oceniłeś niebezpieczeństwo rozegrania tej karty, co - jak mi się zdaje - sugerował Nelson?

- Szczerze mówiąc, nie. - Noel zełgał raz jeszcze. - Tak sobie pomyślałem, że ktoś może przewieźć ciężarówką niewielki ładunek materiałów wybuchowych na Richmond Park, od tyłu. O tej porze roku w okolicy praktycznie nie ma nikogo. Ale nie jestem całkiem pewien, czy to dobry pomysł.

- Bo nie jest! - krzyknął Benton. - Jeśli zabijemy choćby jednego cywila, skończymy w więzieniu w Belmarsh.

- Przecież powiedziałem, że w mojej opinii to kiepski pomysł - upewnił brata Noel. Do tej rozmowy był doskonale przygotowany. Bardzo ostrożnie dobierał słowa. - Nadszedł chyba czas, byśmy zakończyli tę sesję. Wszyscy się zgadzacie? To świetnie.

Umówił się z Tiną na dzisiejszy wieczór.

Tweed zaparkował samochód, zamknął go, przeszedł na drugą stronę Park Crescent. W biurze stwierdził, że cały jego zespół jest na miejscu i gotów do działania. Przede wszystkim wypił kubek kawy, który podała mu Monica, po czym wyjął z kieszeni szkicownik. Jego portret kierowcy wydawał się karykaturą.

- Właśnie wracam z Najwyższej Góry - oznajmił.

- Ze Szwajcarii? - zakpiła siedząca za biurkiem Paula. - Szybki pan jest, nie ma co.

Tweed skwitował ten żart uśmiechem. Pokazał wszystkim swój rysunek, pytając, czy ktoś nie rozpoznaje kierowcy. Newman sięgnął nad ramieniem Pauli, wziął szkicownik. Przyglądał się portretowi zaledwie kilka sekund.

- Boże! Toż to Amos Fitch! - krzyknął. - Mam nadzieję, że nie pozwoliłeś mu się zbliżyć?

Tweed usiadł wygodniej i pokrótce opowiedział o swojej wycieczce. Harry, który jak zwykle siedział po turecku na podłodze, drgnął, słysząc wzmiankę o materiałach wybuchowych. W końcu była to jego specjalność. Słuchał szefa bardzo uważnie aż do ostatnich słów.

- Potem wróciłem. Teraz chcę usłyszeć, co zwojowali Bob i Paula.

Tweed wysłuchał relacji Newmana. Przy opisie więzienia spoważniął.

- Rozumiem - powiedział, kiedy Bob Newman skończył opowia dać. -To załatwia sprawę. Użyjemy wszystkich metod, łącznie z naj bardziej nieortodoksyjnymi, by na zawsze odsunąć członków Konspi-racji od udziału w polityce. Powtarzam: wszystkich metod, także okrutnych, jeśli zajdzie taka konieczność. Zdejmujemy rękawiczki. Cieszę się, że załatwiliście kilku łobuzów z tej ich Służby Bezpieczeństwa Państwowego. Być może, zajdzie konieczność wyeliminowania jeszcze wielu. Od tej chwili nikt nie wychodzi z naszego budynku bez broni. Pauli przydzielamy strażnika na stałe. - Dziewczyna próbowała zaprotestować, ale uciszył ją gestem. - Mam przeczucie, że staniesz się jednym z ich głównych celów. Świadczy o tym choćby sposób, w jaki patrzyła na ciebie Partridge, kiedy odwiedziła nas, udając, że to wyłącznie jej pomysł.

- Myślisz, że Konspiracja o tym wiedziała? - spytała Paula.

- Wątpię, czy jej członkowie wiedzieli, co gość nam powie, ale ta kobieta jest zbyt sprytna, żeby nic im nie przekazać.

- Mogę coś wtrącić? - odezwał się Pete Nield. - Kiedy wy jeździliście sobie po kraju, ja odbyłem kolejną długą rozmowę z moim informatorem. Jego zdaniem Papuga ma fioła na punkcie Nelsona. W każdym razie miała. Teraz z jakiegoś powodu jest na niego wściekła.

- Paula, jakie uczucie jest zdolne obrócić miłość kobiety w morderczą furię? - spytał Tweed.

- Zazdrość.

- Co stwarza interesujące możliwości.

- No tak... może pamiętacie, że podczas rozmowy z profesorem Saafeldem zaprotestowałam, kiedy o sprawcy mówił „on”. Sugerowałam nawet, że winną przerażającego losu Violi Vander-Browne może być kobieta.

- W porządku. Przyjmujemy każdą możliwość.

- Wiesz - powiedział Bob do Tweeda - masz trochę za wiele spraw do załatwienia. Po pierwsze, ta fuzja sił porządkowych, której się sprzeciwiasz. Po drugie, sprawa morderstwa na Fox Street. Dwa niepowiązane ze sobą, ale poważne problemy. Trudna sytuacja.

- Jesteś pewien, że niepowiązane? Właśnie się zastanawiam, co może je łączyć. Z zamkniętej szuflady biurka Tweed wyjął szkiełko. Pokazał swym pracownikom zdjęcie wyretuszowane przez Joela, artystę z piwnicy. Oglądali je z wielkim zainteresowaniem. Przedstawiało głowę i ramiona atrakcyjnej kobiety o gładko zaczesanych, przylegających do głowy ciemnych włosach.

- Joel popracował nad jednym z twoich zdjęć Papugi. Opisałem mu kogoś. Patrzenie teraz na portret kelnerki, tak zwanej kelnerki, tej, która podała mi margaritę z percodinem. Powiedziała: „Z pozdrowieniami od kierownictwa”. Kiedy wracałem z Peckham Mal-let, zadzwoniłem do Mungana i umówiłem się na spotkanie. Wiedziałem, że czasami, kiedy ma duży ruch, zatrudnia odpowiednio przygotowane dziewczyny. Pokazałem mu to.

- Mów dalej - nie wytrzymała Paula. - Co powiedział?

- Że nigdy nie zatrudnił nikogo, kto wyglądałby tak jak ona.

- A więc to wiąże cię bezpośrednio z zabójstwem na Fox Street. Chcieli cię wrobić. - Paula z trudem kryła podniecenie. - Możemy się skoncentrować na Papudze!

- Nigdy nie skreśliłem jej z listy podejrzanych... ale to jest długa lista -wyjaśnił Tweed. - Na właściwy trop naprowadziła mnie soczewka kontaktowa, którą znalazłaś na podłodze. Kelnerka, która mnie podtruła, miała niebieskie oczy. Wkrótce się spotkam z członkami Konspiracji. Mam nadzieję, że przy okazji będę miał szansę sprawdzić, jakiego koloru oczy ma Partridge.

- Mogłabym pojechać z tobą? - spytała Paula.

- Zamierzałem cię zabrać tak czy inaczej. Chciałbym też jak najszybciej pojechać na Black Island. Dowiedziałem się, że właśnie tam mieszka generał Lucius Macomber. Niedaleko Lydford. Sądzę, że koniecznie powinienem odbyć z nim długą rozmowę. Jest ojcem trzech braci tworzących Konspirację.

- A co z ładunkami wybuchowymi w ciężarówce do przeprowadzek? - spytał Bob Newman. - Bardzo bym chciał się przyjrzeć tej czarnej skrzyni. Może coś da się zrobić?

- Spróbuj. Ale trudno znaleźć Peckham Mallet, przede wszystkim dlatego, że tak naprawdę nie istnieje. Narysuję ci plan z uwzględnieniem drogi prowadzącej do domu generała, położenia samego domu i oczywiście stodoły. Ale buda ciężarówki i wrota stodoły zabezpieczone są potężnymi kłódkami.

- Dla mnie to zabawa. - Harry podniósł z podłogi torbę z narzędziami, którą miał przy sobie niemal zawsze. - A Peckham Mallet znalazłem już na mapie.

- No to nie marnujmy czasu. Harry, jutro jedziesz sprawdzić ciężarówkę.

- Mogę coś powiedzieć? - wtrąciła Monica. - Zgodnie z pańską prośbą sprawdziłam nazwę firmy z tej ciężarówki. Nie odpowiada żadnej zarejestrowanej firmie zajmującej się przeprowadzkami. Numery rejestracyjne skradziono z samochodu stojącego na policyjnym parkingu.

- Fitch ma nerwy ze stali - stwierdził Newman. Był bardzo poważny.

Rozmawiali tak, kiedy wszedł Marler.

Marler był ważnym członkiem zespołu Tweeda. Ubierał się co najmniej równie elegancko jak Pete Nield. Dziś miał na sobie niebieski garnitur Aquascutum, kremową koszulę i błękitny krawat we wzór czapli w locie. W noskach jego czarnych, ręcznie szytych półbutów kryły się ostrza jak brzytwa.

Miał czterdzieści kilka lat, ale wyglądał na trzydzieści. Był szczupły, dość wysoki, jasnowłosy. Kobiety uważały go za przystojnego. Golił się gładko, a rysy jego twarzy i elegancki, niemal arystokratyczny sposób mówienia sugerowały, że uważa się za lepszego od zwykłych śmiertelników. Uważano go powszechnie za najlepszego snajpera w Europie.

Podszedł do swego ulubionego miejsca w rogu, przy biurku Pauli, oparł się o ścianę, wyjął papierosa, umieścił go w czarnej fifice i zapalił.

- Zdaje się, że usłyszałem nazwisko Fitch, należące do mojego ulubionego sparingpartnera Amosa. To dziwne, żeby łotr i morderca nosił tak szacowne, biblijne imię. Kiedy widzieliśmy się ostatnim razem, próbował zabić mnie nożem. Skończył na podłodze, nieobecny dla świata. Czasami zastanawiałem się nawet, czy nie powinienem go wówczas wykończyć. - Obojętnie wzruszył ramionami. - Bez niego świat byłby lepszy.

- Z całą pewnością - przytaknęła Paula.

Tweed usłyszał w jej głosie jakże dla niej nietypową, chłodną nutę. Dziewczyna naprawdę była twarda. Nie bez wpływu na to był zapewne widok okaleczonego

ciała Violi. Wstał.

- Mamy za sobą długi dzień, a jutrzejszy może być jeszcze dłuższy. Proponuję, byśmy wszyscy wrócili do domu i odpoczęli, każdy na sposób, który lubi najbardziej.

- Ja zabieram na kolację moją dziewczynę, Romę - oznajmił Newman. - Inteligentna i zabawna. Jeszcze dwa egzaminy i skończy Cambridge. Muszę być przytomny, żeby dotrzymać jej kroku.

- Wykorzystaj okazję - zakpiła Paula. - Na drugą możesz długo czekać.

- Bądź grzeczna - upomniał ją. - Odprowadzam cię do domu. - Zauważył, jak się skrzywiła. - Nie mam wyboru, rozkaz Tweeda. Zadzwoń później upewnić się, czy wszystko jest w porządku.

- Od Romy oderwiesz się gdzieś około czwartej nad ranem. A swoją drogą to dziwne imię, Roma.

- Jest córką brytyjskiego ambasadora we Włoszech. Urodziła się w ambasadzie w Rzymie, jest tak samo dobrą Angielką jak ty. Idziemy?

- Najwcześniej za pół godziny, ale wątpię. Muszę napisać raport. Jeśli ma ci to popsuć randkę z Romą...

- Nie popsuje. Umówiliśmy się dopiero na ósmą.

- Wychodzę przejść się po East Endzie - poinformował ich Harry.

- A ja - oznajmił Marler - umówiłem się na drinka z kilkoma posłami do parlamentu. Dowiem się, czy słyszeli coś o Służbie Bezpieczeństwa Państwowego. Jeśli tak, wybadam ich reakcję. Do zobaczenia.

Nield stwierdził, że ma jeszcze coś do zrobienia. Wyszedł z budynku, wskoczył do samochodu i siedząc za kierownicą, czekał. Zamierzał pojechać za Tweedem do jego domu, ale nic nikomu o tym nie powiedział. Po co denerwować szefa bez potrzeby?

- Ja też lecę - zdecydował Tweed. - Miejmy nadzieję, że przynajmniej noc będzie spokojna.

Tych słów miał wkrótce pożałować.

Rozdział 11

Tego wieczora Fitch skontaktował się przez telefon komórkowy ze swym współnikiem, Tonym Canalem. Byli umówieni na spotkanie o wpół do dziesiątej wieczorem w Pig's Nest na East Endzie, ale postanowił zastosować specjalną taktykę, wytrącić współnika z równowagi. Trzeba koniecznie pokazać, kto jest szefem. Więc zadzwonił powtórnie po godzinie.

- Spotykamy się w magazynie. Natychmiast - rzekł krótko.

Wyłączył telefon, nim Canal zdążył powiedzieć choć słowo.

W opuszczonym magazynie stara drewniana podłoga ciągle była w dobrym stanie, ale w świetlikach w dachu brakowało płytek szkła. Ten wielki budynek, niegdyś własność firmy transportowej, Fitch wynajął za grosze. Oczywiście na fikcyjne nazwisko.

Czekając na Canala, chodził niecierpliwie; jego kroki odbijały się echem w pustej przestrzeni. Palił cygaro. Kubańskie. Tylko najlepsze jest wystarczająco dobre dla Amosa Fitcha, a pieniędzy mu nie brakowało, w końcu jego przestępcza kariera nie zaczęła się wczoraj.

Kiedy Tony wszedł do środka po rozchwianych schodkach, Fitch dmuchnął mu

w twarz dymem. Canal był byłym bokserem uczestniczącym w walkach w prywatnych domach, gdzie wszystkie chwytły były dozwolone. Jego zawód zdradzały złamany nos i skrzywiona szczeka.

- Coś ci pokażę - warknął Fitch.

Pochylił się, złapał za uchwyt w podłodze i podniósł klapę. Słysząc był szum płynącej gdzieś niżej wody. Chwycił Canala za ramię, poświecił latarką w głąb dziury.

- Tylko popatrz, baranie.

Tony oczywiście natychmiast spełnił polecenie. Zobaczył stalową zasuwę i ostry hak mniej więcej trzydzieści centymetrów od podłogi. Niżej, niemal poza zasięgiem światła potężnej latarki, płynęła ciemna woda. Bardzo nie spodobał mu się ten widok. Cofnął się, a Fitch zamknął klapę i powiedział:

- Kiedy ją złapiemy, wsadzimy właśnie tu.

- Mogę spytać kogo?

- Ależ oczywiście, że możesz, kochany chłopcze. - Fitch doskonale naśladował akcent człowieka, który skończył najwyżej podstawówkę. - Co więcej, właśnie spytałeś - dodał już swym zwykłym, ochryplym głosem. - Paulę Grey, oczywiście. Podniósł z podłogi zwój sznura zakończony pętlą, ale pętla ta się nie zaciskała.

- Zrzucimy jej to na szyję - mówił dalej z sadystycznym uśmieszkiem. - Ale przedtem zawiążemy pannie Grey chustkę. Pętla pójdzie na chustkę. Potem opuścimy naszego gościa do szybu, a linę zawiążemy na haku, który chyba widziałeś. Sterczy z boku.

- Nie rozumiem.

- Nie, oczywiście, że nie rozumiesz. Ale chyba zauważyłeś, że lina jest przetarta, prawda? Świetnie. To dowód, że cuda jednak się zdarzają. A więc Paula wisi sobie za szyjkę. No i próbuje się uwolnić, tylko że sznur pęka. Co za pech. Panna spada do wody, woda wynosi ją do rzeki i to koniec słodkiej pieszczoszki Tweeda.

- Brzmi strasznie. I jest strasznie skomplikowane.

- Niebiosa dodadzą nam siły. Czy ty naprawdę nie nie pojmujesz? Rzeka poniesie ją w stronę zapory. W którymś momencie ktoś zobaczy i wyłowi ciało, chyba że przedtem prąd wyrzuci je na brzeg. Policyjny patolog zbada trupa, ale nie znajdzie śladów duszenia, bo chustka zapobiegnie otarciu skóry przez sznur, a i sam sznur, i chustkę rzeka poniesie dalej. Płuca pełne wody, diagnoza: śmierć przez utonięcie. Nie ma morderstwa, nie ma mordercy. Wszystko jasne?

- Chyba tak. Musimy to zrobić?

- Ty baranie! Za porwanie panny Grey dobrze nam zapłacą. Bo to ugodzi w Tweeda. Wyobraź sobie, jak będzie cierpiał, kiedy znajdą ją martwą. Pojąłeś?

- Chyba tak. Ale nie podoba mi się, że mamy ją zabić.

- Kogo obchodzi, co ci się podoba, a co nie? Biznes to biznes. Teraz musimy ją tylko złapać. Ukradłeś samochód? Przykręciłeś kradzione tablice rejestracyjne?

- Oczywiście. Stoi za magazynem, żeby nikt go nie zauważył.

- Dobrze. Załatwimy to dziś wieczorem. I przywieziemy tutaj.

- Naprawdę chcesz powiesić ją w tej zsuwni?

- Posłuchaj mnie, człowieku - warknął Fitch. - Twoim zadaniem jest robić, co ci każę. Nim nastanie ranek, panna Grey będzie już pożywieniem dla rybek.

Odrobiłem pracę domową. Najczęściej przyjeżdża do mieszkania na Fulham Road około dziewiątej wieczorem. Podjedziemy wcześniej i zaczekamy na nią. To się oplaci.

Rozdział 12

Newman się uparł, że pojedzie za Paulą do jej mieszkania, chociaż dziewczyna ostro protestowała.

- Przecież idziesz na kolację z Romą! - protestowała, kiedy oboje szli po schodach.

- Już dzwoniłem. Przełożyłem spotkanie na później.

- Bomba! Z pewnością się to jej spodobało.

- Wie, że ciężko pracuję. Powiedziała, że zadzwoni do restauracji i poprosi o zatrzymanie stolika. Łatwo się z nią dogadać.

- A mnie nadal się to nie podoba.

Paula podjechała pod wejście na duże podwórko, gdzie zazwyczaj parkowała samochód. Nie zauważyła stojącego nieco dalej i z tyłu poobijanego fordka. Siedzący w fordzie Fitch zaśmiał się cicho. Podniósł z podłogi metalowy pojemnik, wyjął z niego szczelnie zamkniętą plastikową torebkę, w której znajdowała się szmata nasasycona chloroformem.

- Mamy ją! - powiedział radośnie.

W tym momencie dostrzegł parkujący za saabem samochód. Zza kierownicy wyskoczył mężczyzna. Szedł obok wjeżdżającego na podwórko saaba. Fitch schował torebkę do pojemnika.

- Niech to wszyscy diabli! - zaklął, obracając się do siedzącego obok Canala. - Jest z nią Newman, a to twardy sukinsyn. - Włączył silnik. - Wrócimy koło czwartej nad ranem. Pewnie to, co będą teraz robić, zabierze im trochę czasu - skomentował ordynarnie. - No, to znikamy.

Przejechał bez pośpiechu obok samochodu Boba, skręcił w Fulham Road.

Tymczasem Newman dokładnie przeszukał mieszkanie Pauli. Gospodyni, która czuła się winna z powodu zepsucia przyjacielowi randki, oferowała mu drinka, ale odmówił. Wyszedł na korytarz, przyjrzał się prostokątnej klapie w suficie.

- Co tam jest? - spytał Paulę, która wieszała właśnie wiatrówkę w szafie.

- Strych. Ja go nie używani, ale niektórzy ludzie chowają tam różne starocie.

Powtarzam: ja nie. A teraz leć już na spotkanie z Romą. Jestem pewna, że będzie to miły wieczór.

Przytuliła Boba, pocałowała go w policzek. Nie widziała powodu, by niepokoić go wzmianką o tym, że strych oświetlony jest dużym świetlikiem ze szklaną szybą.

- Bardzo dziękuję, że tak troskliwie się mną zaopiekowałaś. Bawcie się szaleńczo.

- Dopiero zaczynamy. Mamy jeszcze czas.

Spotkał się z Romą w Santorini's, luksusowej restauracji wyposażonej w taras wiszący nad Tamizą. O tej porze roku nie korzystał z niego nikt, było jeszcze za zimno.

Roma była atrakcyjną trzydziestoparoletnią kobietą. Miała czarne, perfekcyjnie ułożone włosy, duże niebieskie oczy, piękny profil. Dysponowała złośliwym poczuciem humoru i lubiła się śmiać. Jej ojciec był bardzo zamożnym właścicielem sieci sklepów, które odziedziczył po swym ojcu. Skończyła

prywatną szkołę w Benenden, ale nie nabrała jakże charakterystycznych dla absolwentów takich szkół manieryzmów i narowów. Można z nią było rozmawiać normalnie i na każdy temat.

- Rozumiem, że pracujesz w ubezpieczeniach? - powiedziała po kolacji, gdy pili kawę i ostatni kieliszek wina. - Dość specyficznych, jak słyszałam.

- Owszem. General & Cumbria Insurances. - Newman wymienił nazwę firmy mającej swą siedzibę przy Park Crescent, będącej oficjalną przykrywką SIS. - Rzeczywiście, mamy dość szczególną specjalizację. Ubezpieczamy wyłącznie bogatych mężczyzn i ich rodziny na wypadek porwania i żądania okupu.

- Tak po prostu płacicie, Bob? Nie potraficie sobie wyobrazić, że to wasza standardowa procedura operacyjna.

- Trafna uwaga. - Bob uśmiechnął się lekko. - Jesteśmy znani z tego, że ścigamy porywaczy. Czasami bywa to podniecające.

- Lubisz ryzyko.

- Można powiedzieć, że tak. Od czasu do czasu.

Zerknął na zegarek. Czwarta nad ranem. Roma dyskretnie stłumiła ziewnięcie.

Newman odwiózł dziewczynę do jej apartamentu. Przez chwilę siedział nieruchomo za kierownicą. Kiedy podjeżdżał za Paulą pod dom, w którym mieszkała, nieco dalej na Fulham Road dostrzegł poobijanego forda i zapamiętał go. Odruchowo odwrócił głowę, zdołał dostrzec kierowcę. Wówczas wydał mu się znajomy, ale teraz w jego głowie odezwały się głośne dzwonki alarmowe.

Fitch! Oglądał przecież policyjne zdjęcia tego brutalnego bandyty. Zawrócił w stronę Fulham, jechał szybko. Od razu dostrzegł ten sam stary wóz zaparkowany kilka metrów za wjazdem na podwórko. Po stronie pasażera siedział mężczyzna. Newman wyłączył silnik, wysiadł i niespiesznie ruszył w stronę forda. Okno od strony kierowcy było otwarte, drzwi okazały się nie-zablokowane. Zajrzał do środka.

Pasażer chował coś do kieszeni kurtki. Przyjrzał się intruzowi, ale nie powiedział ani słowa. Był wyraźnie zdenerwowany. Dziwne.

- Dlaczego parkujecie tu w środku nocy? - spytał Newman bez najmniejszego wahania, jakby miał pełne prawo pytać.

- Wypiłem... wypłem trochę za dużo. Wy... wytrzeźwieję troszkę i odjadę, kiedy już będę mógł prowadzić.

- Doprawdy? - Newman wsadził głowę do samochodu. Nie poczuł zapachu alkoholu. - Gdzie kierowca? - warknął.

- Musiał...

- Przed chwilą przedstawił się pan jako kierowca. Oszukuje mnie pan. Co się dzieje!?

- Nic. Tłumaczyłem już...

Newman wskoczył do samochodu na siedzenie kierowcy. Objął szyję mężczyzny ramieniem, kciukiem przycisnął tchawicę. Canal zaczął się dusić, oczy wyszły mu z orbit.

- Kim jest kierowca? - W głosie Newmana brzmiała groźba.

- Gdzie jest?

Rozluźnił nacisk na szyję i Canal zaczął mówić. Podał nazwisko, opowiedział o zamiarze porwania Pauli. To Newmanowi wystarczyło. Znokautował Canala

ciosem w szczękę, bezwładne ciało osunęło się z siedzenia na podłogę. Pobiegł do domu, gdzie mieszkała Paula. Nie dostrzegł Fitcha. Poruszając się cicho na butach o gumowej podeszwie, podszedł do okna. Ciemno. Skręcił za róg budynku. Do ściany przymocowana była bardzo solidnie wyglądająca rynna. Fitch był już prawie na dachu.

- Złaż na dół, przyjacielu! - krzyknął Newman. W ręku trzymał już Smith & Wessona. - Złaż, chyba że wolisz kulę w tyłek.

Zaskoczony Fitch omal nie puścił rynny. Chwycił się jej kurczowo, spojrzał w dół wściekły, ale kiedy dostrzegł rewolwer, posłusznie zsunął się na chodnik. Wylądował zręcznie, na lekko ugiętych nogach. Obracał się, kiedy Newman, który zdążył już schować broń do kabury, złapał go za ramiona i rzucił nim przez podwórko, wprost na ścianę. Fitch uderzył w nią głową z wyraźnie słyszalnym trzaskiem. Ale facet był twardy. Udał, że traci przytomność, pochylił się i wyrwał nóż z pochwy na nodze.

Newman nie dał się jednak zaskoczyć. Potężny cios nogą trafił napastnika wprost w podbrzusze. Fitch jęknął, skulił się, przyciskając ręce do zmiażdżonych jąder. Bob Newman chwycił go za włosy, przeciągnął przez podwórko i pustą ulicę wprost do samochodu.

Walnął głową bandziora w krawędź dachu, a potem cisnął bezwładne ciało na podłogę przed tylnym siedzeniem.

Miał nadzieję, że zastanie Canala na miejscu, i nie zawiódł się. Opryszek siedział nieruchomo, gapiąc się na niego z niebotycznym zdumieniem, jakby nie potrafił uwierzyć świadectwu własnych oczu. Newman usiadł z tyłu, przycisnął butem twarz Fitcha.

- Możesz prowadzić, prawda? - spytał z groźbą w głosie.

- Chyba tak...

- Żadne chyba. Przesiądź się za kierownicę i jedź. Do tego magazynu, o którym tyle mi opowiadałeś.

Ciągle jeszcze było ciemno; Canalowi prowadzenie stareńkiego grata poszło lepiej, niż można było oczekiwać. Kiedy podjeżdżali pod magazyn, East End nie obudził się jeszcze do życia. Posłuszny rozkazom Newmana Canal zdjął kłódkę z drzwi i wszedł do środka. Newman poszedł oczywiście za nim, niosąc przewieszzonego przez ramię Fitcha. Znaleźli się w wielkiej, pustej hali. Bob przystanął przy kłapie w brudnej drewnianej podłodze, cisnął obok niej bezwładne ciało.

- Słuchaj mnie uważnie - zwrócił się do Canala, już spokojniej. - Chcę wiedzieć, skąd przyjechałeś. Bo stąd nie jesteś z pewnością.

- Z Blackpool.

- Masz tam kogoś?

- Siostrę. Czasami się u niej zatrzymuję.

- Więc mam dla ciebie radę: złap pierwszy pociąg na północ i nigdy tu nie wracaj. Bo jeśli wrócisz, napuszczę na ciebie szefa Scotland Yardu, Buchanana. Powiem mu, że brałeś udział w próbie porwania, a to jest warte minimum pięć lat odsiadki. Trzymaj mordę na kłódkę, nie musisz mi dziękować. Wystarczy, że się wyniesiesz.

- Powiesz Fitchowi, dokąd pojechałem?

- Powiem mu, że ukrywasz się gdzieś w okolicy. Potrafisz chyba wyobrazić sobie, co z tobą zrobi, gdybyś wpadł w jego łapy.

- Już mnie nie ma.

Pozostawiony sam na sam z Fitchem, pojękującym już cicho i powoli odzyskującym przytomność, Newman zabrał się do roboty. Najpierw włożył rękawiczki, by nie zostawiać odcisków palców. Potem podniósł klapę w podłodze. Zapalił latarkę, zajrzał do środka. Metalowa zsuwnia prowadziła do płynącej nisko bystrej wody, zmierzającej ku nieodległej rzece. Wściekły jak nie wiem co przypomniał sobie beładną relację Canala i los, jaki Fitch zaplanował dla Pauli.

Podniósł z podłogi zwój sznura. Rzeczywiście, pętla przeznaczona na szyję dziewczyny była przetarta i z pewnością nie wytrzymałaby długo. Odciął ten fragment własnym nożem, zawiązał nową pętlę, także niezaciskającą się.

W samochodzie znalazł wełnianą chustę (Fitch był człowiekiem systematycznym). Zawiązał ją na szyi bandyty wystarczająco luźno, by nie tamowała oddechu. Na chustę poszła pętla.

W tym momencie Amos Fitch odzyskał przytomność.

- Co robisz, do diabła?! Za to cię załatwię!

- Naprawdę?

Bob przyciągnął na przemian miotającego najplugawsze klątwy i błagającego o zmiłowanie Fitcha za nogi do włazu. Drugi koniec sznura przywiązał do haka. Powoli, ostrożnie zaczął opuszczać swą ofiarę, aż jej głowa znalazła się nieco poniżej haka. Głos dudnił głucho w metalowym korycie.

- Na litość boską, Newman, nie rób mi tego! Mam mnóstwo for sy, dam ci wszystko...

Kłapa opadła, głos ucichł jak ręką odjął. Teraz o wszystkim miał zdecydować los. Bob nie miał ochoty korzystać z przetartej liny. Byłoby to przecież morderstwo z zimną krwią.

Nie w jego stylu.

Rozdział 13

Słońce nie weszło jeszcze, na ulicach ciągle było ciemno. Newman przeszedł spory kawałek drogi, nim zatrzymał taksówkę i kazał się zawieźć w pobliże mieszkania Pauli. Nie chciał mieć świadków mogących zeznać, gdzie wsiadł do taksówki i gdzie ją opuścił.

Szedł Fulham Road w pierwszych promieniach wschodzącego słońca. Miał zamiar wsiąść do swego samochodu i spokojnie odjechać, ale w oknie sypialni pojawiła się Paula, już ubrana. Zaprosiła go do środka.

- Chodź! Zrzucę ci klucz do bramy.

Bob złapał klucz, wszedł do domu. Mieszkanie na parterze zajmowała kobieta, której niemal nigdy nie było w domu. Paula czekała na niego u szczytu schodów. Wzięła go za ramię i zaprowadziła do siebie. Ubrana była w strój, który nazywała swym mundurem polowym: niebieskie spodnie włożone w sięgające do kolan buty i cienką niebieską kurtkę. Włosy miała porządnie ułożone, jakby właśnie wróciła od fryzjera.

- Przestraszyłam się, kiedy zobaczyłam, że twój samochód nadal stoi przed domem...

- Przez ostatnią dobę byłem raczej zajęty.
- To znaczy, że randkę należy uznać za udaną? - spytała z uśmiechem. -Nie, nie, nie wymagam od ciebie szczegółów.
- Dlaczego? To żadna tajemnica. Z Santorini's wyszliśmy o czwartej. Odwiozłem Romę do domu i od razu przyjechałem tutaj. Zapewne dlatego jeszcze żyjesz.

Postanowił opowiedzieć jej o tym fragmencie spotkania z Fi-tchem. Paula musiała poznać niebezpieczeństwo misji. Dla siebie zatrzymał zakończenie całej historii: nieprzytomnego Fitcha na podłodze starego forda, rozstanie z Canalem.

- Wchodził po rynnie? - spytała zdenerwowana dziewczyna.
- Co jest na dachu? Wyjście na strych?
- Można tak powiedzieć. Duży świetlik.
- Nasz przyjaciel przeprowadził porządny rekonesans. Chciał wejść przez strych i cię porwać. Miał ze sobą szmatę nasyoną chloroformem. Skończyłabyś w nurtach Tamizy.
- Próbujesz mnie przestraszyć? Jeśli tak, to ci się udało. Poza tym wyglądasz na kompletnie wykończonego. Musisz się przespać... w moim pokoju gościnnym. Natychmiast!
- Tweed chce, żebyśmy pojechali na Black Island, spotkać się z generałem. I jeszcze ta konfrontacja z Konspiracją...
- Zamknij się i idź spać.

W tym momencie Newman zachwiał się i gdyby Paula nie chwyciła go za ramię, z pewnością by upadł. Poprowadziła go do pokoju gościnnego, w którym już czekało zasłane łóżko; widok bardzo ponętny, zwłaszcza że rozboląła go głowa. Właśnie zdejmował buty, kiedy pojawiła się ze szklanką i dużą karafką wody. Jednym haustem wypił pierwszą szklankę, potem jeszcze połowę drugiej. Zrzucił wiatrówkę, rozluźnił krawat, rozpiął kołnierzyk koszuli.

- Zadzwoń do Tweeda i wszystko mu wyjaśnię - obiecała.
- Padł na łóżko. Zasnął w jednej chwili, nie czuł nawet, jak Paula poprawia mu poduszkę pod głową. Następnie w kuchni przygotowała termos kawy, termos herbaty, dzbanuszek mleka i talerzyk słodkich bułeczek z rodzynkami. Tacę zostawiła na stoliku przy łóżku Newmana, leżącego bezwładnie i nic nie wiedzącego o bożym ś wiecie.

Tego dnia Paula Grey stawiała się w biurze na Park Crescent pierwsza, oczywiście jeśli nie liczyć sekretarki. Do Tweeda zadzwoniła jeszcze z domu. Potem pojawili się wszyscy pracownicy łącznie z Marlerem, który stanął na swym ulubionym miejscu, oparł się o ścianę, włożył papierosa do cygarniczki.

Tweed zasiadł za biurkiem. Pierwsze słowa skierował do Pauli.

- Co z Bobem?
- Śpi jak dziecko. Zdaje się, że miał noc trochę trudniejszą, niż mogło to wynikać z naszej wcześniejszej rozmowy.
- Tak podejrzewałem. Marler, miałeś skontaktować się z przyjaciółmi z parlamentu, posłuchać plotek.
- To nie są moi przyjaciele - sprostował Marler. -Tylko kontakty. Wystarczy trochę ich podlać w sali dla gości czy jak tam to nazywają i gadają tak, że nie mogą przestać. Jeden z tych bystrzejszych słyszał jakieś plotki o formowaniu

Służby Bezpieczeństwa Państwowego i mocno mu się to nie podobało. Powiedział, że kraina wolności ma zostać zmieniona w państwo policyjne. Paru się z nim zgodziło, ale znów paru ministrów z rządu polubiło pomysł, choć nie na tyle, by głosować przedstawił im ustawę. Powiedziałbym, że sprawa ciągle się waży. Na ostrzu noża.

- A więc możemy się spodziewać kolejnych działań motywują cych, mających przerazić ludzi na śmierć. Chuligani pałacy dzielni ce nędzy i jeden Bóg wie co jeszcze...

Tweed umilkł, bo do pokoju wpadł jak burza Bob Newman. Paula zerknęła na zegarek. Spał najwyżej cztery godziny, ale temperament miał, że ho, ho.

- Myślałem - oznajmił od progu. - I wyszło mi, że nie działamy wystarczająco szybko. Tweed ma do rozwiązania sprawę przerażająco cego morderstwa, a musimy jeszcze rozbić Służbę Bezpieczeństwa Państwowego. Jeśli ktoś ma coś przeciw użyciu niekonwencjonalnych metod, to niech lepiej się obudzi. Jestem gotów jechać z Tweedem i Paulą na Black Island. To przynajmniej jakiś początek.

Zdumiewająca była szybkość, z jaką Bob odzyskał siły... i jego witalność. Pojawił się tak nagle, że wytrącił ich z równowagi. Ubrany był w kurtkę od munduru polowego i spodnie włożone w wysokie buty. Na rozczochrane włosy nasadził czarny берет. Wygląda jak komandos, pomyślała Paula. Nic dziwnego, kiedyś ćwiczył z SAS, żeby potem napisać o nich artykuł. Między innymi odbywał z rekrutami forsowne marsze po wzgórzach Walii. Ku zdumieniu wszystkich, łącznie z dowódcą SAS, dotarł na metę na drugiej pozycji.

- Pete... - Tweed chciał przydzielić Nioldowi trudne zadanie, by nie zazdrościł Newmanowi. - Mam dla ciebie ważną i niełatwą sprawę. Chcę, żebyś zrobił zdjęcia członkom Konspiracji wychodzącym ze swej kwatery. I nie mogą się o tym dowiedzieć.

Rzeczywiście, cholernie trudna robota.

- I jeszcze jedno. - Newman podniósł głos. - Biorąc pod uwagę doświadczenia z naszej wycieczki z Paulą, ośmielę się twierdzić, że będzie nam potrzebne wsparcie. Dobrze by było, żeby pojechali z nami Harry i Marler. Uzbrojeni po zęby.

- Wypowiadasz wojnę - wtrąciła Paula.

- Wypowiemy ją, kiedy druga strona zacznie strzelać. Zgadzasz się, Tweed?

- Owszem. Paula jedzie z nami.

- A więc bierzemy starego podrasowanego Bentleya, prezent od Harry'ego

- postanowił Newman.

- Nie ma na co czekać - przytaknął Tweed. Sprawdzał swojego walthera i wsunął go z powrotem w kaburę podramienną.

Zaparkowali samochód niedaleko przystani promowej, przy otwartym szlabanie.

Tweed dobrze zapłacił miejscowym mieszkańcom za opiekę nad samochodem.

Sama jazda do Dorset okazała bardzo przyjemna. Słońce świeciło jasno na czystym niebie. Im bliżej morza, tym było cieplej.

Tym razem przy promie nie zastali Abe'a. Zastępujący go przewoźnik wyjaśnił, że stary wziął sobie urlop. Wchodząc z przyjaciółmi na prom - byli jedynymi pasażerami - Newman uśmiechnął się.

- Biedny Abe - westchnął. - Musiał cholernie przerazić się tej motorówki z granatami.

Przepełnili na Black Island spokojnie, jak po jeziorze. Paula rozkoszowała się tą niespieszną żegluga, przyglądając się rosnącym powoli zabudowaniom Lydford. Uliczki były ciche i całkowicie opustoszałe, podobnie droga, w którą skręcili w lewo. Paula szła pierwsza, Harry stanowił straż tylną. Był mocno zaniepokojony.

- Za spokojnie tu - zauważył. Uzbrojony był w pistolet maszynowy, który nosił w długiej skórzanej kaburze. W przepastnych kieszeniach kurtki munduru polowego trzymał kilka granatów ręcznych.

Tweed szedł obok Pauli. Przy wybiegających z leśnej dróżki podjazdach do okazałych domów stały słupki z nazwami, ale nie znaleźli żadnego wskazującego Lockwood, dom generała Macombera; tę nazwę i właściwą drogę podał Tweedowi wczoraj wieczorem jego kumpel z Ministerstwa Obrony.

Stanęli przed zamkniętą bramą z kutego żelaza. Na słupku umieszczono wyłącznie tabliczkę z nazwiskiem właściciela: „Ma-comber”. Nie dostrzegli tu śladu życia, na krętym podejździe nie było żywej duszy, o dzwonku i mikrofonie też zapomniano.

- Ceni sobie prywatność - powiedział Tweed i wzruszył ramionami. - Przejdźmy kawałek dalej. Ktoś tu przecież musi być.

Paula pociągnęła go za rękaw. Po obu stronach wysokiej bramy stały masywne kamienne słupy. Wskazała mu ten po prawej.

- Popatrz w górę. Wygląda okropnie.

Na szczycie słupa znajdowała się rzeźba przedstawiająca kota przyczajonego jak do ataku, ale z głową obróconą o sto osiemdziesiąt stopni, patrzącego na własny grzbiet. Zniekształcenie to było w jakiś sposób straszne.

Paula wyszła zza zakrętu alejki i stanęła jak wryta. Świeżo odmalowany napis na desce głosił wszem wobec: „Crooked Village”. Dalej dostrzegła coś wręcz niezwykłego. Ustawione ciasno jednopiętrowe domki zupełnie do Anglii nie pasowały. Tweedowi przypominały raczej Prowansję. Ściany i strome dachy pomalowane były grubą warstwą białej farby. W niektórych domach krokwie wystawały spod linii dachów. Wszystkie domy miały zaledwie kilka niewielkich, pomalowanych na niebiesko okien i drzwi w tym samym kolorze.

Tweed zagapił się na ten widok z otwartymi ustami. Promienie słońca odbijały się oślepiającym blaskiem od świeżej farby. Frontowe ściany zarastały kaktusy. Skręcili za róg, tu strome dachy pomalowano na czerwono. To z pewnością nie Anglia. Jakaś siła przeniosła ich do innego świata.

- Ktoś tu lubi van Gogha - zauważył Tweed. - Ta wioska jest jak z któregoś z jego obrazów.

Paula wyciągnęła rękę.

- W tym domu ktoś jest. Pracuje - powiedziała.

- A więc możemy zapytać go o generała. - Tweed wszedł do środka wraz z Paulą.

Czekała ich kolejna niespodzianka. Duży pokój okazał się warsztatem garncarza. Sam garncarz siedział na trojnożnym stołku przy obracającym się kole. Był to niewysoki, mocno zbudowany mężczyzna o krzywej twarzy, ze zniekształconą z jednej strony szczęką. Na ich widok zaniechał obracania koła, a Paulę obdarzył

najcieplejszym z uśmiechów. Dłonie, pokręcone i zniekształcone chorobą, miał nieprawdopodobnie wielkie. Ubrany był w biały fartuch, wełniane obcisłe getry i zamszowe pantofle pochłapane białą farbą.

- Witajcie we Francji - powitał ich. - Nazywam się Francois. Mam nadzieję, że spodoba się wam nasza wioska. Generał opłacił wszystkie rachunki. Generał Lucius Macomber. Kocha Francję.

Tweed się przedstawił i zaproszony przez Francois usiadł ostrożnie na jednym z wiklinowych foteli, ale mebel okazał się zdumiewająco wytrzymały.

- Zdziwiła mnie rzeźba na jednej z kolumn. Kot z głową obróconą o sto osiemdziesiąt stopni. To dość niezwykle.

- Kryje się za tym pewna historia, rzeczywiście niezwykle, nawet makabryczna. Generał ma trzech synów, Nelsona, Bentona i No-ela. Wszystko zdarzyło się, kiedy byli dziećmi. Generał miał kota, którego uwielbiał. Nazwał go Tommy, taka typowa ksywka szeregowca armii. Sam kota karmił, nikt inny nie mógł dawać mu mleka ani jedzenia. Może wam to zademonstruję...

Francois zdjął ze stołu spory kawałek miękkiej gliny. Wielkimi, pozornie niezdarnymi dłońmi zręcznie ugniatał ją w kształt kota. Podniósł figurkę, pokazując ją wszystkim. Następnie zrobił coś przerażającego. Ujął kota za szyję i obrócił mu łeb. O sto osiemdziesiąt stopni.

- To właśnie jeden z jego synów zrobił Tommy'emu - powiedział cicho.

- Potworne! - krzyknęła Paula.

- Generał omal nie oszalał z żalu i gniewu. Zrobił wszystko co w jego mocy, by dowiedzieć się, który z synów popełnił ten straszny uczynek. To mu się nigdy nie udało. Więc, by ukarać winnego, polecił mi wykonać tę rzeźbę w kamieniu i umieścić ją na kolumnie. Uznał, że ilekroć morderca kota będzie wchodził na teren jego posiadłości albo z niego wychodził, stanie twarzą w twarz ze swym szaleństwem.

- Moim zdaniem to też jest straszne - powiedziała dziewczyna. - I nigdy nie poznał winnego?

- Nigdy.

- Kontaktuje się z synami. Jakie są ich stosunki? - zainteresował się Tweed.

- Nie wszystko jest takie, jakie mogłoby się wydawać.

- Nie rozumiem.

- Generał to prawdziwy mężczyzna, choć ma już blisko osiemdziesiąt lat. Jego żona zmarła przed trzema laty. Wiele lat temu miał romans z kobietą nazwiskiem Horlick. Jego kochanka zaszła w ciążę. Powiedział o tym żonie, która okazała się kobietą niezwykle. Zgodziła się powiedzieć sąsiadom, że jest w ciąży, i wyjechała z wyspy. Pani Horlick urodziła Noela i wówczas żona generała wróciła z dzieckiem. Ludzie byli pewni, że to jej dziecko.

- Nelson i Benton nigdy nie poznali prawdy?

- Wówczas z pewnością jej nie znali. Ale dorośli i poznali ją. Nie wiem skąd.

- Jak zareagowali na to, że ich rodzony brat okazał się bratem przyrodnim? Podejrzewam, że niezbyt przychylnie?

- I tu się pan myli - rzekł Francois. - Po pierwsze, Noel okazał się chłopakiem wyjątkowo błyskotliwym, zwłaszcza jeśli chodzi o przewidywanie przebiegu zdarzeń i planowanie. Po drugie, trenował zapasy w klubie znajdującym się po

drugiej stronie wyspy. Nelson potrafi być niezwykle twardy, ale na tego brata ręki nie podniesie. Gdyby spróbował, toby ją nosił w gipsie. W każdym razie bracia nie wyłonili ze swego grona winnego, a generał zaczął się mścić.

- Ma pan na myśli kamienną rzeźbę? - spytał Tweed.

- Nie tylko. Generał jest człowiekiem bogatym: jego ojciec był miliarderem, pozostawił mu cały majątek. Generał Macomber przy pomocy najlepszych londyńskich prawników ustanowił trzy fundusze. Po jednym dla każdego syna. Co roku chłopcy otrzymują pewną... powiedziałbym znaczną sumę pieniędzy. Wystarczającą na wygodne życie, ale niewiele więcej. Są wściekli. Generał nie spotyka się z nimi podczas swoich trzydniowych wypraw do Londynu.

- Powiedział pan... -Tweed starannie dobierał słowa - ...że generał to „prawdziwy mężczyzna”. Czy nadal interesuje się kobietami? Chodzi mi o wyjazdy do Londynu...

Francois przerwał pracę. Wstał. Ku zaskoczeniu wszystkich trzymał się prosto, jak młody człowiek.

- To sprawy osobiste. Prywatne życie generała jest jego prywatnym życiem.

Przyglądał się Tweedowi nieruchomym spojrzeniem. Lekko pochylił głowę, jakby się zastanawiał, z kim ma do czynienia. Po chwili usiadł, ale nie spuszczał wzroku z rozmówcy.

- Kim pan właściwie jest, proszę pana? Rozmawiam z panem o sprawach, o których przedtem nikomu nie mówiłem. A tak na prawdę mam na imię Frank. Generał nazywa mnie Francois, zgod nie z duchem naszej Crooked Village.

- Daję uroczyste słowo honoru, że nigdy nie powtórzę nikomu te go, czego dowiedziałem się od pana. - Tweed patrzył garncarzowi w oczy.

- Nie przedstawił mi pan swej uroczej towarzyszki...

- Rzeczywiście, bardzo przepraszam. Zapomniałem o dobrym wychowaniu. To panna Paula Grey, moja asystentka, mam do niej absolutne zaufanie.

Frank zdjął rękawice, uściśnął Pauli rękę.

- Na pierwszy rzut oka widać, że jest pani godna zaufania. I bez wątplenia potrafi dochować sekretu.

Wydawał się nie przejmować Newmanem, który stał nieco dalej, przy otwartych masywnych drzwiach domu i wyglądał na zewnątrz. Doskonale uzbrojony Harry pilnował wejścia do wioski.

Tweed wstał, wyciągnął rękę.

- Wychodzie już? - zdziwił się Frank. - A ja chciałem zaprosić was na skromny poczęstunek.

- Dziękuję bardzo. Niestety, muszę jak najszybciej porozumieć się z generałem. Czy nie przeszkodzi panu, jeśli wspomnę, że odwiedziliśmy pana i rozmawialiśmy przez chwilę o garncarstwie i wiosce?

- Oczywiście, że mi to nie przeszkadza. On jest bardzo dumny z tej wioski. Projektował ją francuski architekt, robotników też sprowadzono z Francji. Doradzili mi, jakich barw użyć. Są celowo przejawskrawione, światło w Prowansji jest o wiele silniejsze niż w Anglii. Odejdźcie w zdrowiu...

Rozdział 14

Paula odwróciła się, po raz ostatni rzuciła okiem na wioskę. Była oszołomiona, a

wrażenie, że przed chwilą odwiedziła Francję, z minuty na minutę stawało się coraz silniejsze. Wyjęła aparat, zrobiła kolejne trzy zdjęcia.

- Niezwykłe doświadczenie - powiedziała lekko drżącym głosem, zwracając się do Tweeda. - I bardzo sympatyczny facet ten Frank. Spodobał mi się.

- Ty też mu się spodobałaś. Inaczej nie powiedziałaby nam tego, co powiedział. Cwany staruszek. I jeden z najszcześniejszych ludzi, jakich widziałem w życiu.

Szli szybko za Harrym, rozglądającym się bez przerwy dookoła. Newman także był czujny. Martwił się o Paulę. Miał nadzieję, że nie zdarzy się im kolejna nieprzyjemna przygoda.

Brama z kutego żelaza, strzegąca wjazdu na teren posiadłości generała, otwierała się powoli. Zatrzymali się, nadstawili uszu.

Łup...

Łup...

Łup...

Dźwięk ten dobiegał zza zakrętu szerokiego podjazdu. Tweed nie miał pojęcia dlaczego, ale natychmiast przypomniał sobie pobyt w kostnicy i to, co profesor Saafeld miał do powiedzenia o tragicznej śmierci Violi Vander-Browne.

Przeszedł podjazdem za zakręt. Szedł pierwszy, Paula tuż za nim. Stała jak wryta, Bob Newman omal na nią nie wpadł.

- Jakieś kłopoty? Wyglądasz na zdenerwowaną.

Tweed patrzył na podjazd prowadzący do dużego, pięknego domu zbudowanego z czerwonej cegły w stylu dworku z Georgii. Charakterystyczny stuk był dziełem wysokiego, muskularnego mężczyzny, który rąbał siekierą na szczapy wielkie kłody drewna.

Generał miał na głowie czapkę z długim daszkiem chroniącą twarz przed fruującymi w powietrzu drzazgami. Na widok gości odłożył siekierę, ściągnął rękawice i spojrzał na Tweeda z uśmiechem.

Zdjął czapkę. Twarz miał opaloną, nos duży, haczykowaty, przenikliwie niebieskie oczy, cienkie wargi, kwadratową szczękę; wyglądał jak ożywiony portret księcia Wellingtona.

- Pan Tweed, jeśli się nie mylę? Oraz panna Paula Grey i nie zrównany pan Robert Newman - powiedział głosem donośnym, na wykłm do wydawania rozkazów, jednak bez tonu żołnierskiej ko mendy. Odnosiło się raczej wrażenie, że oto dowódca zwraca się do swych zaufanych, szanowanych oficerów. Mimo zaawansowanego wieku generał twarz miał młodą, zdrową, opaloną na brązowo. Podszedł sprężystym, równym krokiem, wyprostowany jak struna.

- Spodziewałem się was - mówił dalej, wyciągając rękę. - Wasz przyjaciel Allenby z Ministerstwa Obrony dzwonił do mnie z informacją, że możecie pojawić się na moim progu.

W dzisiejszych czasach nikomu nie woino ufać, wszyscy gadają, pomyślał Tweed. Przygotował się na miażdżący uścisk dłoni generała, okazało się jednak, że była równie silna co delikatna. Następnie Macomber uprzejmie przywitał się z Paulą, kłaniając się przy tym szarmancko.

- Pan Tweed to bardzo mądry człowiek, inaczej nie otworzyłbym wam bramy. Podejrzewam jednak, że bez pani jego życie byłoby bardzo ciężkie. Zdolności i wdzięk... nieczęsto spotyka się je w jednej osobie.

- Przecenia mnie pan - zaprotestowała Paula. - Mojego szefa ocenił pan jednak bezbłędnie.

- Równie serdecznie witam słynnego twardego faceta, Roberta Newmana. Mówi się, że nie warto z panem zadzierać.

Newman, jak Tweed, przygotował się na miażdżący uścisk dłoni... i nie doznał rozczarowania. Odpowiedział podobnie, bardzo łagodnie się przy tym uśmiechając. Generał spojrział na niego zaskoczony. Nie tego się spodziewał.

- Panie Newman, pan oczywiście jest człowiekiem młodym, co daje panu naturalną przewagę nad starszym takim jak ja. Powi nien pan częściej pisać wspaniałe artykuły o kondycji świata. Jest pan najlepszym spośród znanych mi dziennikarzy. No, oczywiście, mamy jeszcze Drew Franklina. Dobry, ale brak mu pańskiego cięte go pióra. - Dostrzegł Harry'ego trzymającego się, jak zawsze, kilka kroków z tyłu. Podszedł do niego z wyciągniętą dłonią. - Harry Butler! Kolejny ważny członek zdumiewającego zespołu Tweeda. Pana specjalnością są środki wybuchowe. - Przywitał go długim uściskiem dłoni. - Trudna praca, bardzo trudna. Gdyby kiedyś prze ciął pan niewłaściwy drucik...

- Gdybym nie wiedział, który drucik przeciąć, zostawiłbym to cholerne ustrojstwo i uciekł - nie wytrzymał Harry.

- I dlatego nadal jest pan z nami. - Generał położył rękę na jego ramieniu. - Zapraszam do domu. Wypijemy za grzeczność, którą okazaliście mi swą wizytą. Grzeczność okazaną włóczędze, jak nazywano mnie na Dalekim Wschodzie. Wiem, bo jestem wielbicielem Somerseta Maughama. Ten facet wiedział to i owo...

Ruszyli za gospodarzem do jego domu. Nim weszli do domu, jeszcze na tarasie Tweed zadał ważne pytanie:

- Interesuje mnie jedna sprawa. Skąd pan wiedział, że przybywamy? Brama otworzyła się automatycznie.

- Proszę przyjrzeć się uważnie drzewu stojącemu przy podjeździe, na zakręcie.

- Generał wyciągnął rękę; Tweed pobiegł spojrzeniem za jego gestem. Na jednej z niższych gałęzi wisiało lustro. - Widzę w nim, kto podchodzi do bramy. Jeśli to ktoś interesujący, taki jak pan i pańscy ludzie, przekładam dźwignię znajdującą się za pieńkiem, przy którym rąbię drewno. Nocą bramę i drogę za nią oświetlają silne lampy. Czasy mamy trudne, trzeba się jakoś zabezpieczyć. No, zapraszam na drinka.

Dwuskrzydłowe dębowe drzwi prowadziły do przestronnego korytarza. Podłogę przykrywał wielki perski dywan. Na jednej ścianie wisiał portret księcia Wellingtona, co Tweeda nie zaskoczyło. Na drugiej, co też nie było dziwne, generał powiesił autoportret van Gogha; kolorystyka obrazu nieuchronnie kojarzyła się z Crooked Village.

Pomalowane na biało drzwi otwierały się z korytarza na przestronny pokój dzienny, z oknami na trzech ścianach. Natychmiast pojawiła się młoda dziewczyna, bez wątplenia pokojówka, Celeste. Generał porozumiał się z gośćmi, zamówił drinki. W zdumiewająco krótkim czasie Celeste pojawiła się z powrotem ze srebrną tacą, rozdała szklaneczki i znikła. Paula, którą ta dziewczyna bardzo zaintrygowała i która znała język, spytała:

- Panie generale, czy wszyscy pańscy pracownicy są Francuzami?

- Tak, oczywiście. W naszych czasach Brytyjczycy sądzą, że praca służącego jest poniżej ich godności. Cztery dziewczyny opiekują się tym raczej dużym domem. Mam także francuską gospodynię, prawdziwego smoka. Wszystkie mieszkają w Crooked Village. Odnoszę wrażenie, że czują się tu jak u siebie. - Spojrzał Tweedowi wprost w oczy. - Śmierć panny Vander-Browne... coś okropnego. Staczymy się w barbarzyństwo.

- Skąd pan o niej wie? - zainteresował się Tweed.

- „Daily Nation” trafia na próg tego domu każdego dnia. Lubię wiedzieć, co dzieje się na świecie. Drew Franklin napisał na ten temat długi artykuł. Okoliczności wydawały się naprawdę makabryczne.

- O ile wiem, takie były - przytaknął Tweed.

- A teraz - mówił dalej generał - mamy jeszcze Czarne Koszule, faszystów i tę tak zwaną Służbę Bezpieczeństwa Państwowego, rządzącą się na zachodnim krańcu wyspy i budującą tam coś bardzo dziwnego. Wie pan, nie zaskoczyłoby mnie... - przerwał, przesunął palcem po dolnej wardze. -1 wcale by nie zdziwiło, gdyby pewnej

ciemnej nocy te budynki i ludzie, którzy w nich pracują, wylecieli w powietrze. To, co powiedziałem, przeznaczone jest oczywiście tylko dla pańskich uszu. A w ogóle to nic nie mówiłem, prawda?

- Pan coś mówił? - Tweed wysoko uniósł brwi.

- Zamyśliłam się - dodała Paula.

- A ja ogłuchłem - zakończył Newman.

- No to świetnie. - Generał wstał. Uśmiechał się. - Jeśli skończyliście państwo drinki, może zechcecie obejrzeć mój mały Wersal?

Poprowadził ich przez hol i długi korytarz na tyły domu. Otworzył drzwi prowadzące na wielki taras ciągnący się przez całą szerokość budynku. Uprzejmie odstąpił na bok, przepuszczając Paulę przed sobą. Przekroczyła próg, zatrzymała się, westchnęła ze zdumienia.

Z białego, wzniesionego nad ziemią tarasu schodziło się po kilku szerokich schodach do prawdziwego raj. I to niemałego - trawnik wielkości sporego pola golfowego wydawał się ciągnąć aż po horyzont. Były tu pergole i kamienne łuki, zasadzone w dekoracyjnych grupach drzewa oraz krzewy iglaste, których nigdy przedtem nie widziała, starannie przystrzyżone i ukształtowane, jezioro w kształcie łabędzia, a dalej labirynt z przystrzyżonych wieczniezielonych żywopłotów.

- Kto wejdzie do labiryntu bez mapy, nigdy nie znajdzie wyjścia powiedział generał. - Pozwoli pani, że pokażę jej coś jeszcze?

Podszedł do chromowanego koła wbudowanego w balustradę. Przekręcił je. W kilkunastu miejscach na ogromnym trawniku wzbily się w powietrze fontanny, każda ozdobna i każda w innym kształcie. Rury i przewody ukryte były wśród trawy.

- Nigdy nie widziałam niczego podobnego - powiedziała zachwycona dziewczyna.

- Nie potrzebuje pan ogrodnika, generale? - zażartował Harry.

- Mam dwunastu z wioski, ale chętnie widzę nowe talenty - odpowiedział generał równie żartobliwie.

- Istotnie, widok zapierający dech w piersiach - przyznał Newman. Przyglądał się ogrodowi, mocno ściskając dłońmi balustradę.

Oczywiście wszystko to stworzyli Francuzi?

- Oczywiście. Specjaliści spod Paryża.

Przez chwilę stali w milczeniu, trudno im było oderwać wzrok od tak pięknego widoku. Wreszcie Tweed spojrział na zegarek.

- Dziękujemy za gościnność - powiedział - ale musimy już jechać. I tak z trudem zdążymy na ostatni prom. - Jeszcze raz przyjrzał się gospodarzowi.

-Sprawia pan wrażenie człowieka cieszącego się wspaniałym zdrowiem i kondycją. Jak pan to robi?

- Wstaję wcześniej, wypijam szklankę soku pomarańczowego, wbiegam na Nos Wiedźmy. Powiadają, że ze szczytu można dostrzec wyspę Wight, ale mnie nigdy się to nie udało. Nawet w pogodny dzień.

Odprowadził ich do końca podjazdu. Brama otworzyła się, a potem zamknęła za plecami gości. Generał Macomber wrócił do domu.

Szli w kierunku promu. Przed wyprawą Paula spodziewała się wspomnień o motorówce i wybuchu, ale okazało się, że potrafi myśleć wyłącznie o Crooked Village, jej wyobraźnia nie potrafi się uwolnić od piękna wioski i zdumiewających ogrodów generała.

Zjedli coś i wypili w barze Monk's Head, zajęli miejsca w bentleyu. Gdy Newman wciskał pedał gazu, słońce nadal świeciło na niebie. Ruszając, krzyknął przez ramię do Marlera, który pozostał w Tolhaven:

- Ominęło cię coś zupełnie wyjątkowego!

- Rozmawiałem z barmanem. Barmani wiele wiedzą. Naliczył pięćdziesięciu łotrów z Oddziałów... to znaczy ze Służby Bezpieczeństwa Państwowego. Przyjeżdżali i od razu wsiadali na prom. Musieli zgromadzić kupę ludzi do budowy tych strasznych więzień. Widziałem zdjęcia.

- Aż tyłu? - zdziwiła się Paula. - Roją się jak mrówki!

- Bardzo cenna informacja - zauważył Tweed. - Teraz wiemy przynajmniej, przeciw komu wystąpiliśmy. Trzeba ich powstrzymać... i to jak najszybciej.

- Ale jak? - spytała dziewczyna.

- Już my coś wymyślimy. - Newman uśmiechnął się szeroko.

Dojeżdżali do Park Crescent, przedzierając się przez londyńskie korki. Jeszcze przed chwilą pogrążona w myślach Paula powiedziała nagle do Tweeda:

- Zauważyłeś, że generał ani słowem nie wspomniał, że prowadzisz śledztwo w sprawie morderstwa? Wydaje mi się to raczej dziwne.

- Zauważyłem - przytaknął sucho Tweed. - I rzeczywiście, jest to bardzo dziwne.

Dziewczyna otworzyła „Daily Nation”, który przed chwilą kupił Newman. Niemal całą pierwszą stronę zajmował artykuł Drew Franklina.

POTWORNE MORDERSTWO W LONDYNIE

Zaledwie dwa dni temu Viola Vander-Browne, znana piękność z wyższych sfer, została zgwałcona, a następnie zamordowana, najprawdopodobniej tasakiem do mięsa, przez obcięcie rąk, nóg, a na końcu głowy. Policja nie przekazała do wiadomości publicznej zdjęć z miejsca zbrodni, twierdząc, że są zbyt drastyczne.

Jak udało się nam dowiedzieć, śledztwo przekazano w drodze wyjątku wyższemu oficerowi SIS. Niegdyś był to słynny detektyw Scotland Yardu; udało mu się

rozwiązać trzy sprawy morderstwa, z którymi nie potrafił poradzić sobie nikt inny.

Londyńczycy, nie wychodźcie z domu po zmroku. Upewnijcie się, że dobrze zamknęliście drzwi i okna. Psychopatyczny morderca może uderzyć po raz drugi, jego ofiarą będzie najprawdopodobniej kobieta.

Paula westchnęła. Podała gazetę Tweedowi.

- Tym razem Drew naprawdę poszedł na całość. A generał wiedział bardzo wiele

o bardzo wielu sprawach; nas znał świetnie. Powinien się także dowiedzieć, że za śledztwo w sprawie morderstwa Violi odpowiadasz ty, nikt inny.

- Też się nad tym zastanawiałem. - Tweed pośpiesznie przejrzał artykuł.

-Przecież Franklin zrobił wszystko, by wskazać na mnie... bez ujawniania mojego nazwiska.

- Spotkam się z nim jak najszybciej. Będzie mówił, nie ma strachu. W razie potrzeby potrafię ostro go przydusić - oświadczył Bob Newman.

Paula patrzyła mu w oczy. Potwierdziły się jej podejrzenia. Bob był wściekły i zdeterminowany.

W biurze zastali zaledwie dwie osoby. Monica, jak zwykle, trudziła się przy komputerze, a Pete Nield chodził od ściany do ściany, wyraźnie czymś zmartwiony.

- Coś się stało? - spytał Tweed.

- Nie... tylko tak sobie myślę.

Gdy tylko Tweed usiadł za biurkiem, podniosła się Monica, trzymając w ręku dużą białą kopertę. Na dłoń włożyła rękawiczkę. Położyła kopertę na biurku szefa.

- Wrzucono ją nam w porze lunchu - wyjaśniła.

- Kto wrzucił?

- Nie wiem. Poszłam do sklepu kupić sobie coś do jedzenia. Nie było mnie w biurze najwyżej dwadzieścia minut. Ktoś dobrze wybrał sobie czas.

- Co z George'em? - Tweed miał na myśli byłego podoficera armii, który był ich ochroniarzem i zwykle zajmował stolik przy drzwiach wejściowych. Tylko ktoś bardzo silny i zręczny ośmieliłby się z nim zdrzeć.

- Wiem, że na jakieś pięć minut wyszedł do toalety. Kiedy wrócił, ta koperta leżała już na podłodze pod szczeliną na listy. Natychmiast otworzył drzwi, ale na chodniku było akurat mnóstwo ludzi, w końcu to pora lunchu. Nie zauważył nikogo podejrzanego. Nie zapomniał włożyć rękawiczek.

- Ja też nie zapomnę.

Z tymi słowami Tweed włożył gumowe jednorazowe rękawiczki. Podniósł kopertę, zważył ją w dłoni. Była lekka. Wydawała się dobrej jakości, typowa, taką dostać można w każdym przyzwoitym

sklepie papierniczym. Nie zaklejono jej, skrzydełko po prostu włożono do środka, nie mieli więc próbki śliny do badań DNA. Ostrożnie wyjął skrzydełko, a potem zawartość koperty.

Była w niej duża kolorowa fotografia zrobiona nocą. Fotografia ujętego z tyłu mężczyzny w płaszczu z podniesionym kołnierzem - mocno zbudowana postać na wąskiej, brukowanej uliczce; okno na pierwszym piętrze po lewej stronie

zakrywała czerwona plama. Światło pochodziło z antycznej latarni wbudowanej w ścianę domu.

Tweed spojrzął na Paulę.

- O co chodzi? - zaniepokoiła się dziewczyna, podbiegając do niego ze szkłem powiększającym w ręku. Jeszcze przed chwilą oglądała przez nie szczegółową mapę Black Island, ale przy jego biurku znalazła się wręcz błyskawicznie. - Co to takiego?

- Ty mi powiedz!

- Z całą pewnością Fox Street. O mój Boże, chyba widzimy tu krew na matowej szybie okna pierwszego piętra! - Przyjrzała mu się przez lupę. Podniosła wzrok. Twarz miała bardzo poważną. - To świeża krew. Nie miała jeszcze czasu zaschnąć, zbrązowieć. O ile pamiętam, Saafeld wspomniał o tym, że odrąbując ofierze głowę, morderca przeciął tętnice, z których krew trysnęła aż na ściany i okno. W każdym razie okno pokryła niemal w całości. To musi być mieszkanie Violi. Na Fox Street.

- Odwróć zdjęcie - polecił Tweed.

Na odwrocie niezdarnymi, drukowanymi literami wypisano dwa słowa: PORTRET MORDERCY. Na kopercie, podobnymi literami, wypisane było: PAN TWET.

- Analfabeta? - zdziwiła się Paula, nim zdążyła pomyśleć.

- Chyba nie mówisz poważnie. Mnie się wydaje, że ten, kto podpisał zdjęcie i kopertę, i uprzejmie je nam doręczył, był doskonale wykształcony. Niezdarne pismo i błędy ortograficzne miały ukryć ten właśnie fakt.

- Człowiek na fotografii jest potężnie zbudowany, ale trudno określić jego wzrost.

- Nie musi być dobrze zbudowany, nie musi być mężczyzną, co, jak mi się zdaje, sama kilkakrotnie sugerowałaś. Jeśli ktoś włoży trzy płaszcze i jeszcze trencz, z pewnością wyda się masywniejszy niż w rzeczywistości. Kobieta w tym stroju może z powodzeniem uchodzić za mężczyznę. Główne pytanie brzmi: kto zrobił to zdjęcie i dostarczył je nam w najodpowiedniejszym momencie.

- Ktoś, kto wcześniej tropił mordercę.

- Motyw?

- Już rozumiem, o co ci chodzi. Zazdrość?

- Jakie to proste! - Tweed uciekł się do ironii. - Pozostaje nam jeden drobiazg: znaleźć fotografa.

- Jeśli o mnie chodzi, stawiałabym na Papugę.

- Podczas śledztwa nie bawimy się w obstawianie, Paula. Ale skoro o tym wspomniałaś... miałem wrażenie, że Papuga zajmuje zaszczytne pierwsze miejsce na twojej liście podejrzanych o dokonanie morderstwa.

- Wszystko się poplątało...

- Poplątało, nie poplątało, zanieś to zdjęcie do piwnicy, gdy tylko znajdziesz wolną chwilę, dobrze? Chcę mieć jak najszybciej trzy kopie i oryginał.

Podczas ich rozmowy Bob Newman podszedł do Pete'a Nielda. Gestem głowy wskazał drzwi.

- Mam słówko do twojego wielkiego ucha - powiedział. - Sala dla gości na dole będzie najlepsza.

Paula dysponowała niezwykłą zdolnością: potrafiła prowadzić rozmowę i jednocześnie słuchać tego, co mówią inni. Zbiegła do piwnicy przed Newmanem i Nioldem. Oni obaj natomiast zajęli miejsca w spartańsko urządzonej i umeblowanej sali dla gości, naprzeciw stanowiska George'a. Usiedli przy stoliku.

- Muszę rozmawiać z twoim informatorem - oznajmił Bob. - Nie dziś wieczorem, ale już, teraz. Sprawa jest pilna.

- Bardzo mi się to nie podoba - zaprotestował stanowczo Niold.

Jest żelazna zasada, że nikt z nas nie ujawnia nikomu z zespołu źródeł informacji...

- Tweed znalazł się w iście diabelskiej sytuacji... a my wszyscy wraz z nim. W takim wypadku zasady wyrzuca się przez okno. Chyba że... - mówił Bob ironicznie, wręcz sarkastycznie, co było zdecydowanie nie w jego stylu -...że czekasz na długi płaszcz, czapkę i opaskę ze znakiem Służby Bezpieczeństwa Państwowego, choć określenie „tajna policja” byłoby chyba znacznie trafniejsze. Budzenie ludzi o północy, wyciąganie ich z domów na brutalne przesłuchania... jak się nazywa twój informator?!

- Coral Flenton - powiedział cicho Niold.

- Już lepiej. Ale nie każ mi pracowicie wyciągać z ciebie wszystkich szczegółów. Kim ona jest? Gdzie pracuje... jeśli w ogóle pracuje?

- Jest urzędniczką państwową, asystentką Papugi. Szefowa traktuje ją naprawdę fatalnie. Stale ma pretensje, tylko czeka, aż Coral popełni jakiś błąd, żeby się do niej przyczepić. I wiesz co, Bob...

Niold na chwilę zawiesił głos. - Jest bardzo wrażliwa, więc nie żyj czę sobie, żebyś ją denerwował. Ostatnio znów udowodniłeś, że po trafisz być niezłym sukinsynem.

- Owszem. - Newman zapalił papierosa, co mu się nieczęsto zda rzało. - Tylko że kiedy masz do czynienia z ludźmi pokroju Fitcha i łapiasz ich na próbie porwania Pauli, zapominasz o metodach mar kiza Queensberry, bo do niczego ci się nie przydadzą.

Niold zerknął na zegarek.

- Możesz Coral poznać za mniej więcej pół godziny. Zgodziłem się spotkać z nią w Popsies, kawiarni w Covent Garden. Przedstawię cię, a potem elegancko się usunę.

- Jestem ci bardzo wdzięczny.

Newman nawet się nie domyślał, że Paula odgadła jego zamiary. I mocno się jej nie spodobały. Po oddaniu zdjęcia technikom wybiegła przez frontowe drzwi na ulicę. Znalazła fiata Harry'ego, wyjęła zapasowe kluczyki spod tandetnej wykładziny podłogowej. Jakże to dla Harry'ego typowe, że nie kazał jej wymienić, pomyślała.

Cofnęła siedzenie, oparła dłonie na kierownicy. Nie spuszczała wzroku z wyjścia z biura. Kiedy pojawili się w nim Bob i Pete, pochyliła głowę, żeby jej nie zauważyli.

Rozdział 15

Bardzo ostrożnie jechała za samochodem Newmana. Bob potrafił dostrzec ogon, ale ona równie dobrze potrafiła się chować. Drogę do Covent Garden wybrał sprytnie, od Leicester Square jechał bocznymi uliczkami, znanymi wyłącznie

doświadczonym taksówkarzom. Gdy znalazł się na miejscu, zwolnił, wyjrzał przez okno, spojrzął na kawiarenkę. Paula miała kłopot z odczytaniem ozdobnych liter, ale w końcu sobie z tym poradziła. Napis głosił: „Popsies”.

Większość ludzi wracała już do domu, więc Bob Newman bez trudu znalazł miejsce na samochód. Paula zaparkowała fiata kawałek dalej. Wrzucając monety do licznika, przyglądała się wchodzącym do kawiarni przyjaciółom.

Jeśli informatorem Pete'a Nielda okaże się mężczyzna, nie ma sprawy, ale jeśli kobieta, mogą być kłopoty. Bob w tym nastroju nie będzie grzeczny, uprzejmy. Paula rozumiała go, no i w końcu na Black Island uratował jej przecież życie. Gdy tylko dostrzegła wychodzącego i kierującego się w stronę rynku Pete'a, ukryła się we wnęce przy wejściu do sklepu. Na szczęście zabrała z biura parasolkę przeciwsłoneczną; wrzuciła ją do samochodu i teraz miała przy sobie. Dzięki Bogu, że Tweed zajęty był rozmowami przez telefon - gdyby się dowiedział, że wyszła, nic mu o tym nie mówiąc, dostałby ataku szału.

Szła, chroniąc się pod parasolką, choć powoli zapadał już zmierzch. Przez okno Popsies dostrzegła plecy siedzącego sztywno przy stoliku Newmana, a naprzeciw niego drobną, atrakcyjną dziewczynę. Wyjęła aparat, zrobiła szybko dwa zdjęcia, poszła dalej.

- A więc jest pan kimś w rodzaju przyjaciela Pete'a? - spytała Coral Flenton. W jej głosie słychać było zdenerwowanie.

- To prawda. Blisko ze sobą współpracujemy...

- W sprawie specjalnego rodzaju ubezpieczeń. Ubezpieczenie bogatych mężczyzn obawiających się, że mogą paść ofiarą porwania.

W jej ustach zabrzmiało to tak, jakby podejrzewała go o oszustwo. Wielkimi piwnymi oczami wpatrywała się w oczy Newmana. Wyraźnie widać było, że jest nastawiona wrogo, a co najmniej nieufnie. Szkoda. Polubił ją od pierwszego wejrzenia.

- To też prawda. Ale przyszło nam teraz prowadzić śledztwo w sprawie ohydneho morderstwa. Czy wolno mi spytać o pani zawód i pracę?

- Jestem urzędniczką państwową, ale o tym chyba pan wie?

Newman wypił łyk kawy. Doskonała. Może pewnego dnia wpadnie tu z Romą? Przed kolacją?

- Wiem także, że pracuje pani dla Papugi. Nie myślę się? - spróbował przełamać lody.

- Ma pan na myśli pannę Partridge?

Coral siedziała nieruchomo, twarz miała kamienną. Żyły tylko te jej przenikliwe oczy, nie opuszczały jego twarzy. Bob czuł, jak grunt usuwa mu się spod nóg. Naprawdę polubił tę dziewczynę... ale nie potrafił nawiązać z nią kontaktu.

- Ma pani bezpośredni dostęp do Nelsona, Bentona i Noela Ma-comberów? - spytał ze sztucznym uśmiechem.

- Nie. Oni zazwyczaj siedzą w innym pokoju.

- W takim razie... kto im pomaga?

- Panna Partridge.

- Słyszała pani kiedyś o Służbie Bezpieczeństwa Państwowego? - Uznał, że pora na poważniejsze pytanie.

- O czym?

Służbie Bezpieczeństwa Państwowego.

- Nie. O czymś takim nigdy nie słyszałam.

Newman rozluźnił się, usiadł wygodniej, choć wymagało to sporej siły woli. Nadal się uśmiechał, a Coral nadal wpatrywała się w niego czujnym spojrzeniem. Ale Bob nie poddawał się łatwo.

- Zadaję pani te pytania tylko dlatego, że tropiony przez nas psychopatyczny morderca może znowu uderzyć - wyjaśnił.

- Przykro mi to słyszeć.

- Zajmujemy się sprawą Violi Vander-Browne. Opisują ją dzisiejsze gazety.

- Jeszcze chwila, a stracę apetyt. Czytałam o tym.

- A może pozwoli się pani zaprosić na kolację? Obiecuję, że nie zadam żadnego pytania.

- Nie pozwolę. Jestem umówiona na dzisiejszy wieczór, panie Newman.

- W takim razie lepiej już pójdę. - Newman wstał. Poprosił kelnerkę o rachunek.

- Za mnie pan nie płaci - powiedziała dziewczyna przez zaciśnięte zęby.

Bob wyszedł na ulicę. Na widok zbliżającego się Nielda bezradnie

rozłożył ręce. Paula, która obserwowała ich z fiata, bezbłędnie

rozpoznała ten gest. Wcale jej nie zaskoczył. Odczekała, aż panowie odjadą, po czym wysiadła, wrzuciła jeszcze parę monet do parkome-tru i weszła do kawiarni.

W środku było pusto, tylko przy jednym stoliku siedziała samotna Coral Flenton. Zamówiła drugą kawę, żeby się uspokoić. Paula zatrzymała się, rozejrzała dookoła, a kiedy Coral podniosła wzrok, wolno podeszła do jej stolika.

- Bardzo przepraszam - odezwała się z wahaniem - ale jeśli nie jest pani z nikim umówiona, chciałabym się przysiąść. Nie lubię pić kawy sama.

- Proszę, niech pani usiądzie. - Coral Flenton uśmiechnęła się pogodnie. - Mają tu całkiem dobrą kawę. - Skinęła na kelnerkę, zamówiła kolejną filiżankę.

- Nie powiedziałam pani wszystkiego - przyznała Paula. - Przyjaźnię się z Pete'em Nioldem. Blisko ze sobą współpracujemy.

- Doprawdy? - Coral natychmiast spoważniała. Dobre samopoczucie ją opuściło. - Domyślałam się, że z Bobem Newmanem też?

- Jestem jego przełożoną. - Chwila milczenia. - Nie nazwałabym tego przyjaźnią. - Miało to znaczyć, że nie za bardzo za nim przepada. - To bardzo zdolny pracownik, ale mnie musi się pilnować. Bo, rozumie pani, mogę go rozerwać na strzępy... słowami.

- Pracujecie w tej samej firmie ubezpieczeniowej?

- Owszem. - Kolejna przerwa. - Cóż... nie lubię się chwalić, a to zabrzmia raczej egoistycznie, ale jestem wiceprezesem. Słyszałam, jak Pete mówi, że ma zamiar pojechać do Covent Garden, więc pomyślałam, że go poszukam. Chciałam mu powiedzieć, że ma wolny wieczór.

Boże, postępuję strasznie! - myślała Paula, opowiadając tę wymyśloną historyjkę. Ale ta kobieta może przecież okazać się ważna. Coral znów się uśmiechała, choć lekko, niemal niewidocznie.

- A więc widziała pani - powiedziała przyjaźnie, nawet z ożywieniem - że był tu pan Newman, i czekała pani, aż wyjdzie? Jeśli mogę w jakiś sposób się

przyczynić do rozwiązania sprawy tego strasznego morderstwa, zrobię to z przyjemnością. Bo, rozumie pani, znałam Violę, to znaczy pannę Vander-Browne.

- A może przypadkiem wie pani coś o jej przyjaciółkach?

- Nie, nic. Wiem tylko, że Papuga - to znaczy moja szefowa, panna Partridge - jej nienawidziła. Zastanawiałam się nawet, czy nie ma czegoś wspólnego z mordercą.

- Dlaczego nienawidziła panny Vander-Browne?

- Ponieważ Viola była kobietą światową w każdym znaczeniu tego słowa. Nie chcę mówić źle o zmarłych, ale... spędzała noce z bogatymi mężczyznami za bardzo duże pieniądze. Wydawała tyle na wspaniałe stroje, że duży spadek po rodzicach nie wystarczał na jej

potrzeby. Nie miałyby chyba nic przeciwko temu, że to pani mówię, jeśli może to pomóc w wytropieniu tego ohydny mordercy.

- Często przyjmowała mężczyzn?

- Powiedziała mi, że nie więcej niż trzy razy rocznie. Przyjaźniłyśmy się od dawna, chodziłyśmy do tej samej szkoły. Z internatem. Często mi pomagała, można powiedzieć, że nawet mnie chroniła.

- Więc zna pani mieszkanie przy Fox Street?

- Nawet całkiem dobrze. Odwiedzałam ją, rozmawiałyśmy, czasami robiłyśmy sobie coś do jedzenia. Viola doskonale gotowała. Nie pójdę z tym na policję. Gdyby pojawili się u mnie w biurze, Papuga pewnie wykorzystałaby okazję i wywaliła mnie ze służby państwowej. A ja, rozumie pani, bardzo potrzebuję tej pracy.

- Więc niech pani nie idzie na policję. Śledztwo w sprawie zamordowania Violi prowadzi wyjątkowo uzdolniony funkcjonariusz, który był kiedyś wysokim oficerem Scotland Yardu. Czy mogę powiedzieć mu to, czego dowiedziałam się od pani? Dostosuję się do każdej pani decyzji.

- Przydałaby mi się pomoc - powiedziała z namysłem Coral, dopijając kawę. - Ufam pani, więc jeśli tylko pani ufa temu człowiekowi, a przecież widzę, że tak jest, proszę mu wszystko powiedzieć. Wychodzi pani? Doskonale, ja też. Chętnie bym się z panią spotkała. Mam małe mieszkanie niedaleko, przy tej ulicy. Pokażę pani gdzie.

- Miło mi będzie. - Paula uśmiechnęła się serdecznie.

Zgodziła się, by Coral zapłaciła niewielki rachunek. Kiedy wychodziły z kawiarni, która znów zaczęła się zapełniać, Coral zręcznie wsunęła jej w dłoń wizytówkę, którą Paula dyskretnie włożyła do torebki. Skręciły w prawo, w stronę centralnej części Covent Garden.

- Na wizytówce jest mój adres, numer telefonu i numer komórki. Na mieszkanie musiałam zaciągnąć straszną pożyczkę, ale bar dzo mi się podoba. Jest przytulne. No, doszliśmy na miejsce.

Zatrzymały się przed wejściem do wąskiego, trzypiętrowego budynku, nowego, wybudowanego zapewne na miejscu kilku starych, wyburzonych sklepików. Paula podniosła wzrok w kierunku, który wskazywała Coral... i doznała wstrząsu.

- Okno na pierwszym piętrze to okno dużego pokoju. Szyba jest z matowego

szkła, żeby nikt z sąsiadów nie mógł zajrzeć do środka. Zresztą widok nie jest tu rewelacyjny.

Paula zamarła. Wysokie okno z matową szybą było niezmiernie podobne do okna mieszkania Violi Vander-Browne, zaplamionego jej krwią. Coral Flenton mówiła dalej:

- Mieszkanie jest niewielkie, na szczęście ma właśnie ten duży pokój. Teraz pani rozumie, dlaczego znoszę zaczepki Papugi. Dobra praca jest mi w tej chwili bardzo potrzebna.

- Proszę wziąć moją wizytówkę. - Paula dała Coral swą „służbową” wizytówkę, z nazwą i logo firmy General & Cumbrian Assurance, będącej przykrywką dla SIS i mieszczącej się pod tym samym adre-

sem. - Jeśli nie byłoby mnie w biurze, może pani porozmawiać z Monicą, ale proszę jej podać tylko imię. Gdyby potrzebowała pani pomocy, przyjadę tak szybko, jak tylko będę mogła.

- Dobrze się czułam w pani towarzystwie. - Coral wyciągnęła rękę. - Mam nadzieję, że wkrótce się spotkamy.

- Mam zdjęcie mordercy Violi Vander-Browne - mówił do słuchawki Tweed, kiedy Paula wróciła do biura. Newman i Nield siedzieli naprzeciw siebie, jakby lada chwila mieli zacząć się kłócić.

Tweed zakrył słuchawkę dłonią i zwrócił się do Pauli.

- Rozmawiam z nadinspektorem Zakutym Łbem. - Odsłonił słuchawkę. - Tak właśnie powiedziałem, zdjęcie mordercy...

- Co?! - Policjant wykrzyknął to pytanie tak głośno, że usłyszeli wszyscy w pokoju.

- Przecież mówię wyraźnie. - Tweed zachowywał olimpijski spokój. - Wysłałam ci je na adres Yardu, pocztą kurierską. Nie, nie mam zielonego pojęcia, kto wsunął nam kopertę przez szczelinę na listy. Koperta zaadresowana została niezdarnie wypisanymi dużymi literami, tak samo wygląda napis na odwrocie zdjęcia, ale ja uważam, że miało to nas po prostu zmylić. Tak, oczywiście, wszędzie szukaliśmy odcisków palców. Nie znaleźliśmy żadnych, czego należało się spodziewać. Przepraszam, muszę kończyć. Do zobaczenia.

- Chodzi o oryginał? - spytała Paula. - A dlaczego w ogóle mamy mu coś wysyłać?

- Ponieważ nie tylko ja prowadzę to śledztwo. On też. Nie lubię faceta, ale gram fair, jeśli może się to opłacić. Nigdy nic nie wiadomo, może przypadkiem potknie się o jakiś pożyteczny dowód?

- Jedyne rzecz, o którą jest w stanie się potknąć, to jego własne nogi.

- A tobie jak poszło? - Tweed zwrócił się do Newmana.

Bob nie zamierzał niczego ukrywać.

- Nawaliłem na całej linii i pod każdym względem. Pete przedstawił mi informatorowi, ale nie wydobyłem od niego ani słowa. Mam wrażenie, że do tej osoby źle podszedłem. Przepraszam cię, Pete.

Paula patrzyła na niego z podziwem; tylko naprawdę silny mężczyzna potrafi szczerze przyznać się do błędu. Zauważyła także, że nie powiedział nic, co w jakikolwiek sposób mogłoby doprowadzić kogoś do Coral. Tweed chyba czytał w jej myślach, co mu się często zdarzało. Ona też potrafiła czasami odczytać jego

myśli.

- Mężczyzna czy kobieta? - spytał ostro.
- Nie pamiętam. - Newman patrzył wprost w oczy szefa.
- Czyli totalna kłapa? - skapitulował Tweed.
- Totalna. Ale jakąś korzyść chyba z tego odniosłem. Wreszcie stanąłem twardo na ziemi obiema tymi moimi wielkimi, niezdarnymi stopami. Za chwilę biorę Pete'a na drinka.
- Coś mi chodzi po głowie - powiedziała Paula. Wszyscy popatrzyli w jej stronę. Wstała, podeszła do biurka Tweeda, założyła ręce na piersi. - Nie mogę zapomnieć kota, tego z ukręconym łbem, obróconym o sto osiemdziesiąt stopni. Wydaje mi się to aktem sadystycznego wręcz okrucieństwa, dziełem człowieka, który po latach byłby zdolny porąbać Violę Vander-Browne na sztuki.
- Interesujące. - Tweed zmarszczył brwi. - Mam wrażenie, że właśnie nam wskazałaś prostą drogę do mordercy. Problem w tym, że nie wiemy, który z trzech dzieciaków tak strasznie potraktował kotka.

- Możliwe, że sam generał - zauważyła dziewczyna.

- O mój Boże! - Tweed wyprostował się, splótł dłonie na karku.

Rzeczywiście, byłby to bardzo dziwny splot okoliczności.

- Ponadto - mówiła dalej Paula - od Franka dowiedzieliśmy się, że generał regularnie wyjeżdża na trzy dni do Londynu. I podobno jest „prawdziwym mężczyzną”. Po prostu zaczęłam się nad tym zastanawiać.

- Mogę obdzwonić wszystkie przyzwoite hotele w Londynie i przekonać obsługę, by mi powiedziała, czy się u nich zatrzymywał, a jeśli tak, to kiedy - zaproponowała Monica.

- No to bierz się do roboty - polecił jej Tweed.

Tylko że generał jest mądrym człowiekiem, pomyślała Paula, wracając do swego biurka. Pewnie zatrzymuje się w jakimś tanim pensjonacie, podaje fałszywe nazwisko... i nigdy nie pojawia się dwa razy w tym samym miejscu.

Tweed zaczął rozmowę z nadinspektorem Hammerem. W tym momencie w biurze pojawił się Marler. Niewidzialny Człowiek, bo tak go nazywano, pojechał za Paulą, zaparkował - niewidzialny

gdzieś w Covent Garden i oczywiście obserwował wszystkich, kto rzy wchodził i wychodził z Popsies.

- Idę się rozejrzeć - oznajmił. - Nigdy nie wiadomo, co się kiedy zobaczy.

- Przecież właśnie skądś wróciłeś - zdziwiła się Paula.

- I dokądś wychodzę. - Położył jej dłoń na ramieniu, ścisnął je lekko. - Do zobaczenia.

Nie uznał za stosowne powiedzieć nikomu, że wraca tam, skąd przyjechał.

Rozdział 16

Na Tamizie Oprych Morgan właśnie kierował swą barkę w stronę nabrzeża. Był jedynym członkiem załogi na pokładzie tej sporej jednostki, a to ze względu na ładunek, który przewoził w kieszeni: dużą paczkę kokainy, mającą przynieść mu kupę forsy, gdy tylko odda ją czekającemu na brzegu handlarzowi.

Zaklął, słysząc sygnał komórki. W tej chwili nie potrzebował żadnego zlecenia. Jednak wiedział, że jeśli nie przyjmie rozmowy, długo będzie się męczył, próbując odgadnąć, kto dzwonił, więc zdjął rękę z koła sterowego, wyjął

komórkę z kieszeni i wcisnął zielony przycisk.

- Tak? - warknął.

- Tu Fitch. Potrzebuję twojej pomocy. Natychmiast. Albo przechodzę do historii.

- Co za gówno...

- Oprych, wsadzili mnie w zsuwnię. Tę w magazynie. Wiszę z cholerną pętlą zaciśniętą na cholernej szyi! Zapałem się stopami, ale długo tak nie wytrzymam. Na litość boską!

-Ile? -Co?

- Ile mi dasz, jeśli cię z tego wyciągnę? Jestem biznesmenem. Dobrze o tym wiesz. Od dawna.

- Pięćset funciaków. Gotówką. Ty cholerny sukinsynu...!

- Dobra, dobra, jestem w drodze. A ty się trzymaj.

Oprych schował komórkę. Zachichotał. Podobał mu się własny dowcip.

Barka uderzyła w nabrzeże. Wyłączył silnik, zeskoczył na brzeg. Obwiązał cumę na pachołku, rozejrzał się dookoła, szukając wzrokiem handlarza. Nie dostrzegł go. Nic wielkiego, handlarz zawsze się spóźniał, a potem zawsze próbował wymusić obniżkę ceny. Niech się wali. Najpierw załatwimy sprawę tej pięćsetki.

Szybkim krokiem ruszył zatłoczoną ulicą. Jeśli nie dotrze do magazynu na czas, Fitch spłynie zsuwnią do Tamizy. Oprycha by to nie zmartwiło, ale razem z nim do Tamizy spłynęłaby jego pięćsetka, a to już byłaby wielka szkoda.

Oprych był facetem jak góra - metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, dziewięćdziesiąt pięć kilo wagi, twarz brutala. Przekroczył czterdziestkę, a charakterystyczny przydomek nadali mu policjanci, którym nigdy nie udało się postawić go przed obliczem sprawiedliwości. Już jako nastolatek włóczył się po Mayfair i Regent Street, wypatrywał dobrze ubranych kobiet, wrywał im torebki i pryskał w zaulek. Nieźle zarobił na tym procederze, ale zrezygnował, kiedy na jego terenie pojawiły się wzmocnione patrole policyjne.

Kupił sobie wówczas dużą barkę i zajął się przemytem narkotyków. Zabierał paczki kokainy w dole Tamizy, przewoził je na East End i brał od handlarza trzy razy tyle, ile sam zapłacił.

Podszedł do zamkniętego na kłódkę wejścia do magazynu. Wyjął z kieszeni kilkanaście kluczy na kółku, wśród nich także wytrychy. Dostał się do środka w kilka krótkich chwil. Otworzył drzwi do pomieszczenia, w którym znajdowała się zsuwnia, podbiegł do klapy, podniósł ją. I zobaczył Fitcha z pętlą na osłoniętej chustą szyi. Amos Fitch wykorzystywał całą swą siłę i zręczność, by powstrzymać upadek w praktycznie pionowej zsuwni. Zapał się o nią rozstawionymi stopami, obiema dłońmi czepiał się sznura nad głową. Długo by tak nie wytrwał. Spojrzał w górę.

- Podciągnij mnie na tym sznurze - polecił.

- Pięćset funtów płatne z góry. Inaczej paluszkiem nie kiwnę. - Oprych uśmiechnął się oblesnie.

- Sukinsyn! - burknął pod nosem Fitch. Jedną ręką puścił linę. Było to bardzo ryzykowne, ale zdołał sięgnąć do kieszeni po plik dwudziestofuntowych banknotów przewiązanych gumką recepturką. Cisnął je w górę, westchnął z ulgą, kiedy wylądowały na posadzce magazynu.

Oprych podniósł pieniądze i przeliczył je szybko.

- Dwieście czterdzieści! - krzyknął. - Ktoś tu mówił o pięciuset.

- Resztę znajdziesz w mojej kieszeni, kiedy wreszcie mnie stąd wyciągniesz. Jeśli się nie pospieszysz, odpłynę... razem z pieniędzmi.

Oprych zareagował szybko. Przykląkł, chwycił linę. Mimo niewygodnej pozycji i ciężaru Fitcha uniósł go bez trudu. Fitch upadł na posadzkę magazynu, rozmasował sztywne nogi, wstał chwiejnie. Przez chwilę zastanawiał się nawet, czy nie wykorzystać sytuacji i nie zepchnąć Oprycha ze zsuwni. Wycierając pot z twarzy brudną chusteczką, uznał, że Oprych może mu się jeszcze przydać.

- Forsa! Ale już! - Oprych wyciągnął wielkie łapsko, w charakterystyczny sposób pocierając kciuk dwoma palcami. Fitch wyciągnął z kieszeni wygniecioną paczkę papierosów, przypalił jednego drogą zapalniczką. Spojrzał na swego wybawcę.

- Chcesz zarobić o wiele więcej? Powiedzmy: dwa tysiąki?

- O tym możemy pogadać, kiedy dostanę moje dwieście sześćdziesiąt.

Z drugiej kieszeni Fitch wyciągnął kolejny zwitek banknotów. Podczas gdy Oprych powoli liczył forszę, zamknął wlot zsuwni. l'od-

jął ostateczną decyzję. Oprych miał przed sobą przyszłość. Na razie nie pożegna się ze swym nędznym życiem. Na razie.

- Co to za robota? - spytał Oprych gniewnym, agresywnym tonem.

- Załatwienie... ostateczne załatwienie kobiety i mężczyzny. Rób, co ci się podoba, ale oboje mają zniknąć na zawsze.

- Za dwa tysiące? Żarty sobie stroisz? Parszywe skąpiradło. Daj pięć, to zacznę się zastanawiać.

- Cztery i...

- Powiedziałem pięć! - ryknął Oprych.

- W porządku - zgodził się Fitch po długiej chwili namysłu. - Niech ci będzie. Pięć.

- No to kto już jest trupem?

- Mężczyzna i kobieta.

- Zabawię się z babką, nim ją...

- Mowy nie ma! - krzyknął Fitch co sił w płucach.

Przyskoczył do Oprycha, złapał go za szyję silnymi dłońmi, popchnął i przewrócił. Upadł na niego, ale nie przestał go dusić. Całkowicie zaskoczył przeciwnika. Oprych nigdy by nie przypuszczał, że Fitch jest aż tak silny.

- Nie! - powtórzył Fitch. - Robota ma być wykonana szybko i skutecznie. Możesz wstać.

Sam błyskawicznie poderwał się na równe nogi. Oprych wstawał znacznie wolniej. Potarł obolałą szyję. Bał się, bardzo się bał. Fitch doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Pora załagodzić sytuację.

- Dostajesz pięć tysięcy - powtórzył. - Ile czasu zajmie ci sfinalizowanie tej sprawy narkotyków?

- Trochę. Załatwiam to powoli, małymi paczkami. Nawet jeśli zatrzyma mnie policja rzeczna, nie znajdzie niczego, choćby przewróciła barkę do góry nogami.

- Oprych zdołał już odzyskać trochę pewności siebie. - O kogo chodzi?

- O Tweeda i Paulę Grey. Będę przy tobie, kiedy ich dorwiemy. Zabierzemy ich

na tylne siedzenie samochodu... nie, lepiej do bagażnika.

-1 potem wrzucimy do rzeki? Będziemy potrzebowali ciężkich łańcuchów.

- Nie będziemy potrzebowali. - Fitch uśmiechnął się krzywo. - Najpierw użyjemy chloroformu, potem skorzystamy z pieca.

- Pieca?

- Kawalek dalej, na wschód stąd, mam kumpla, właściciela odlewni. Zmyje się na jakiś czas, jeśli uzna, że to się mu opłaci. Pomyśli, że pozbywam się lewej forsy.

- Nie jestem pewien, czy dobrze cię rozumiem...

- Idiota. Spalimy ciała, baranie! Będziesz mógł się przyglądać, jak płoną. To nie trwa długo. Pasuje ci?

- No... chyba tak.

Rozdział 17

Marler, jak zapowiedział, rozglądał się tu i tam. Wrócił do Covent Garden. Stał po przeciwnej stronie ulicy, naprzeciw budynku, do którego weszła dziewczyna, wcześniej pijąca kawę z Paulą.

Na własne oczy widział, że Newman nie zdołał nawiązać kontaktu z Coral i wyszedł z kawiarni, bezradnie rozkładając ręce. Potem do Popsies weszła Paula. Przespacerował się uliczką, przez szybę widział, że dosiadła się do stolika tej dziewczyny i z nią rozmawia.

Marler był cwany facetem. Nie wątpił, że oto zetknął się z tajnym informatorem Pete'a Nielda. Nigdy nie dowierzał informatorom, nie ufał nawet połowie swych źródeł informacji. Stał nieruchomo, przyglądając się wejściu do budynku, ukryty za metalowymi harmonijkowymi drzwiami baru. Popijał kawę ze styropianowego kubka. To tłumaczyło, dlaczego się stąd nie rusza.

Było już ciemno, kiedy przycisk domofonu wcisnęła wysoka, zgrabna kobieta o brązowych, starannie uczesanych włosach, ubrana w elegancką jedwabną sukienkę i niewątpliwie drogie pantofle. Marler odstawił kubek na parapet najbliższego okna, wyjął z kieszeni miniaturowy aparat fotograficzny robiący zdjęcie bez flesza. Wcisnął przycisk programu do fotografii przy złym świetle, bo zrobiło się już ciemno.

Pojawiła się przyjaciółka Pauli z Popsies, uśmiechnęła się, potrząsnęła ręką gościa. Marler zrobił trzy szybkie zdjęcia, uzyskując kolejny portret kobiety, z innego ujęcia. Następnie poszedł za nimi aż do wejścia do dobrej restauracji. Gdy panie weszły do środka, jak najszybciej wrócił pod dom, by sprawdzić, który guzik na domofonie przycisnął gość. Na małym kartoniku zobaczył napis: „C. Flenton”.

Pozostało mu znowu rozglądać się tu i tam. Zatrzymał taksówkę, kazał zawieźć się na East End. Wysiadł koło pubu Pig's Nest, lokalu należącego do nie najbardziej szacownych w Londynie. Zmieszał się z tłumem, ruszył w kierunku wejścia, lecz nagle się zatrzymał. Jego instynkty i trening ocaliły go po raz kolejny. Więc dalej spacerował tu i tam.

Był zdumiony. Nie przywykł reagować pod wpływem chwili... a powód, dla którego zareagował tak nagle i jednoznacznie, zbliżał się do niego szybkim krokiem, po czym skręcił w kierunku Pig's Nest. Marler zdążył zrobić mu dwa zdjęcia. Dwa zdjęcia Amosa Fitcha, człowieka, z którym Newman jakoby się

rozprawił.

Nield i Newman nie wrócili jeszcze na Park Crescent; Monica pomyślała nawet, że musi ich to sporo kosztować. Harry wyszedł, twierdząc, że udaje się do raję.

- Niektórzy nazywają go East Endem - powiedział od drzwi.

Paula podeszła do Tweeda, oparła się o jego biurko i wyszeptęła mu do ucha pewną sugestię.

- Mam ważną informację, ale to musi pozostać między nami. Twój dom byłby najlepszy, nie uważasz?

- Właśnie wychodzę, więc wyjdźmy razem.

Pojechęła za Tweedem, kilkakrotnie zatrzymując się na zakupy. Kiedy dotarła na miejsce, było już ciemno. Od razu zauważyła dwa nowe zamki w drzwiach wejściowych, banhama i chubba. Wcisnęła przycisk dzwonka najpierw trzy razy, potem dwa. Gospodarz pojawił się na progu niemal natychmiast. Odebrał jej dwie z trzech dużych toreb, zaniósł je na górę. Paula poszła za nim; zauważyła, że zamki zaskoczyły automatycznie, gdy tylko zamknęła drzwi. Kiedy weszła do gabinetu, Tweed siedział za biurkiem, przeglądając jakieś papiery. Odebrała mu torby z zakupami.

- Nic dziś nie jadłeś - powiedziała. - Przygotuję coś dla nas obojga. Wątróbka, jajka na boczku, a na deser creme brulee.

- Będę ci bardzo wdzięczny. - Tweed nie podniósł nawet wzroku znad papierów.

Poszła do kuchni. Doskonale wiedziała, gdzie można wszystko znaleźć. Włożyła fartuszek, wzięła się do roboty. Kiedy weszła z gotowym posiłkiem, zastała nakryty stół. Zmarszczyła brwi.

- To moje zadanie - powiedziała. - Jedz, póki gorące. Opowiem ci, jak minęło popołudnie.

Tweed niemal rzucił się na jedzenie. Pogratulował Pauli kolejnego wspaniałego popisu sztuki kulinarnej. Nagle spojrzał jej wprost w oczy.

- Zdobyłaś jakieś informacje? - spytał.

Opowiedziała mu o wszystkim. O tym, jak tropiła Newmana i Nielda. O tym, jak spotkali się w Popsies z Coral Flenton. O tym, że Newmanowi nie udało się nawiązać z nią kontaktu i musiał zrezygnować. I o tym, że ona jednak zdołała porozumieć się z dziewczyną.

- Jak rozumiem - powiedział Tweed, kiedy skończyła relację

- Coral i Viola Vander-Browne były przyjaciółkami. Od dawna, skoro poznały się w szkole. Ciekawe. Dziwny zbieg okoliczności.

- Coral też wydawała się nieco dziwna, chociaż trudno mi powie dzieć dlaczego. Bardzo mocno podkreślała, że ma biurko daleko od gabinetu członków Konspiracji...

Przerwała. Dzwonek do frontowych drzwi odezwał się trzykrotnie, a potem jeszcze dwa razy; był to sygnał używany przez ekipę z Park Crescent. Ale Tweed, ubrany w koszulę z krótkimi rękawami, zawsze zachowywał ostrożność. Wyrwał walthera z kabury i trzymając go w dłoni, zbiegł na dół. Na podłodze holu leżał spory pakiet opakowany w karton. Zaadresowany był schludnym drukowanym pismem do pana Tweeda. Od pana Marlera.

Tweed zaniósł przesyłkę na piętro. Rozsiadł się w swym ulubionym fotelu. Paula

przyglądała się uważnie jego twarzy. Wyjął z paczki kilka kolorowych fotografii tak, by nie mogła ich obejrzeć. Reakcja na pierwszą nic jej nie powiedziała. Obejrzał jeszcze dwie, po czym wszystkie trzy przekazał Pauli.

- Co to za kobiety? - spytał. - Masz jakiś pomysł? Ta drobniejsza to Coral Flenton. Marler zapisał jej nazwisko na odwrocie.

- O Jezu! To przecież jakieś szaleństwo! - zdumiała się Paula. - Ta druga... ta, która ją odwiedziła, to przecież Papuga. Nie mogę się mylić. Przyszła do ciebie w przebraniu, ale nie mam żadnych wątpliwości. To ona, nikt inny!

- A Coral powiedziała ci w rozmowie w cztery oczy, że nie cierpi Papugi. Ja tu nie widzę wrogości. Ot, spotkanie najlepszych przyjaciółek na świecie.

- Co tu się dzieje, do diabła?

- Zaczynają się nam wiązać luźne końce. Po pierwsze, Coral знаła biedną Violę. A teraz okazała się jeszcze przyjaciółką Papugi.

- Dla mnie to ciągle jakieś takie dziwne - przyznała Paula.

- No... przecież wiesz, że nigdy nikomu nie ufam. Nasz słynny informator Nielda prowadzi podwójną grę. Co to za gra?

- Już nic z tego nie rozumiem, zwłaszcza po tym, co powiedziała mi Coral. Ale przynajmniej uświadomiłam sobie, co w niej wydawało mi się takie dziwne. Rozmawiając ze mną, cały czas wpatrywała się w filiżankę kawy, jakby nie chciała spojrzeć mi w oczy.

- Marler zrobił jeszcze cztery zdjęcia. Na odmianę na East En-dzie. Jakimś cudem Fitch wy dostał się na wolność.

Pokazał jej zdjęcie Fitcha idącego w kierunku Newmana i jeszcze trzy inne. Na jednym z nich widać było sztyl Pig's Nest, na kolejnym Fitcha rozmawiającego z jakimś mężczyzną. Dwa zrobione były z tego samego miejsca, Marler musiał stać w otwartych drzwiach. Facet jest twardy, pomyślał Tweed, pokazując partnerce ostatnie zdjęcie.

- Ten przy barze to Fitch - powiedziała. - Ale z kim pije?

- Zrobiłabyś mu uprzejmość, nazywając go bandziorem. To Oprych Morgan, facet pod każdym względem bardzo nieprzyjemny. Buchanan pokazał mi kiedyś jego zdjęcie, jak wychodził z sądu. Morgan nie został skazany ze względów proceduralnych. Sprytny

prawnik wyciągnął go po raz kolejny, choć facet był oskarżony o doprowadzenie do śmierci ze szczególnym okrucieństwem. Tu pije z Fitchem, którego Newman złapał przy próbie włamania się do twojego mieszkania. Fitch może znowu spróbować tej sztuczki. Potrzebujesz ochrony. Od tej chwili przez cały czas powinien opiekować się tobą ktoś z zespołu.

- Zgadzam się z tobą na sto procent.

- I lepiej pojedę za tobą, kiedy będziesz wracała do domu.

- A nie mogłabym zostać na noc? Przecież masz pokój gościnny.

- Świetny pomysł. Życzę ci dobrej nocy.

Paula pocałowała szefa w policzek i poszła do gościnnej sypialni. Tweed pozostał za biurkiem, zapoznając się z najnowszymi raportami dotyczącymi agentów działających za granicą. Ani słowa o Cor-donie. Nikt nie wiedział, gdzie Philip Cordon jest teraz.

Pojawiła się Paula w szlafroku.

- Masz pojęcie, która jest godzina?
- Myślałem, że śpisz.
- Nie mogę przestać myśleć o zdjęciach i tym wszystkim, co się ostatnio zdarzyło. A ty powinieneś wiedzieć, że jest druga nad ranem. - Obeszła biurko, podeszła do Tweeda od tyłu, położyła mu dłonie na ramionach. - W tej chwili wstawaj i idź do łóżka.
- Chyba masz rację. - Tweed stłumił ziewnięcie. - Jutro rano muszę być świeżutki i wypoczęty. To znaczy dziś rano.

- Dlaczego?

- Spotykamy się z Konspiracją, w jej biurach w Whitehall. Jedziemy oboje. Chcę dokładnie przyjrzeć się trzem braciom.

- Dwóm rodzonym, jednemu przyrodniemu. A teraz chcę na własne oczy zobaczyć, jak kładziesz się spać.

Ze względu na wymagania dyskrecji Paula wyszła z mieszkania Tweeda wcześniej. Odebrała samochód z przerobionego ze stajni parkingu, na którym jej szef wynajmował miejsce. Tweed przyjechał do biura trzy kwadranse później, kiedy jego zespół w całości znajdował się na miejscu. Natychmiast odezwała się Monica:

- Mam na linii kogoś, z kim na pewno chciałbyś porozmawiać. Tweed podniósł słuchawkę.

- Halo?

- Ciekawe, czy nadal potrafisz rozpoznać mój głos - usłyszał.

- Philip! Do diabła, gdzie się podziewasz?! A może lepiej będzie, jeśli...

- Posłuchaj mnie uważnie. Powinieneś jeszcze dziś polecieć do Aix-en-Provence. Lotem... czekaj, przekazuję informacje... lądujesz na lotnisku Marignane, gdzieś w środku niczego. Podesłę samochód, żeby zawiózł cię do hotelu w Aix. Byłoby bezpieczniej, gdybyś zabrał ze sobą dwóch członków zespołu.

- Paulę i Newmana?

- Doskonale! Dzieje się coś dziwnego. Dziś wieczorem przylatuje tu Noel Macomber, jutro po południu ma się spotkać z kilkoma bardzo wątpliwymi osobami. Dwadzieścia cztery godziny powinny wystarczyć. W porządku?

- Oczywiście.

Połączenie zostało przerwane. Tweed rozejrzał się po pokoju. Paula nie miała wątpliwości, że jest zachwycony. Przekazał wiadomość współpracownikom.

Pierwszy odezwał się Newman.

- No proszę, nasz włóczęga znowu się pojawił. Założę się, że doskonale wie, co tu się dzieje. Trochę to dziwne, że Noel Macomber akurat teraz wybiera się do Aix. Z kim ma się spotkać?

- Wkrótce się tego dowiemy - rzekł spokojnie Tweed. - Najgorsze jest Heathrow. Te kolejki przed bramkami wykrywaczy metalu... Nienawidzę biurokratycznych barier!

- Wszystko będzie dobrze - powiedziała Monica. - Zadzwońię do twojego starego przyjaciela, Jima Corcorana, szefa bezpieczeństwa lotniska. Przejdziecie prosto do samolotu, bez żadnych przeszkód.

- Świetny pomysł! - ucieszył się Tweed. - A na razie... Paula i ja mamy

umówione spotkanie z magicznym kręgiem. Macomberowie w komplecie. Bardzo chętnie bym się dowiedział, który z nich jest szefem.

Miejsce na parkingu znaleźli bez większych problemów. Niewielki dzielący ich od Whitehall dystans przeszli szybko. Skręcili w boczną uliczkę. Nazywali ją Jaskinią Smoka.

- Założę się, że rozpoznam głównego smoka - powiedziała Paula.

Uliczka była wąska i pusta. Tweed zatrzymał się przed drzwiami gmachu, na których widniała tabliczka: „Służby Specjalne”. Wskazał ją palcem.

- Miejmy nadzieję, że nigdy nie wymienią jej na nową: „Służba Bezpieczeństwa Państwowego”. Na razie zmienili ten budynek w fortecę.

Okna na parterze zabezpieczono stalowymi płytami. Na pierwszym piętrze założono pręty, między którymi rozpięto siatkę. By sięgnąć do przycisku domofonu, Tweed musiał stanąć na wysokim kamiennym stopniu przykrytym grubą gumową wykładziną.

- Jak dostać się do Fort Knox? - powiedział do mikrofonu.

- Proszę o identyfikację.

Tweed miał zamiar dosolić żart kolejnym ironicznym komentarzem, ale Paula pociągnęła go za rękaw. Przyłożyła palec do ust. Ściągnęła go z kamiennego stopnia.

- Pewnie ci nie otworzą, póki stoisz na czujniku ukrytym pod tą wykładziną - szepnęła z uśmiechem.

Czekali. Tweed zasłonił wbudowany w masywne stalowe drzwi obiektyw kamery elegancką teczką, w której miał wyłącznie niezapisane kartki papieru. Paula skrzywiła się, odciągnęła jego ramię.

Rozległ się elektroniczny brzęk i trzask. Drzwi odsunęły się gładko i znikły. Na progu stał Noel Macomber. Uśmiechnął się do Pauli serdecznie. Spojrzała mu w oczy, czekała, aż spuści wzrok.

- Witam państwa - powiedział spokojnie i bardzo elegancko. - Wejdźcie do środka. Szybko.

Szybko? - zdziwił się Tweed.

- Elektronika? - powiedział. - Czy wyjście przeciwpożarowe też otwiera jakiś cholerny gadżet? Bo jeśli tak, a zdarzy się pożar, przy pieczeniu się na grzanki.

Jeśli nadal będzie się tak zachowywał, nie dojdziemy do niczego, pomyślała Paula.

Ruchomymi schodami dotarli na pierwsze piętro. Noel wcisnął ukryty przycisk, znów rozległ się elektroniczny brzęk, drzwi się przesunęły, zamykając wejście.

- Musimy być bardzo ostrożni - wyjaśnił. Wjechali na następne piętro.

- Gdyby ktoś zechciał was załatwić, ciężarówka z ładunkiem wybuchowym przejechałaby tą uliczką, choć musiałaby jechać po chodniku - zauważył Tweed. Paula miała ochotę szturchnąć go w bok, ale zrezygnowała.

Noel otworzył mahoniowe drzwi prowadzące do wielkiej sali o kremowych ścianach. Najważniejszym meblem był tu trójkątny stół z palisandru, przy którym stały trzy krzesła. Nieco dalej stał stół prostokątny, przy którym siedziało dwóch mężczyzn. Na widok gości wstali i pospieszyli ku nim z wyciągniętymi rękami.

- Jestem Nelson - przedstawił się najpotężniej zbudowany. - Mój ojciec był

wielbicielem wielkiego admirała. - Ucisnął dłoń Tweedowi, zwrócił się do Pauli, przywitał ją z uprzejmym uśmiechem. - Prawdę mówiąc, własne imię wydaje mi się żartem; choroby morskiej dostają nawet na promie na jeziorze.

- Ojciec chyba w końcu się zorientował, że popełnił błąd? - Paula uśmiechnęła się promiennie.

- Cha, cha, cha! Oczywiście. Ale było już za późno na naprawienie tej pomyłki. Na szczęście ja się tym nie przejmuję. Poznajcie Bentona.

Benton był nieco niższy od Nelsona, lecz także bardzo mocno zbudowany. I także ciepło się uśmiechał.

- Miło mi państwa poznać. - Głos miał łagodny, bardzo miły, w odróżnieniu od brata przemawiającego szorstko, donośnie.

- A oto trzeci, równie ważny jak my, a może nawet najważniejszy członek naszej grupy. - Nelson wykonał szeroki gest ręką. - Noel, nasz strateg. Ma głowę do szczegółów, a mnie, obawiam się, tego właśnie brakuje.

Podeszli do dużego, prostokątnego stołu. Noel przyglądał się Pauli, serdecznie uśmiechnięty. Miał bardzo miły uśmiech.

- Bardzo się cieszę, że Tweed przyprowadził panią do nas. Prze widzimy dla pani ważną rolę w nowej organizacji, odpowiednią do zdolności, które znamy i podziwiamy. - Bardzo uprzejmie odsunął dla niej krzesło.

Tweed, o którym najwyraźniej zapomniano, przyglądał się temu z uśmiechem. Gospodarze wyraźnie skoncentrowali się na Pauli. Był prawie pewien, że wie dlaczego.

Kiedy wszyscy zajęli miejsca, zaproponowano im kawę lub herbatę. Tweed i Paula wybrali kawę. Czarną.

Nelson wcisnął znajdujący się pod stołem przycisk dzwonka. Otworzyły się boczne drzwi, pojawiła się w nich Papuga. Tweed spojrzał na nią obojętnie, niczym nie zdradzając, że ją rozpoznaje. Zamówioną kawę dostali niemal natychmiast. Podała ją rudowłosa dziewczyna, która nawet nie spojrzała na Paulę. Coral Flenton.

Benton zabrał głos:

- Mam wrażenie, że pan Tweed wie to i owo o propozycji, którą zamierzamy mu złożyć. Czy mogę spytać, co pan o tym sądzi? Ma pan prawo weta.

- Prawo weta? - zdziwił się Tweed.

- Tak - przytaknął Nelson swym donośnym, szorstkim głosem. - To znaczy, że jeśli nie spodoba się panu jakiś aspekt nowego systemu, zrezygnujemy z niego i...

- Jeszcze nie skończyłem. - Benton uśmiechnął się do Pauli. - Tak jak powiedział Noel, i pani będzie miała ważną rolę do odegrania. Wszyscy podziwiamy pani zdolność do podejmowania trudnych decyzji oraz odwagę. Nie widzę przeszkód, by zachowała pani stanowisko zastępcy pana Tweeda, które piastuje pani w tej chwili.

Paula nie zareagowała na komplement. Spokojnie patrzyła w zielone oczy Bentona. Facet był doprawdy wyjątkowo przekonujący. Spojrzała na Tweeda, teraz przysła jego kolej.

- Szczegóły. Jak ma działać Służba Bezpieczeństwa Państwowego?

Ktoś zapukał do drzwi prowadzących do sąsiedniego pomieszczenia. Nelson

zawołał: „FYoszę wejść!”. W progu stanęła Papuga. Spojrzała na Bentona.

- Telefon do pana, panie Macomber.
- Proszę o wybaczenie, ale chyba muszę go odebrać. Dopilnuję, by nie trwało to zbyt długo.
- Szczegóły - powtórzył Tweed. Goście mają przecież swoje prawa. Wyjaśnienia dotyczące zasad połączenia sił bezpieczeństwa i polacji wziął na siebie Nelson.

Rozdział 18

Po pierwsze - rozpoczął - jestem pewien, iż zgodzicie się, że obywatele Wielkiej Brytanii są przestraszeni. Przed domami na przedmieściach instalują włączające się automatycznie silne lampy oświetlające każdego przechodnia. Nie zasną, jeśli nie zabezpieczą drzwi i okien możliwie jak najbardziej skomplikowanymi zamkami. Kobiety boją się wyjść na ulicę po zmroku. Wszyscy żyjemy w atmosferze zastraszenia. Czy państwo się ze mną zgadzacie?

- Proszę mówić dalej.
- A więc zgadza się pan z tym, co powiedziałem? -Tak.
- Dlaczego tak się dzieje? - Nelson szeroko rozłożył ramiona. - Otóż dlatego że przepuściliśmy przez Dover obcą armię z kontynentu, z Afryki, ze Wschodu. Rząd żongluje liczbami, by ukryć prawdę. Zalewa nas fala kryminalistów z całego świata. Boimy się i jak wi dać, mamy się czego bać. - Nelson podniósł głos. - Proponujemy de portację śmieci, niebezpiecznych śmieci, tam skąd przybyły. Bez dyskusji i bez trybunałów, przed którymi mogliby się wypłakiwać, tłumacząc, jak bardzo chcieliby zostać. Weźmiemy się za tych ludzi głęboką nocą, wybijemy drzwi, zabierzemy ich do najbliższego celu deportacji...

Benton powrócił do sali w sam czas, by usłyszeć końcówkę tej przemowy. Zajął swoje miejsce przy stole.

- Weto! - warknął Tweed.
- Ależ dlaczego, na miłość boską! - krzyknął Nelson.
- Ponieważ takie metody należą raczej do arsenału KGB. Wyważanie drzwi nocą, aresztowanie i wywożenie ludzi... Rosyjski prezydent Putin, były funkcjonariusz KGB, zmierza w tym właśnie kierunku. Weto.

Benton uznał za stosowne włączyć się do rozmowy.

- Spokojnie, Nelsonie. Podejrzewam, że dramatyzujesz, co prze cież często ci się zdarza - powiedział jakże dla niego charakterystycznym, spokojnym tonem.
- Przekształcimy Wielką Brytanię w kraj dla wielkich Brytyjczyków. -Nelson dopiero się rozgrzewał. - Społecznych sabotażystów spędzimy...
- Kto to taki ten „społeczny sabotażysta”? - przerwał mu Tweed.
- Każdy, kto nie zgadza się z decyzją rządu - odpowiedział bez wahania Nelson.
- Czyżby nie podzielał pan przekonania, że morale naszego społeczeństwa legło w gruzach? Że młodzi Brytyjczycy nie wiedzą, co robić? Nie znają rządzących społeczeństwem zasad?
- W tym coś jest, owszem - przytaknął Tweed.
- Widzisz? - wtrącił się do rozmowy Benton. - Pan Tweed jest realistą. Jeśli go dobrze rozumiem, bardzo zaniepokojonym realistą. Przesadziłeś w opisie naszych zadań aż tak, że porównał nas do KGB. A tymczasem, panie Tweed, my nie jesteśmy potworami. Niestety, Nelsona ponoszą czasem nerwy. A przecież

każdy z nas to demokrata. Proponuję, by przyjrzał się pan temu niezwykle trójkątnemu stołowi, przy którym odbywają się nasze spotkania.

- A kto jest szefem? Kto tu rządzi?

Zadając to pytanie, Tweed patrzył wprost w małe, zielone oczy Bentona i jego twarz, czerwoną, jakby cierpiał na nadciśnienie. Czyżby była to oznaka napięcia wywołanego koniecznością stawiania czoła Nelsonowi? - zapytał sam siebie.

- Nie ma szefa. Nikt nie rządzi. - Benton nadal mówił bardzo spokojnie. - Przy tym stole wszyscy jesteśmy sobie równi. To symbol naszych wzajemnych związków.

- Powinno to pana przekonać. - Noel po raz pierwszy włączył się do rozmowy. Mówił swobodnie, z lekkim uśmiechem. Paula pomyślała nawet, że go lubi. Był opanowany, pełen wdzięku, a ostre rysy jego twarzy wiele mówiły o sile charakteru.

- Co z mundurami tej Służby Bezpieczeństwa Państwowego? spytał nagle Tweed.

Zapadła cisza... i trwała bardzo długo. Nelson spojrzał na Bentona, jakby chciał, by on odpowiedział na pytanie. Benton podniósł rękawicę.

- Noel zaprojektował charakterystyczny uniform - wyjaśnił.

Naszym zdaniem mundur wzmocni w ludziach poczucie bezpieczeństwa. Łatwo będzie rozpoznać funkcjonariuszy patrolujących dniem i nocą ulice miasta. Staną się symbolem opieki... i kary, którą tak nam dziś brakuje.

- Widziałem już waszych funkcjonariuszy. Pojawili się przed przegłosowaniem ustawy, nawet przed jej wniesieniem pod obrady parlamentu. To nielegalne.

- Ma pan całkowitą rację - przytaknął Benton. - Dowódca zdecydowanie się pospieszył. Gdzie pan ich widział?

- Przed moim domem. Tu, w Londynie. W środku nocy.

- A więc ktoś zdecydowanie przesadził - powiedział Noel. - Przeprowadzimy śledztwo i dopilnujemy, by coś takiego nigdy się już nie zdarzyło. Muszę przyznać, że jestem zaskoczony.

- Przy tworzeniu całkowicie nowej organizacji nie da się uniknąć takich nieporozumień - zauważył Nelson, jak na niego wyjątkowo cicho i spokojnie.

- Poważnych nieporozumień - rzekł Tweed. - Weto.

Benton dopił kawę. Paula i Tweed nie dotknęli nawet swych filiżanek. Tweed wstał, Paula również, nie próbując nawet ukryć ulgi. Przyjaźnie i spokojnie Tweed wyjaśnił, że muszą już iść, podziękował za gościnność, oznajmił, że musi bardzo wiele przemyśleć, nim przygotuje raport dla premiera.

- Premiera?! - Nelson zerwał się na równe nogi zmieszany i wściekły. Podszedł do Tweeda, chwycił go za ramię. - Nie widzę po wodę, by pisać raport na Downing Street - zaprotestował gorąco.

To było poufne spotkanie, nikt oprócz nas nie musi nic o nim wiedzieć!

- Dlaczego wcześniej pan tego nie zastrzegł? - Tweed uśmiechnął się złośliwie.

- Ależ oczywiście. - Benton jak zwykle zachowywał olimpijski spokój. - Nasz gość może zareagować, jak mu się podoba.

- Proszę przedstawić nam ten raport, nim wyśle go pan do premiera - zażądał Nelson.

- Dostanie pan jego kopię we właściwym czasie.
- Zapominamy o dobrych manierach - powiedział Noel i zwrócił się do Pauli. - Pani odczucia są równie ważne jak nasze. Chciałbym wiedzieć, co pani o tym myśli.

- Ja również potrzebuję czasu do namysłu. Musi pan przyznać, że jest o czym myśleć.

- Ależ oczywiście. - Nelson uprzejmie odprowadził ich do drzwi.

Nelson jest najstarszy z nas. Czasami traci panowanie nad sobą. Pozwólcie państwu, że będę wam towarzyszył do wyjścia. Trzeba uruchomić schody, no i drzwi kontrolowane są elektronicznie. Ci, którzy zaprojektowali zabezpieczenia, chyba cierpieli na paranoję. W imieniu swoim i braci chcę wam podziękować za to, że poświęci liście nam swój cenny czas. Pozostaniemy w kontakcie, jeśli pani pozwoli.

- Ależ oczywiście - powiedziała Paula.

- Miałam dziwne wrażenie, że przed chwilą widziałam Marlera -oznajmiła Paula. Szli wąską uliczką. - Tam, po przeciwnej stronie Whitehall.

- Musiałaś się pomylić. On nie ma tu nic do roboty.

W milczeniu doszli do samochodu. Tweed usiadł za kierownicą, włączył silnik. Wyjechał ostrożnie, tyłem, włączył się w gęsty ruch uliczny; w tym rejonie korki były .chyba zawsze. Milczeli, dopiero przed samym Park Crescent Tweed zadał pierwsze pytanie:

- Jak ci się spodobało przedstawienie, które dla nas wyreżyserowali?

- Przedstawienie?

- Chyba nie przypuszczasz, że widzieliśmy prawdziwą Konspirację. FTzed naszym przyjazdem panie i panowie rozdzielili między siebie role. A teraz powiedz mi, co sądzisz o trzech braciach.

- No cóż, najgrzeczniejszy jest niewątpliwie Noel.

- Spodobał ci się, co? - Tweed uśmiechnął się złośliwie.

- Oczywiście, że nie! - zaprotestowała Paula.

- A inni? Który z nich jest szefem? Bo któryś przecież musi być.

- Nie mam pojęcia. Najpierw pomyślałam, że Nelson, bo zachowywał się tak... dominujące Potem zaczęłam się zastanawiać nad Bentonem. Jest bardzo tajemniczy, ale potrafi być rozjemcą. Zauważ, jak doskonale spacyfikował Nelsona, który w pewnym momencie stracił panowanie nad sobą. To było po prostu rewelacyjne.

- A Noel? Wprawdzie jest najmłodszy, ale mnie wydał się bardzo sprytny.

I to on wspomniał, że należałoby jakoś opanować mundurowych funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa Państwowego. Właściwie każdy z nich może rządzić.

Jechali w korku, bardzo powoli, z długimi, irytującymi przerwami. Napotkawszy problem, którego rozwiązanie nie leżało w jego. możliwościach, Tweed potrafił być wręcz nieludzko cierpliwy.

- Miałas okazję dokładnie się im przyjrzeć - powiedział. - Może przyszło ci do głowy coś interesującego?

- Zastanawiałam się, który z nich mógł przed laty tak strasznie potraktować tego kota. I niczego nie wymyśliłam. Ale ten ktoś był wówczas dzieckiem

wyjątkowo okrutnym.

- I pewnie jest okrutny nadal. Co może łączyć go z morderstwem Violi. Ale to tylko teoria.

Dojechali wreszcie do biura, gdzie już czekał na nich Marler. Wręczył Tweedowi kopertę.

- Oto kolejne zdjęcia do twojego albumu. Czekałem przy wejściu do budynku Służb Specjalnych. Widziałem, jak wychodziliście. Potem wyszło jeszcze trzech mężczyzn, nie razem, tylko jeden po drugim. Sfotografowałem ich.

- To Nelson. - Tweed przekazał zdjęcie Pauli. - A to Benton. I Noel do kompletu. Poszedłeś za nimi, oczywiście? - zwrócił się do Marlera.

- Oczywiście. Jak mówiłem, wyszli osobno, ale spotkali się w restauracji przy bocznej uliczce odchodzącej od Trafalgar Square. Najwyraźniej nie chcieli, by ktoś się dowiedział, że razem jedzą lunch.

- To jakim cudem dotarłeś tu przed nami i w dodatku zdążyłeś jeszcze wywołać zdjęcia? - zdziwiła się Paula.

- Motocykłem łatwo się przebić przez korki. Nawet was minąłem, wiedziałem, że mnie nie rozpoznacie, no wiecie, kask, osłona na oczy. Zdjęcia się wam przydadzą?

- Bardzo. Są pierwsza klasa. Wyraźnie widać rysy twarzy. - Podała zdjęcia Pete'owi i Harry'emu, wyjaśniła, który brat jest który.

To na wszelki wypadek. Gdyby jeden z nich wpadł wam w oko.

- Jeśli pozwolicie mi coś wtrącić... - powiedziała nieśmiało Monica. Podeszła, położyła wypchaną kopertę na biurku Tweeda.

Bilety powrotne dla ciebie, Newmana i Pauli. Lot do Marignane, przesiadka w podróży do Aix. Rozmawiałam z Jimem Corcoranem. Będzie czekał przy bramkach, przeprowadzi was bez kontroli do sa molotu.

- Klasa ekonomiczna, co? - skrzywił się Tweed. - Serdeczne dzięki.

- Nooo... wiem od Newmana, że Philip nas ostrzegł, że Noel wyjeżdża do Aix. Jeśli zdarzy się jakieś opóźnienie, może znaleźć się w tym samym samolocie co wy. Założyłam, że spróbuje ukryć się właśnie w klasie ekonomicznej.

- Dobrze to wymyśliłaś. Co ja bym bez ciebie zrobił?

- Bałagan w papierach - zażartowała Monica.

- Gdzie jest Newman?

- Podejrzewam, że w domu. W łóżku. Z Romą. Ta dziewczyna wytrzymała z nim dłużej niż którakolwiek z jej poprzedniczek.

Członkowie Konspiracji omawiali wizytę gości dopiero po lunchu, w swym sanktuarium. Siedzieli przy trójkątnym stole. Rozmowę rozpoczął Nelson.

- Nie sądzę, by Tweed do nas dołączył...

- Nie ludźmy się, nie ma na to szans - przytaknął Benton. - Mamy więc do rozwiązania problem: jak na zawsze wyłączyć go z gry?

- Musimy go wyeliminować - powiedział stanowczo Noel. - Znajdę jakiś sposób, by pozbyć się obojga, bo Pauli nie możemy przecież pozostawić przy życiu. Przemyszę to sobie podczas lotu do Aix. Byłoby najlepiej, gdyby znikli na zawsze i nigdy by nie odnaleziono ciała. Przewidziałem tę sytuację, kółka maszynierii już zaczęły się kręcić.

- Mam tylko nadzieję, że Fitch nie jest jednym z tych kółek - mruknął Benton.

Noel obrzucił go gniewnym spojrzeniem.

- Ja tu jestem od planowania. Zostaw tę sprawę mnie. Z pewno ścią nie chciałbyś nic o tym wiedzieć.

Rozdział 19

Tweed się spieszył. Monica go ostrzegła, że musi już jechać albo spóźni się na lot do Francji. Pete'owi Nieldowi polecił spotkać się z Coral Flenton i wydobyć z niej dodatkowe informacje o Papudze i o młodzieńczej przyjaźni zVioląVander-Browne.

- Harry! - zawołał. - Lecisz z nami do Aix. Jeszcze dziś wieczorem. Philip specjalnie o ciebie prosił.

- Jest kwiecień - zauważyła Paula. - Sprawdziłam, w Prowansji jest jeszcze cieplej niż u nas. Spakowałam ci lepsze ubrania.

Monica podeszła do Butlera. Wręczyła mu kopertę.

- Bilet dla ciebie. Powrotny. Więc nie próbuj zostać za granicą.

- Dziękuję za zaufanie.

Kilka minut później siedzieli już w rangę roverze Newmana, jadąc na Heathrow. Tweed kazał Bobowi zaparkować na parkingu krótkoterminowym. W przejściu do terminalu spotkali Jima Corcorana.

- Wsiadacie pierwsi - powiedział. - Nikt wam nie będzie prze szkadzał. Osobiście odprowadzę was na miejsce.

Przy stanowisku odprawy Paula zwróciła uwagę na stojącego za nią pasażera. Wyglądał tak, jakby cudem ocalał z katastrofy samochodowej. Był wysoki, elegancko ubrany, ale całą głowę miał obandażowaną, a oczy zasłonięte ciemnymi okularami. Kiedy podawała bilet, mruknął cicho coś, co brzmiało jak „złe stanowisko”.

Newman i Paula obserwowali go, kiedy odchodził. Widzieli, że przystanął przy wejściu do terminalu. Rozmawiał z kimś przez nowoczesny telefon komórkowy. Newman chrząknął, uśmiechnął się.

- Przysłali szpiega i teraz wiedzą, kiedy i gdzie przylecimy. Pewnie przyślą na lotnisko komitet powitalny.

- To był Oprych Morgan - powiedział Harry. - Powinien zabandażować sobie szczękę. Raz ją złamałem.

Zajęli miejsca. Wkrótce potem ryknęły silniki, samolot potoczył się drogą dojazdową na pas, nabrał prędkości i wystartował.

Bob Newman znalazł dwie poduszki. Jedną wsunął za plecy siedzącej przed nim Pauli, drugą podłożył jej pod głowę. Dziewczyna zasnęła niemal natychmiast. Mimo iż zrobiło się niemal ciemno, Tweed pozostał czujny i skupiony. Nie lubił spać w samolocie.

Paula przebudziła się nagle. Jasny księżyc oświetlał zbocza wzgórz porośnięte po południowej stronie budzącymi się powoli do życia winoroślami. Samolot gwałtownie zniżał lot. Udało się jej przespać całą podróż.

- Ten facet na Heathrow... - szepnęła do Tweeda. - Ciekawe, co czeka nas w Aix.

- Philip z pewnością przewidział taki rozwój sytuacji. Nieczęsto mu coś umyka. Tylko nie rozumiem, dlaczego tak nagle zapragnął zobaczyć się z Harrym.

Mówił cicho, bo Butler siedział obok. Ich fotele dzieliło tylko wąskie przejście.

- Musiał mieć ważny powód. - Paula znów wyjrzała przez okno. W oddali pojawiło się kilka nowych budynków, a za nimi aż po horyzont rozciągała się równina. Marignane leżało dosłownie pośrodku niczego.

Coś się może zdarzyć, a my nawet nie mamy broni, pomyślała dziewczyna. Wszystko w rękach Philipa.

Podjechały schodki. Poszli w kierunku pobliskiego terminalu; Paula od razu poczuła, że jest tu o wiele cieplej niż w Londynie. Philip czekał na nich przy wejściu do budynku. Towarzyszył mu niski Francuz w nader ozdobnym uniformie.

- Poznajcie Armanda, szefa Securité. Chodźmy, nie mamy wiele czasu. Podróż była spokojna?

- Chyba tak - odparła Paula. Szła pomiędzy Francuzem a Twee-dem, przed Harrym i Newmanem.

Armand otworzył boczne drzwi. Poprowadził ich długim, pustym korytarzem, omijając salę przylotów i wszelkie kontrole. Kiedy wyszli, Newman potrząsnął dłonią Armanda na pożegnanie. Wsiedli szybko do szarego mikrobusu o małych oknach. Nikt nie sprawdził ani ich biletów, ani zawartości niewielkich toreb, które przewieźli jako bagaż ręczny.

Philip Cardon siedział za kierownicą. Ruszyli szybko wąską szosą, a kiedy wyjechali na autostradę, Philip wcisnął gaz do deski. Silnik wył na wysokich obrotach. Tweed, który oddał Pauli miejsce przy oknie, chrząknął cicho.

- Kiedy się gdzieś zatrzymamy, będę miał szansę złapać oddech.

- Już niedługo - rzekł Cardon. - Zrobimy krótki postój. Rozdam wam żelastwo... broń, do której jesteście przyzwyczajeni.

- A więc to tego rodzaju wycieczka. - Harry skinął głową. - Tak sobie właśnie pomyślałem, kiedy dostałem bilet. No i fajnie.

Paula wyjrzała przez okno. Winnice znikły, zastąpił je gęsty las iglasty. W przerwach między drzewami widziała wysokie wzgórza o łagodnych zboczach i zaokrąglonych wierzchołkach oświetlone srebrzystym blaskiem księżyca. Mikrobus zwolnił, Philip spojrział

we wsteczne lusterka i nagle zjechał z drogi w leśną przecinkę prowadzącą na wybetonowany okrągły parking. Wyłączył światła i silnik. Poleciał pasażerom pozostać na miejscach, wcisnął przycisk. Otworzyły się boczne drzwi, pojawił się w nich niski, szczupły człowiek uzbrojony w wiszący na ramieniu pistolet maszynowy.

- Pierre, wszystko w porządku? - zawołał do niego Philip po francusku. - Działo się coś podejrzanego?

- A widzisz ciała? Dziś jeszcze nikogo nie zastrzeliłem.

- Wsiadamy! - poleciał Philip po angielsku.

Kiedy go otoczyli, grzebał w wielkiej torbie. Wyjął coś, co Pauli wydało się metalowym naleśnikiem.

- Mina przeciwpiechotna - wyjaśnił. - Przydadzą się nam póź niej, w Paryżu.

W Paryżu? - zdziwiła się Paula, ale nic nie powiedziała.

- Zabezpieczona? - spytał Harry, biorąc od niego minę i przyglądając się jej uważnie.

- Oczywiście - warknął Cardon. - Aktywuje ją ta dźwigienka po prawej.
- Pokazał Butlerowi jeszcze trzy miny, po czym wszystkie wsunął do skórzanej torby, każdą troskliwie owijając szmatką. Z kolejnej kieszonki wyjął browninga z kaburą podramienną, beretę w kaburze zakładanej na nogę oraz magazynki. Z uśmiechem przekazał broń Pauli.

- I co? - spytał. - Czujesz się wreszcie ubrana?

- Tak. Co z pozwoleniami?

- O to się nie martw. Dolary to najlepszy argument w rozmowie z urzędnikami. A teraz ty, Tweed...

„Żelastwa" nie zabrakło także dla Harry'ego, który dostał pistolet maszynowy z magazynkami, w sam raz do ukrycia w torbie golfowej. Newman miał swego ukochanego smith & wessona wraz z kaburą. I wreszcie Philip wręczył Pierre'owi dwie grube koperty, zdaniem Pauli wypchane pieniędzmi, i klasnął w dłonie.

- Wsiadamy! Czas ucieka!

Nie zdążyli jeszcze na dobre zająć miejsc, a ich samochód już pędził boczną dróżką z powrotem na autostradę. Paula z rozkoszą wdychała oszałamiający zapach jakichś rosnących przy drodze drzew. Czuła, że ta woń wnika nawet w jej ubranie.

- Dojeżdżamy do Aix - powiedział Philip. - Tweed, nie zamieszkaż w Violette, choć wiem, jak lubisz ten hotel. Przyjaciołom Noela zbyt łatwo byłoby cię znaleźć. Zamówiłem ci pokój w szykownym Negre-Coste na słynnej Cours Mirabeau. Tego nie będą się spodziewali. Oboje z Paulą macie pokoje z widokiem na promenadę. Ósmy cud świata. No i kuchnia tam jest wspaniała.

- Rozumiem, że Noel już przyleciał?

- Kilka godzin temu. Ma nędzny pokójek w nędznym pensjonacie na starym mieście. Pewnie przypuszcza, że mu to daje anonimowość. Ale w tym przypadku się pomylił.

- A jego przyjaciele? - spytała Paula.

- Nie zaprosiłbym ich na kolację. Mieszane towarzystwo. - Philip wzruszył ramionami. - Arabowie i Słowacy. Nie wolno spuszczać z nich wzroku. Poderżną ci gardło za pensy... albo ich ekwiwalent w centach.

- Nie mogę się doczekać spotkania - prychnęła Paula.

- Módl się, żeby do niego nie doszło. Panie i panowie, wjeżdżamy do starożytnego miasta Aix. Wybudowali je Rzymianie. A wracając do Słowaków, to ludzie Noela przybyli tu ze słowackich Tatr. Byłem tam w zimie. Śnieg po pachy. Tweed, słuchaj, oni są doskonale wy-trenowani. Wspaniała kadra na elitarne oddziały tej całej Służby Bezpieczeństwa Państwowego formowanej przez Noela.

- Doskonale wytrenowani? To mi się nie podoba.

- I słusznie. Służbę stworzono kilka miesięcy temu. Jest świetnie zorganizowana. Słowacy wiedzą; jak cicho zabijać. Nauczono ich także angielskiego. W samym Aix Noel ma ich najmarniej pięćdziesięciu. Słyszałem, że jutro ich przewozi do Wielkiej Brytanii. Znam szczegóły. No, jesteśmy na miejscu. Oto Cours Mirabeau.

Paula wyglądała na przemian przez boczną i przednią szybę samochodu. Przepiękny, imponujący widok! Promenada była przestronną aleją ocienioną platanami rosnącymi wzdłuż szerokich chodników. Drzewa zaczynały już się

zieleni. Po prawej stronie stały duże rezydencje. Philip zauważył, że Paula przygląda się im z zainteresowaniem.

- Kiedyś były to siedziby zamożnych rodów - wyjaśnił. - Dziś to najczęściej siedziby zamożnych korporacji. Oto prawdziwy klejnot Aix.

Określenie „klejnot” wydaje się jak najbardziej właściwe, pomyślała Paula. O tej godzinie nie było wielkiego ruchu. Mieszkańcy miasta spacerowali po ulicach, ci co starsi zapewne wspominali z żalem dawne dobre czasy. Philip zatrzymał się przy imponującym budynku.

- Koniec podróży - oznajmił. - Negre-Coste. Dla Tweeda i Pauli zarezerwowałem pokoje z widokiem na promenadę. Bardzo drogie. Sprawdźmy, czy są warte swojej ceny.

Pokoje były ogromne. Na nowo umeblowane, lecz, jak tłumaczył Cardon, zachowały coś z charakteru czasów, gdy w pięknym domu mieściła się siedziba bogatego, arystokratycznego rodu. Paula szybko rozpakowała bagaże. Na szczęście wzięła z Londynu wieczorową suknię w ochronnej torbie z bibułki.

Otworzyła okna, wyjrzała na promenadę. Okna miały podwójne szyby, prawdopodobnie by tłumić odgłosy ruchu ulicznego. Wzięła prysznic, po czym ubrała się szybko, usiadła przy eleganckim lustrze i nałożyła na twarz delikatny makijaż. Usłyszała pukanie do drzwi i na progu stanął Tweed.

- Wyglądasz wspaniale - rzekł z podziwem. Pocałował dziewczynę w oba policzki. - Co za szczęście, że na Park Crescent trzymamy zawsze torby z najpotrzebniejszymi rzeczami i że jesteśmy zawsze gotowi do wyjazdu. Masz pieniądze?

- Plik dolarów. Chłopakowi, który przyniósł moją torbę, dałam dwadzieścia. Był bardzo zadowolony. Wyznał mi, że nie lubi euro, jego zdaniem nadają się wyłącznie na podpałkę.

- Philip dał mi to dla ciebie. - Podał jej kopertę.

Paula wyjęła z koperty fotografię, spojrzała na nią, odwróciła twarz z obrzydzeniem.

- Nie podoba mi się ten facet. Kto to taki?

- Radek. Dowódca pięćdziesięciu Słowaków, których Noel spróbuje przerzucić do Anglii. Sprawny zabójca. Jego ulubioną bronią jest nóż.

Jeszcze raz przyjrzała się zdjęciu. Przedstawiało niewysokiego, lecz mocno zbudowanego mężczyznę o słowiańskich rysach twarzy: wysokie kości policzkowe, nieruchome, martwe oczy, ostry nos, wydatna dolna szczęka. Radek miał gęste ciemne włosy i podkreślone wąsy. Uśmiechał się pogardliwie.

- Zatrzymaj je. Może się przecież zdarzyć, że go spotkasz. Mam odbitkę, Bob i Harry też. Philip myśli o wszystkim. No, chyba naj wyższa pora na kolację...

Restauracja hotelowa była przestronna i niemal pusta. Sezon turystyczny miał dopiero nadejść. Philip skomplementował strój i urodę Pauli, pocałował ją nawet w rękę. Dziewczyna nie pochwałała tego zwyczaju, ale w manierach Philipa było coś urzekającego.

Zamówili aperitify i zabrali się do studiowania opasłego menu.

Mieli stolik w rogu, więc gdy jedli, uwolnieni od obecności kelnerów, mogli swobodnie rozmawiać.

- Jakim cudem udało ci się uzyskać informację o obozach treningowych w

Tatrach? - zapytał Philipa Tweed.

- Och, to akurat było bardzo proste. Mam godnego zaufania kumpla, który doskonale zna te tereny. Często jeździliśmy tam na narty. Kolega urodził się z matki Słowaczki i ojca Francuza. Zapłaciłem mu dwa tysiące dolarów z funduszy, które przysłałeś dawno temu. Nawiasem mówiąc, ten słowacki szef wcale nie nazywa się Radek. Jak? Nie mam pojęcia. I chyba nie ma to żadnego znaczenia.

Po kolacji Philip zaproponował Pauli, by zrobili sobie krótki spacer.

- Przejdziemy się kawałek na północ - rzekł, kiedy wyszli na promenadę. -Są tam stare domy, które przetrwały do dziś w niezmiennym kształcie. To niedaleko, przechadzka na parę minut.

- Uwielbiam duże fontanny - powiedziała Paula, spoglądając wzdłuż promenady.

- Jest ich kilka tam, dokąd zmierzamy. Nie są duże, ale mnie szum wody uspokaja.

Skręcili w boczną uliczkę i znaleźli się w zupełnie innym świecie, świecie wąskich, krętych uliczek, tu i tam oświetlonych słabym blaskiem starych latarni, ale przeważnie ciemnych. Paula zaczęła się zastanawiać, czy ten spacer to aby na pewno dobry pomysł. Od czasu do czasu mijał ich jakiś Arab w długiej białej szacie.

Dotarli do pustego placu i znów usłyszeli szum płynącej wody. Paula pobiegła w jego kierunku, wyprzedzając Philipa. Mała fontanna tryskała z kamiennej studni znajdującej się w rogu placu.

Nie widziała, gdzie się schował napastnik, nie słyszała, że się do niej zbliża. Poczula, jak silne ramię opasuje jej pierś, jak ostrze noża dotyka gardła. Obróciła się lekko. Zobaczyła jednookiego Araba uśmiechającego się obrzydliwie. Była przerażona. Nie miała najmniejszej szansy na sięgnięcie pod pachę po browninga, by już nie wspomnieć o beretcie w kaburze na prawej nodze. Jeden ruch, a ta bestia poderżnie jej gardło. Gdzie Philip?!

Philip pojawił się przed nimi, jakby wyrósł spod ziemi. W prawej dłoni trzymał rewolwer z długim tłumikiem. Wymierzył w napastnika, powiedział coś po arabsku. Jediną reakcją był mocniejszy nacisk noża na gardle... ostrego jak brzytwa. Z jakiegoś idiotycznego powodu Pauli zachciało się kichnąć, ale zdołała się powstrzymać. Philip znów coś powiedział. Arab syknął wściekle.

Philip Cardon łagodnie się uśmiechnął. Rozłożył ręce, jakby chciał dać do zrozumienia, że akceptuje to, czemu nie jest w stanie się przeciwstawić. O mój Boże! - pomyślała Paula... i w tym momencie Cardon przeszedł do działania tak błyskawicznie, że oko nie było w stanie nadążyć za jego ruchem. W jednej chwili stał przy Arabie, z lufą broni niemal dotykającą jego zdrowego oka. Znów powiedział kilka słów po arabsku; Paula wyraźnie poczuła, jak napastnik zadrżał. Cofnął się, schował nóż.

Była znacznie niższa od niego, sięgała mu zaledwie do piersi. Musiała unieść wzrok, żeby zobaczyć jego twarz. Usłyszała ciche „paf!”

Cardon zabił go strzałem w głowę. Arab padł na wznak, znierucho miał na chodniku.

- Weź mój pistolet - powiedział Philip cicho, ale z naciskiem.

Muszę wrzucić ciało do pojemnika na śmieci, o tam. Na wszelki wypadek, gdyby mieli pojawić się tu jego kumple.

- Mam swój.

Zdążyła już wyciągnąć berettę. Philip skinął głową, chwycił martwego Araba w pasie i zaczął ciągnąć go w stronę śmietnika. Poszła za nim. Nie czekając na wskazówki, podniosła klapę; bardzo ciężką, ale zdołała ją utrzymać. Poczula straszny smród; pojemnik był wypełniony do połowy. Cardon wrzucił ciało do środka. Paula opuściła klapę jak najciszej. Philip oddalał się już, rozglądając dookoła i sprawdzając, czy są na placu sami. Biegając za nim - nie chciała pozostać tu sama - spostrzegła, że włożył rękawiczki. Po drodze złapał długi nóż za rękojeść, wrzucił go do najbliższej kratki ściekowej.

- Wracamy na promenadę, ale już! - szepnął. Szli szybko, prawie biegli.

- Jak ci się udała ta sztuczka? - spytała dziewczyna.

- On miał tylko jedną wartościową rzecz, zdrowe oko. Gdyby je stracił, znalazłby się na łasce innych Arabów. Groźba utraty wzroku sprawiła, że puścił cię natychmiast.

- Dzięki niech będą Bogu za to, że potrafisz tak szybko myśleć. Uratowałeś mi życie.

- Nie. Naraziłem je głupim pomysłem oglądania starego miasta po zmroku. Nigdy sobie tego nie wybaczę. No, jesteśmy na promenadzie. Zatrzymaj się na chwilę, bardzo cię proszę.

Odkręcił tłumik, wrzucił go do studzienki ściekowej, a rewolwer schował do kabury. Zaskoczył tym Paulę.

- Dlaczego to zrobiłeś? - spytała. Byli już na promenadzie, w zasięgu cywilizacji... takiej, jaką знаła. - Dlaczego wyrzuciłeś tłumik? - zapytała.

- To zdraдлиwe urządzenie. FYzy pierwszym strzale masz pewność. Potem może zablokować broń. Mam ich dużo. Dość spacerowania, wracamy do hotelu. Musisz powiedzieć Tweedowi o tym, co się stało.

- Nie miałam zamiaru...

- Nalegam. Obiecay mi, że to zrobisz. Tweed jest moim szefem. Ufa mi. Ma prawo wiedzieć o wszystkim, co zdarzyło się każdemu z nas.

Tweed siedział w fotelu przy wejściu do recepcji. Philip wysłał do niego Paulę, by opowiedziała mu o wydarzeniach ostatnich chwil, a sam zamówił w barze drinka. Dopiero teraz Paula poczuła wstrząs. Zaczęły grać nerwy. Doskonale знаła tę reakcję. Kiedy Arab przyciskał jej nóż do gardła, bała się, owszem, lecz potrafiła się kontrolować. Stała nieruchomo. Ale kiedy minęło niebezpieczeństwo, cała aż się trzęsła.

Usiadła w fotelu. Tweed skinął głową. Czekał, aż przyniosą jej zamówiony przez niego kieliszek chardonnay. W sali nie było nikogo oprócz nich.

Spojrzał Pauli wprost w oczy.

- Poszliście na spacer. Co się stało?

- Nic szczególnego. Dlaczego pytasz?

- Ponieważ umiem patrzeć i wyciągać wnioski. - Tweed był bardzo poważny. - Wiem, że coś się stało, ponieważ jesteś strasznie blada. A Philip poszedł wprost do baru. Możemy rozmawiać swobodnie.

- Uratował mi życie - rozpoczęła relację głosem, miała nadzieję, twardym

i zdecydowanym. Opowiedziała o incydencie z Arabem, niczego nie pomijając. Tweed cały czas przyglądał się jej nieruchomym wzrokiem, nie zmieniając wyrazu twarzy. Kiedy skończyła, dopił swe wino.

- Najpierw naraził cię na straszliwe niebezpieczeństwo, a potem uratował ci życie? A ja myślałem, że poszłicie na miły spacer promenadą. Teraz wiem, że wybrał się z tobą do północnej dzielnicy miasta, a jej trzeba unikać za wszelką cenę. Byłem już w Aix, parę lat temu. Zatrzymałem się wtedy w Violette, hotelu stojącym właśnie tam. Mieszkało tu wówczas paru Arabów, więc kiedy chodziłem ulicami, zawsze trzymałem w ręku broń. Ci, których spotykałem, znikali natychmiast. Właśnie z powodu broni. Teraz Arabów jest o wiele więcej.

- Mam nadzieję, że nie zrobisz Philipowi awantury?

- Oczywiście, że nie. Tu, we Francji, jesteśmy od niego uzależnieni. Poza tym to mój najcenniejszy agent za granicą. Aha, oto i on. - Tweed wstał. - Cześć, Philip. Może przeszlubiśmy się we trójkę po promenadzie?

Paula podziwiała samokontrolę szefa. Wyczuwała, że w środku aż się gotuje ze złości, ale Cardona powitał przyjaźnie, niczego po sobie nie pokazując. Ruszyli promenadą spacerowym krokiem. Tweed szedł pośrodku, Paula po jego prawej ręce, a Philip Cardon po lewej. Paula upajała się atmosferą słynnej ulicy, Tweed swoje wrażenia zachowywał dla siebie. Mnóstwo domów zmodernizowano, w tym także Negre-Coste; hotel nadal był wspaniały, ale stracił część niepowtarzalnego charakteru, który Tweed pamiętał z wcześniejszego pobytu. Nawet łazienkę w jego pokoju „unowocześniono”. Francuzi zarazili się amerykańskim umiłowaniem zaawansowanej kanalizacji.

- Toż to jak piękny sen! - entuzjasmowała się Paula.

- Rzeczywiście, wyjątkowo tu ładnie - przytaknął.

- Uregulowałem hotelowe rachunki - oznajmił nagle Philip. - Wyjeżdżamy jutro. To może być interesujący dzień.

- Jak interesujący? - spytał Tweed.

- Noel wyrusza ze swymi pięćdziesięcioma Słowakami do Paryża, a stamtąd spróbuje ich przetrzasnąć do Wielkiej Brytanii. Pojadą dwoma autobusami. Rozmawiałem z Harrym. Pamiętacie ten stary kamienny mostek, przez który przejeżdżaliśmy? Ostro w górę, ostro w dół, kiepska nawierzchnia.

- Ja pamiętam - odparła Paula. - Na garbie prawie skoczyliśmy. Pod mostem płynęła rzeczka.

- Połowę z nich wyeliminujemy tam - powiedział Philip takim tonem, jakby była to najzwyczajniejsza rzecz na świecie. - Pozostałych załatwimy w Paryżu. Śniadanie o szóstej. Niestety, nie jesteśmy tu dla przyjemności.

Rozdział 20

Wyszli z hotelu przed świtem. Pod wodzą Cardona udali się piechotą do południowej części miasta, znacznie nowszej. Philip skręcił w jedną z alejek, otworzył garaż, w którym stał ich mikrobus. Kiedy wsiedli do środka, postanowił dodać im odwagi.

- Powinienem powiedzieć wam o tym wcześniej. Wszystkie okna są kuloodporne. Boki i dach zostały opancerzone. Możecie nie marzyć się o to, czy dojedziemy do Paryża.

Harry wynurzył się spod pojazdu, pokazał wyprostowany kciuk.

- Bomby nam nie podłożyli. Silnik też sprawdziłem.
 - Jesteś cholernie dokładny - powiedział z uznaniem Cardon.
 - Jestem cholernie podejrzliwy - prychnął Butler, wskakując do mikrobusu.
- Wyjechali z garażu, zatrzymali się przy końcu alejki. Philip użył sterownika, by zamknąć drzwi. Następnie skręcił w lewo. Kiedy wyjeżdżali z miasta, Paula westchnęła ciężko, a Tweed z ulgą.
- To miasto jest dziś śmiertelną pułapką, pomyślał.
- Mocno wyprzedzamy Słowaków - poinformował ich Philip. - Dopiero wsiadają do pierwszego autobusu. Drugi pojedzie za nim, ale w pewnej odległości. W każdym jedzie dwudziestu pięciu morderców. Tym drugim autobusem zajmiemy się w Paryżu - przypomniał jeszcze.
 - Skąd on to wszystko wie? - spytała Tweeda Paula, nie starając się ściszyć głosu.
 - Mam swoje kontakty - odpowiedział Cardon na jej pytanie. Potarł kciukiem palec wskazujący, imitując liczenie banknotów. - Dolary przyjmuje się tu nader chętnie.
 - A co Noel porabiał przez cały ten czas?
 - Zatrzymał się incognito w dziurze w północnej dzielnicy. Przyjmował odwiedziny naszego przyjaciela Radka.
 - Radka?
 - Szefa wesołej bandy Słowaków, nie pamiętasz? Dałem ci jego zdjęcia. Przemily facet, z przyjemnością byś patrzyła, jak się topi.
- Noel jedzie do Paryża wynajętym Citroënem, za drugim autobusem. Radek dotrzymuje mu towarzystwa. Przypomnę: miał matkę Słowaczkę i ojca Francuza. I wujka Czecha. Rodzinie zawdzięcza dobrą znajomość kilku języków.
- Uwaga, dojeżdżamy do mostu.
- Tweed dostrzegł, że Harry kładzie sobie na kolanach spory skórzany pojemnik i bardzo ostrożnie wyjmuje z niego dużą minę i ręcznik. Ze swojego miejsca przy oknie Paula nie mogła tego dostrzec. Nadal panowała ciemność, Philip musiał prowadzić przy długich światłach. Mikrobus przejechał kilka ostrych zakrętów po wznoszącej się stromo szosie. Nagle Philip zwolnił, stanął na poboczu, wyłączył światła. Wraz z Harrym cofnęli się na most, od którego dzieliło ich zaledwie kilka kroków.
- Paula nie miała zamiaru rezygnować z widowiska. Przesiadła się na siedzenie kierowcy. Przez przednią szybę miała dobry widok, jej oczy zdążyły już przyzwyczać się do ciemności. Zresztą na horyzoncie pojawiły się pierwsze promienie wschodzącego słońca.
- Philip wrócił. Podał Tweedowi noktowizor.
- Czekaj, aż pojawi się pierwszy autobus. Daj mi znać, gdy zoba czysz światła - poprosił.
- Tymczasem Harry kopał głęboką, szeroką dziurę w miękkiej ziemi na szczycie mostku. Pracował szybko, a gdy dziura była gotowa, bardzo ostrożnie wsunął w nią minę. Przykrył ją warstwą ziemi. Wstawał, gdy stojący w drzwiach mikrobusu Tweed krzyknął:
- Widzę światła! To pewnie autobus. Mniej więcej półtora kilo metra stąd. Nie sposób powiedzieć na pewno, nie w tym świetle.

Philip i Harry wskoczyli do mikrobusu, zatraskując za sobą drzwi. Harry wrócił na swoje miejsce na siedzeniu z tyłu, Paula też. Cardon zaproponował Tweedowi, żeby nie odkładał noktowizora.

- Będziesz miał kupę zabawy - obiecał mu.

Wskoczył za kierownicę, włączył silnik i światła, ale tylko pozycyjne. Zjechał z drogi na ten sam parking, na którym zatrzymał się wcześniej, by rozdzielić broń. Zawrócił, ustawiając samochód maską w stronę wyjazdu. Zaproponował pasażerom, by wysiedli wraz z nim. Wziął noktowizor od Tweeda, spojrzał na wschód, oddał go szefowi.

- Jadą za szybko. Prowadzi Słowak. Oni szaleją za kierownicą.

Ranek był chłodny. Paula podciągnęła zamek błyskawiczny wiatrówki pod szyję. Autobus pędził z pełną prędkością, oślepiając ich długimi światłami. Przez chwilę sprawiał wrażenie, że przeleci przez barierkę i spadnie do rzeki. Kierowca zwolnił w ostatniej chwili, wjechał na most względnie powoli...

Wybuch ogłuszył ich, błysk światła oślepił. Autobus dosłownie poderwał się w powietrze i przełamał na pół. Szczątki ciała wzleciały na wszystkie strony; Paula, która pożyczyła noktowizor Tweeda, była pewna, że widziała lecącą wysokim łukiem oderwaną ludzką nogę. Zbiornik paliwa wybuchł, jaskrawy blask oświetlił resztki

zrujnowanego mostu. Błady świt rozjaśnił czerwony blask pożaru. Połowa autobusu wpadła do rzeki, Paula słyszała syk wody, wrzącej w kontakcie z rozgrzanym do czerwoności metalem. Potem zapadła martwa cisza.

- Wyszło całkiem niezłe - zauważył Philip.

- Mam wrażenie że tam, daleko, dostrzegłam jakieś światła - powiedziała Paula. W ustach miała sucho. - Może to drugi autobus?

- Najprawdopodobniej - przytaknął Philip. - Mają noktowizory i wiedzą już, co tu się stało. Będą musieli objechać most, a to długa droga. Dotrzemy do Paryża przed nimi. Przygotujemy się i ich też załatwimy.

Załatwimy? - pomyślała Paula. Nie potrafiła wyrzucić z pamięci obrazu niedawnej masakry. Jakim cudem Philip zniósł to tak spokojnie? Zresztą zawsze zachowywał się tak pewnie... nawet wobec największego, śmiertelnego zagrożenia.

Zbliżali się do Paryża, gdy Philip zjechał na niewielki, dobrze ukryty parking przy autostradzie. Wstał zza kierownicy i zwrócił się do pasażerów:

- Oddajcie mi broń. W każdej chwili może nas zatrzymać policja.

Zebrał pistolety i nawet trzy miny Harry'ego. Schował je w specjalnej skrytce w ścianie mikrobusu. Harry'emu niezbyt się to spodobało.

- Myślałem, że mam ich użyć do załatwienia drugiego autobusu - powiedział oburzony.

- Nie! - Philip był bardzo stanowczy. - Zmiana planów. Przemyslałem sobie wszystko i uznałem, że mogę załatwić sprawę sam. Przy Ile St-Louis, wyspie na Sekwanie niemal w centrum Paryża ma dryfować duża transportowa łódź żaglowa, „Yvette”. Zamierzają przerzucić na nią Słowaków małymi motorówkami. Potem chcą ją pożeglować w górę rzeki, w porcie przy ujściu przenieść ładunek na większy statek i wylądować gdzieś na niezamieszkanym odcinku wybrzeża Anglii. Dopilnuję, by nie opuścili Paryża żywi.

Wrócił za kierownicę, odczekał, aż w polu widzenia nie będzie żadnego samochodu, wyjechał na autostradę i dodał gazu. Paryż był coraz bliżej.

Kiedy wjeżdżali do miasta, odezwał się Tweed:

- Philip, mogę zadzwonić do Loriota, szefa DST. To mój stary przyjaciel. Powiem mu, co się dzieje, i poproszę o pomoc.

- Nie! - zaprotestował Cardon, oglądając się przez ramię. - Do tej pory musiał już dowiedzieć się o wybuchu na moście w pobliżu Aix, o rozrzuconych na polach i spływających rzeką poszarpanych ciałach. Sprawdzi wszystkie hotele, dostanie księgi meldunkowe.

- Użyliśmy fałszywych paszportów. Przecież ci mówiłem, nie pamiętasz?

- To bez znaczenia. Wyodrębni grupę gości, którzy zatrzymali «ię na krótki czas. Każę ich sobie opisać, a wśród recepcjonistów i obsługi zawsze znajdzie się ktoś obdarzony dobrą pamięcią. Macie wolną godzinę. Wysadzę was na placu Vendôme, w pobliżu Ritza. Stamtąd weźmiecie taksówkę na Gare du Nord. Powiniście bez problemu złapać Eurostar. Nie sądzę, byście wpadli na Noela, zapewne wróci samolotem.

Dojechali na miejsce. Philip Cardon praktycznie wypchnął z samochodu Tweeda, który dziękował mu wylewnie za wszystko i jeszcze z chodnika krzyknął, przekrzykując warkot silnika:

- Uważaj na siebie! I odzywaj się częściej!

- Gdy tylko będę miał jakieś nowe informacje. Pilnuj się, Paula!

Syknęły zamykane drzwi. Bus ruszył na wschód. Ku Ile St-Louis.

Szli Rue St-Honore, główną ulicą słynną z upiornie drogich sklepów. Było wczesne popołudnie. Grożące w każdej chwili deszczem chmury wisiały nisko nad ziemią.

Tweed i Paula szli pierwsi, Bob i Harry, wiernie wypełniając rolę ochroniarzy, kryli im plecy. Wstąpili do kawiarni na kawę ze świetnymi ciasteczkami. Paula była przeraźliwie głodna.

- Opuszczę was na parę minut - oznajmił Newman, wstając. - Po drodze mijaliśmy sklep z pięknymi chustami. Kupię prezent dla Romy.

- Zaczyna mi to wyglądać bardzo poważnie - zakpiła Paula.

- Jest miła i bardzo inteligentna. Zaraz wracam.

Postanowili poczekać na Boba na zewnątrz. Paula wyszła pierwsza, spojrzała w górę i w dół ulicy. Cofnęła się nagle, wpadła na Tweeda. Wepchnęła go do środka, chwyciła za ramię, odprowadziła z powrotem do ich stolika stojącego w rogu przy oknie, z widokiem na ulicę.

- O co chodzi? - zdumiał się Tweed.

- Radek! Idzie ulicą w naszym kierunku.

- Jesteś pewna?

- Całkowicie. Bardzo dokładnie obejrzałam jego zdjęcie. Módlmy się, żeby tu nie wszedł. Oddaliśmy broń.

Harry poderwał się z krzesła. Pod ubraniem ukrywał elastyczną, pokrytą skórą pałkę. Podszedł do stolika po przeciwnej stronie sali, zamówił kawę i natychmiast za nią zapłacił. Kelnerka z uśmiechem przyjęła napiwek. Znikła na zapleczu. Zostali w kawiarni sami.

Do środka wszedł Radek w czarnym płaszczu i czarnym kapeluszu. Podszedł

prosto do ich stolika. Jedną dłoń wsunął pod płaszcz, drugą zdjął kapelusz. Uklonił się Pauli.

- Panie Tweed, powie mi pan teraz, gdzie są inni i co robią - po wiedział bez wstępow. - Albo zastrzelę pannę Grey.

Mówił szybko, doskonałą angielszczyzną, choć z lekkim obcym akcentem. Chyba po raz pierwszy w życiu Tweed poczuł się niepewnie. Otworzył usta, chciał powiedzieć coś, cokolwiek, byle tylko zyskać na czasie. W tej właśnie chwili za plecami Słowaka wyrósł Butler i mocno walnął go pałąk w potylicę.

Radek szeroko otworzył oczy i upadł na wznak. Harry chwycił go w locie, ostrożnie położył na podłodze. Pojawiła się kelnerka; Paula szybko do niej podeszła.

- Ten biedny człowiek stracił przytomność - powiedziała po francusku. - To może być atak serca. Proszę wezwać karetkę. Teraz musimy wyjść, ale jeszcze wrócimy.

Kelnerka pobiegła do telefonu, a oni uciekli z kawiarni. Pojawił się Newman z małą, elegancko zapakowaną paczuszką w ręku. Widać było, że zdziwił go ich pośpiech. Paula zatrzymała taksówkę.

- Gare du Nord - powiedział Tweed, wręczając kierowcy duży napiwek. -1 proszę jechać szybko. Musimy zdążyć na pociąg.

Widząc, że kierowca nie zna angielskiego, Paula powtórzyła polecenie po francusku. Wraz z Tweedem usiadła na tylnym siedzeniu, Bob i Harry zajęli rozkładane krzeselka po bokach.

Kierowca mocno wcisnął gaz.

Dojechali na miejsce tuż przed odjazdem pociągu. Tweed znalazł pusty przedział; Eurostar ruszył, nim zdążyli zająć miejsca.

Pokrótko opowiedział Newmanowi o tym, co zaszło w kawiarni. Bob odłożył na półeczkę torbę z prezentem, usiadł i dopiero wówczas zadał ważne pytanie:

- Jakim cudem Radek tak szybko znalazł się w Paryżu?

- Moim zdaniem przekroczył wszystkie ograniczenia prędkości na autostradzie - odparł Tweed. - Kiedy zatrzymaliśmy się, żeby oddać Philipowi broń, widziałem przemykający obok nas samochód. Pędził jak wariat. Zauważyłem dwóch ludzi w środku, ale nie zdołałem ich rozpoznać.

- Zabijeś go, Harry? - pytał dalej Bob.

- Z całą pewnością nie. To ściągnęłoby na nas policję. Za jakąś godzinę odzyska przytomność, tylko cholernie będzie go bolała głowa.

- Ciekawe, jak mnie rozpoznał - powiedziała z namysłem Paula. - Skąd wiedział, kim jestem?

- Robimy ludziom zdjęcia - przypomniał jej Tweed - więc dlaczego ktoś z Konspiracji nie miałby robić zdjęć nam? Nasz Noel, strateg myślący o wszystkim, wziął pewnie ze sobą parę kompletów odbitek.

Na tym skończyli rozmowę. Pociąg wyjechał z tunelu na pola Kentu. Paula wyjrzała przez okno. Odetchnęła głęboko.

Inaczej niż w Paryżu tu słońce świeciło z jasnobłękitnego nieba, na którym nie było nawet jednej chmurki. Zachwycały ją poczynające się zielenić pola, sady drzew pokrytych drobnymi listkami.

- Cieszę się, że wyjechaliśmy z Francji - powiedziała. - Anglia to taki spokojny

kraj...

- Tylko nie spokojny - przypomniał jej Tweed. - Musimy złapać maniakałnego mordercę, no i nie dopuścić do fuzji sił prawa i porządku w Służbę Bezpieczeństwa Państwowego-
- Och, odpuść sobie! - prychnął Bob Newman. - Dziewczyna sporo dzisiaj przeżyła. Twój problem polega na tym, że nie potrafisz docenić urody życia.
- Przepraszam. Wiem, że masz rację, Bob. I owszem, zdaję sobie sprawę, że nasza wycieczka do pięknej Francji mogła nadszarpnąć jej nerwy.
- Chcę tylko wrócić do domu i spokojnie przespać się we własnym łóżku - przerwała im Paula. - Rano będę jak nowa.

Rozdział 21

Na Park Crescent panowała atmosfera kryzysu. Tweedowi wystarczył jeden rzut oka, by rozpoznać jego symptomy. Podeszła do niego Monica, twarz miała bardzo poważną. Pete Nield stał z założonymi na piersi rękami, bez śladu uśmiechu na wesołej zazwyczaj twarzy. Oparty o ścianę Marler bawił się pustą papierosnicą, nie spuszczać wzroku z szefa.

Paula, która miała zamiar jak najszybciej pojechać do domu, usiadła za biurkiem. Newman przystanął w drzwiach, uważnie przyglądając się kolegom. Pierwszy odezwał się Tweed.

- No dobrze, mówcie, co się stało. Można by sądzić, że wybuchła tu bomba.
- Do pewnego stopnia tak. - Monica stała sztywno przed jego biurkiem.
- Najpierw zadzwonił generał Macomber. Kazał mi powtórzyć, że pod żadnym, ale to żadnym pozorem nie wolno ci wychodzić gdziekolwiek samemu. Dodał jeszcze, że właśnie wrócił ze spotkania z Konspiracją. Potem do naszego biura wtargnął Benton Macomber. Twierdził, że musi się z tobą zobaczyć. Powiedziałam, że cię nie ma. Spytał, czy wyjechałeś za granicę. Powiedziałam, że nie wiem. Odwrócił się na pięcie i wyszedł tak nieoczekiwanie, jak wszedł, tylko na zakończenie rzucił od progu, że masz do niego zadzwonić, gdy tylko się pojawisz. Pete - zwróciła się do Nielda - teraz twoja kolej.
- To rzeczywiście wyglądało trochę niesamowicie. Wczesnym popołudniem zauważyłem dużą białą półcieżarówkę. Miała oznaczenia stacji telewizyjnej. Fotografowano z niej budynek, więc przeszedłem przez ulicę przed jej maską. Ruszyła nagle, omal mnie nie przejechała. Uskoczyłem na chodnik. Zatrzymała się, pasażer otworzył drzwi, zaczął mnie przeklinać. Zapytałem go, kim są, co tu robią. Próbował kopnąć mnie w twarz. Wyciągnąłem go z kabiny za nogę, powtórzyłem pytania. Na to kierowca wyciągnął broń i kazał mi kumpla puścić. Cóż, puściłem. Odjechali w siną dal.
- Próbują nas przestraszyć - orzekł Tweed. - Grają ostro, więc my musimy zagrać jeszcze ostrzej. Marler, opracuj odpowiedni plan.
- Już opracowałem. Potrzebna mi będzie pomoc Harry'ego. Państwo pozwolą... Obaj wyszli z biura. Pozornie spokojny Tweed zaczął się bawić piórem. Wszyscy czekali na jego kolejne słowa.
- Więc Benton spytał, czy jestem za granicą? Interesujące. Musiał wiedzieć, że wyjechałem. Sprawdzał, jak zareagujesz, Monico. Zachowałeś się znakomicie.
- Skąd wiesz? - spytała zdziwiona Paula.
- Radek. Poinformował o naszej obecności Noela. Następnie No-el

poinformował o tym telefonicznie Konspirację. Benton pojawił się około piątej po południu, prawda, Monico?

- Mniej więcej.

- Byliśmy już wówczas w pociągu. Noel przyleciał samolotem sporo czasu przed nami. Z Radkiem. Co mi o czymś przypomniało. - Wręczył sekretarce zdjęcie, które dostał od Cardona. - Zanieś je na dół, proszę. Niech zrobią pięć odbitek. To pilne. Wszyscy musicie się z nim zapoznać.

- To jakiś straszny człowiek - powiedziała z obrzydzeniem Monica.

- Diabeł wcielony - przytaknęła Paula. - Radek.

- Myślisz, że jest już w Anglii? - spytał Newman.

- Jestem pewien, że jest już w Anglii. Najprawdopodobniej przyleciał z Noelem. Musimy teraz pilnować dwóch utalentowanych morderców: jego i Fitcha. - Tweed spojrział na Paulę. - Pojedziesz do domu w towarzystwie Newmana. Nie masz nic przeciwko temu, żeby przespał się w gościnnej sypialni, prawda?

- Wręcz przeciwnie, będę mu bardzo wdzięczna, ale na razie nigdzie się nie wybieram. Odechciało mi się spać, a mamy przecież tyle spraw do załatwienia. Wydaje mi się dziwne, że generał Macomber zdecydował się nas ostrzec.

- Może nie kocha Konspiracji? Może to element rozpętanej przeciw nam kampanii strachu?

- Chyba nie podejrzewasz generała?!

- Póki nie zmiażdżymy Konspiracji, będę podejrzewał wszystkich. Dlaczego ją odwiedził? Wy tłumacz mi. Przecież podobno nienawidzi synów i nimi pogardza. Mam wrażenie, że wszyscy tu kłamią.

- Mogę opowiedzieć teraz o moim wczorajszym spotkaniu z in-formatorką? - spytał Nield.

- Spotkaniu? - zdziwił się Tweed. - Ależ oczywiście. Opowiadaj.

- Coś mi nie grało, więc zadzwoniłem i zaprosiłem ją na kolację. Zgodziła się natychmiast. Powiedziała, że się czegoś boi. A potem...

Nield podjechał pod mieszkanie Coral punktualnie. Dziewczyna wyszła z domu zrobiona na bóstwo. Ognistorude włosy upięła na czubku głowy. Krótka biała obcisła sukienka doskonale podkreślała jej wspaniałą figurę.

- Może wstąpisz do mnie na drinka? - zaproponowała ze zniewalającym uśmiechem.

- Niestety, brak nam czasu. - Pete myślał szybko. - Zarezerwowałem stolik w restauracji tuż za rogiem. Jeśli nie zajmiemy go teraz, stracimy okazję.

- Dobrze. Pozwól, że wezmę płaszcz.

- Czego się boisz? - spytał, gdy szli powoli w kierunku restauracji.

- To może poczekać, póki się nie napijemy. Bardzo potrzebuję drinka. Brandy. Restauracja była pełna, ale dostali narożny stolik i mogli rozmawiać spokojnie, bez obaw, że ktoś ich podsłucha.

- Doskonale - skomplementowała Coral przystawkę, kawałki melona z pomarańczami i bananami polane brandy. - To mój ulubiony alkohol.

- Czego się boisz? - Nield powtórzył pytanie.

- Papugi. Zaprosiła mnie dziś na lunch, do bardzo dobrej, bardzo drogiej,

bardzo eleganckiej restauracji. Udało mi się zerknąć na rachunek. Astronomiczny.

- Myślałem, że jest twoim wrogiem. Przynajmniej tak twierdziłaś podczas naszej ostatniej rozmowy.

- Wiem, Pete. Wówczas byłam o tym przekonana. Ale teraz zrobiła się słodka jak ulepek. Jakbym nie umiała popełnić błędu, choćbym chciała. Podczas tego lunchu powiedziała mi, że prześladuje ją ktoś z Konspiracji. Nie chciała powiedzieć kto. Nie zamierza postawić się twardo. Twierdzi, że oni mogą ją pozbawić pracy.

- Jacy „oni”?

- Konspiracja. Współpracują ze sobą i zawsze się popierają. Planują jakiś atak na zespół Tweeda. Pomyślałam sobie, że powinieneś o tym wiedzieć.

- Ale... skąd możesz o tym wiedzieć? Przecież siedzą w oddzielnym pokoju.

- Po prostu wiem. - Coral spojrzała na niego słodko. - Pewnie pomyślisz, że źle postąpiłam... Łączące ich i nasz pokój drzwi trzeba bardzo starannie domykać, a nawiasy zostały niedawno naoliwione. Kiedy Papuga znika z horyzontu, otwieram je... tylko trochę, odrobinę. Mogę podsłuchać, o czym we trzech mówią.

- To bardzo niebezpieczne.

- Jestem bardzo ostrożna. Zawsze trzymam pod pachą teczkę z jakimiś papierami, a blisko drzwi stoi szafka na akta.

- Wróćmy do tego, co mówiłaś wcześniej. - Nield przerwał, bo kelnerka przyniosła im zamówione dania. Kiedy odeszła, mówił dalej: - Wspomniałaś o planach ataku na Tweeda. Znasz może jakieś szczegóły?

- Tylko tyle, że Noel, który gdzieś wyjechał, zaplanował całą tę operację. Potem musiałam wrócić do biurka, a i tak ledwie zdążyłam. Jeden z nich zamknął drzwi.

- Noel wyjechał? Gdzie?

- Nie mam pojęcia.

Aż do końca kolacji rozmawiali już na obojętne tematy. Potem odprowadził dziewczynę aż pod jej dom. Coral otworzyła kluczem bramę, wzięła Pete'a pod rękę i patrząc niewinnie, zaprosiła do siebie na drinka.

- O niczym innym nie marzę - westchnął Nield - ale przed naszym spotkaniem pracowałem nad pewną sprawą i teraz moi współpracownicy z pewnością chcieliby coś o niej usłyszeć. Wracam na Park Crescent. Muszę wykonać jeszcze kilka telefonów. Może in nym razem?

Kiedy po bratersku całował ją w policzki, Coral Flenton pogardliwie wyduła wargi. Najwyraźniej nie była zadowolona z obrotu sytuacji. Pożegnała się chłodno i zatrzasnęła mu drzwi przed nosem.

Rozdział 22

Tak więc - kończył swą opowieść Nield - zdołałem uciec, nie narażając się na szwank. Coral sprawiała wrażenie wścieklej.

- Nie wierzę w ani jedno słowo tej kobiety - oburzyła się Paula.

Dlaczego tak manipuluje sytuacją?

- Może wykonuje po prostu instrukcje kogoś z Konspiracji - powiedział Tweed z namysłem. - Ale raczej w to wątpię.

- Jeśli tak, to którego z nich? - spytała dziewczyna.
 - Skąd mam wiedzieć? Zresztą... powiedziałem przecież, że nie chce mi się w to wierzyć. Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, o co jej chodzi.
 - Może ma fioła? - zasugerował Niędł. - Tylko wariat mógł zabić Violę w tak straszny sposób.
 - Na to jest za niska i za słaba - zaprotestowała Paula.
 - To jest jak mozaika - powiedział Tweed z zastanowieniem.
- Każda część gdzieś pasuje, tylko nie mamy ogólnego obrazu.
- O Boże! - wybuchł Newman. - Co ja zrobiłem! Zostawiłem chustę dla Romy na półce w wagonie!
 - Nie martw się - uspokoiła go Paula. Z leżącej na podłodze torby wyjęła elegancko zapakowaną paczuszkę. - Mam taki zwyczaj, że zawsze sprawdzam, czy nie zostawiłam czegoś w pociągu albo w samolocie.
 - Nie wiem, jak ci dziękować. - Na twarzy Boba pojawił się wyraz niebotycznej ulgi. - Od razu poczułem się lepiej.
 - Dzięki mnie romans z Romą może rozkwitnąć, co? - Paula nigdy nie marnowała okazji do żartu.
 - Wy się dobrze bawicie - przerwał im Tweed - a ja tymczasem się martwię, co mogli wymyślić Marler z Butlerem.

Harry i jego przyjaciel założyli maski. Potrafili cierpliwie czekać. Wtuleni w mur ogrodzenia stali po obu stronach stalowej bramy prowadzącej do kwatery głównej Służb Specjalnych. Znajdowali

się poza zasięgiem zamontowanych na murze kamer wideo. Harry kuczał od czasu do czasu, rozciągając mięśnie nóg, Marler stał nieruchomo jak posąg. Trwało to już dobrze ponad godzinę. Cierpliwość jest największą z cnót.

Boczna uliczka była tak ciemna, tak źle oświetlona, że nikt idący Whitehall, choćby patrzył w tę stronę, nie dostrzegłby ich twarzy, by nie wspomnieć już o maskach. Marler poniósł dłoń, w której trzymał granat. Harry tylko się skrzywił. Nie wierzył, by jego przyjaciel był w stanie coś usłyszeć.

Stalowe drzwi uniosły się powoli, bez najmniejszego ostrzeżenia. Znikły we wbudowanej w ścianę szczelinie. Na poruszających się powoli ruchomych schodach stał Nelson, a za nim Benton w obszarpanym płaszczu, pracowicie studiujący jakieś papiery, oraz Noel równie nieruchomy jak najstarszy brat. A więc rzeczywiście, zdążył powrócić z Francji. Co oznaczało, że Radek też jest w Londynie.

Nelson już prawie zjechał na dół. Marler skinął głową. Obaj z Harrym działali teraz jak jeden człowiek. Pierwszy granat wyładował pod nogami Nelsona, wysyłając w powietrze wielką chmurę gazu łzawiącego. Drugi, rzucony przez Butlera, poszybował nieco wyżej i wybuchł na stopniu Bentona.

Nelson dusił się i kaszłał, kompletnie zdezorientowany. Marler cisnął kolejny granat jeszcze dalej i tak celnie, że udało mu się trafić Noela w kolano. Spowodował tym kompletny chaos.

Bracia chwiali się, bełkotali coś, płakali i kaszleli, niezdolni do działania. Na szczycie schodów pojawiła się Papuga. Przyglądała się z niedowierzaniem tej piekielnej scenie, po czym błyskawicznie znikła w biurze, skąd zadzwoniła po pogotowie.

Marler i Butler zdjęli maski. Ulotnili się bez problemu.

Kiedy pojawili się na Park Crescent, Tweed rozmawiał z Niel-dem. Jego zdaniem Harry wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie, twarz Marlera, jak zwykle, nie zdradzała żadnych uczuć. Postanowił nie przerywać rozmowy.

- Pete, mógłbyś mi powiedzieć, w co twoim zdaniem gra Coral Flenton?
- Nie mam zielonego pojęcia. Ale w coś niewątpliwie gra. Wiele bym dał, żeby nigdy więcej nie widzieć jej na oczy.
- W takim razie ja się z nią umówię - zaproponowała Paula. - Za pierwszym razem nieźle mi poszło. Postanowiłyśmy znowu się spotkać. W końcu jestem kobietą. Nie tak łatwo mną manipulować.
- Świetny pomysł! - przytaknął Tweed. - A wy dwaj? Teraz wasza kolej. Coście zdziałali?

Marler w kilku słowach zrelacjonował przygodę pod kwaterą główną Konspiracji.

- To ich nauczy nie wysyłać do nas lewych furgonetek telewizyjnych z fotografami - zakończył.
- Pora, bym i ja się trochę zabawił. Monico, zadzwoń do nich, dobrze? Ale to ja będę rozmawiał.

W siedzibie Konspiracji zadzwonił telefon. Ktoś podniósł słuchawkę.

- Chciałbym mówić z panną Partridge - powiedział Tweed bez wstępów. - Ach, to pani? Doskonale. Mówi Tweed. O ile dobrze rozumiem, Benton Macomber chciał ze mną pomówić.
- Wszyscy się pochorowali - odparła Papuga drżącym głosem.

Są w szpitalu.

- Mam szczerą nadzieję, że to nic poważnego. Może wróćą jutro? Słyszałem, że w mieście zdarzyło się kilka przypadków zatrucia pokarmowego.
- Tak, oczywiście. - Papuga powoli odzyskiwała przytomność umysłu.
- Cóż, w takim razie proszę przekazać im moje najlepsze życzenia szybkiego powrotu do zdrowia. Dla pani mam zaś radę: proszę nie jadać w przypadkowych restauracjach.

- Sama sobie gotuję w domu! - zaprotestowała panna Partridge.
- Zdaje się, że nie wiem, gdzie pani mieszka...
- W Hammersmith, w wielkim mieszkaniu, które kupiłam wieki temu. A może - zaproponowała po chwili milczenia - któregoś dnia wpadłby pan do mnie na kolację?

Tweed zapisał adres, numer telefonu stacjonarnego i komórkowego.

- Będzie mi bardzo przyjemnie - powiedział na zakończenie.
- Mam nadzieję, że spotkamy się wkrótce.
- Kiedy tylko pan zechce - powiedziała Papuga naprawdę kusząco. A do tego wydawała się niezdolna! - Dziękuję za telefon. Do zobaczenia.
 - Rzuciła cię na matę - zażartowała Paula.
 - Chętnie rzuciłbym na matę ją, ale... jest częścią mozaiki, którą musimy przecież jakoś ułożyć. W każdym razie z całej Konspiracji właśnie ją można przyłapać z opuszczoną gardą.
 - O wszystkim im opowie.
 - A wiesz, nie sądzę, żeby opowiedziała - stwierdził Tweed po namyśle.

-Widziałem, jak ziewasz. Jesteś bardzo zmęczona. Najwyższy czas, żebyś wróciła z Newmanem do domu.

- Owszem. Z przyjemnością.

Newman jechał pierwszy, Paula tuż za nim. Choć ruch był już znacznie mniejszy, na Brompton Road Bob zwolnił wręcz do tempa roweru. Ciekawe dlaczego?

Nagle się zatrzymał. Skinął, by przysła do niego.

- Coś się stało? - zapytała, siadając na siedzeniu pasażera.

- Nie mogło być gorzej.

- O co chodzi?

- Widzisz tego starego, poobijanego forda przed wjazdem na twoje podwórko? Dwaj faceci na przednim siedzeniu, jeden wskazuje drugiemu twoje okno. Poznajesz któregoś?

- O Boże! Kierowcy nie znam, ale obok niego siedzi Radek!

- Kierowca to Fitch. W samochodzie siedzi najbardziej niebezpieczna, najbardziej niezawodna maszyna do zabijania w tym kraju. Sprawdzają twoje mieszkanie. Pewnie się cieszysz, że Tweed polecił mi opiekować się tobą. Mógłbym zabić ich obu - stwierdził rzeczowo. Na kolanach trzymał smith & wesson. - Lepsza okazja może się nam nie trafić.

- Nie! - Paula położyła dłoń na jego dłoni. - To byłoby morderstwo. Nie sądzę, by policja szczególnie przejęła się tym, kim rzeczywiście są.

- To nie mój rewolwer - zaprotestował. - Pożyczyłem go od Har-ry'ego. Jeszcze nigdy nie został użyty. Numer seryjny ma zatarty. Badania balistyczne niczego nie wykażą.

- Nie! - powtórzyła dziewczyna bardziej stanowczo. - Sama chętnie bym ich zabiła, ale to zbyt niebezpieczne. Poza tym jesteśmy przecież tuż obok mojego mieszkania. To mnie przede wszystkim policja zacznie przypiekać.

Sprzeczka się urwała, ponieważ ford ruszył. Newman odczekał chwilę, upewniając się, że mordercy odjechali wystarczająco daleko, po czym skręcił na podwórko, zaparkował samochód za domem, gdzie nie było go widać z ulicy. Paula przesiadła się do swojego samochodu i pojechała za nim.

- Tym razem nie położę się w pokoju gościnnym - postanowił Newman, szukając klucza do drzwi wejściowych. - Prześpię się na kanapie w salonie. Dzięki temu będę widział i słyszał każdego, kto spróbuje wejść do mieszkania.

- Dobrze, pościelę ci na kanapie - zgodziła się Paula. - Można ją rozłożyć, jest dość wygodna.

- Wierzę ci na słowo. A rewolwer na wszelki wypadek będę trzymał pod ręką. Nie, nie jestem głodny. Wystarczy mi karafka wody.

Okna salonu wychodziły na ulicę. Paula przyniosła prześcieradło, poduszkę i kołdrę. Starannie posłała łóżko. Nagle ziewnęła szeroko. Rzeczywiście, przysła najwyższa pora na sen. Mimo zmęczenia wzięła szybki prysznic, wytarła się, wskoczyła do łóżka i zasnęła, nim głową dotknęła poduszki.

Wstała rano, jeszcze przed wschodem słońca. Newman nie spał. Zaciągnęła zasłony na oknach.

- Nie rób tego - przestrzegł ją Bob. - Muszę mieć widok na ulicę. Wyglądasz po prostu wspaniale. - Włożył buty i wiatrówkę. - Mam wrażenie, że się wyspałaś.

- Owszem. I nic mi się nie śniło, ani przez chwilę! Teraz zjemy, po śniadaniu

pojedziemy do biura. A przynajmniej taką mam nadzieję. Ciekawe, jak Radkowi udało się dotrzeć tu tak szybko.

- To proste. Przyleciał z Paryża z Noelem. A potem Noel samochodem, czekającym na lotniskowym parkingu, przywiózł go do kryjówki Fitcha.

- Gdzie jest ta kryjówka? - Paula stała w maleńkiej kuchni. Zręcznie wybijała jajka na patelnię. - Mam nadzieję, że jesteś głodny.

- Zjadłbym konia z kopytami.

- Bardzo pana przepraszam, ale tego dania nie mamy w menu. Chciałeś mi coś powiedzieć?

- Harry wiedział, że Fitch ma magazyn gdzieś na East Endzie. Nigdy nie był w środku, ale jego kumpel tak, no i dokładnie go opisał. Fitch śpi w małym, brudnym pokoiku. Ten cały magazyn to jedna wielka hala, zupełnie pusta, z podłogą ze starych desek. Noel doskonale zna to miejsce.

- Dlaczego właśnie on?

- Ponieważ to on jest strategiem. Znalazł sobie idealnego faceta do brudnej roboty. Właściwie go oceniałem z tym jego akcentem z prywatnej szkoły i w ogóle...

- Siadaj i jedz.

Na żądanie Nelsona i przeciw opinii lekarzy trzej bracia zostali wypisani ze szpitala po tym, jak obiecali, że będą pić dużo wody. Właśnie szli po prowadzących do wyjścia schodach, oczywiście pod obserwacją lekarza, kiedy Nelson potknął się, złapał za poręcz.

- Spodziewam się, że wkrótce się zobaczymy - powiedział lekarz.

- Jesteśmy biznesmenami - odburknął Nelson - a nie lekarzami zarabiającymi na pieprzeniu w bambus parę godzin dziennie.

- Ani słowa więcej - ostrzegł Benton swym charakterystycznym cichym, spokojnym głosem.

Na ulicy przed szpitalem czekała wezwana przez Nelsona limuzyna. Drzwiczki otworzył szofer w uniformie. Ledwie zajęli miejsce w samochodzie, Nelson zaczął wydawać instrukcje kierowcy.

- Spieszymy się do biura. Jedź. I to gazem.

W pobliżu Traf algar Square limuzyna ugrzęzła w beznadziejnym korku. Noel wyjrzał przez okno. Zatrzymali się przy kiosku z gazetami. Wskoczył z samochodu. Kierowca wzniósł oczy do nieba, mógł ruszyć niemal w tej samej chwili, gdy pasażer wysiadł. Tymczasem Noel poprosił o „Daily Nation”, zapłacił, wrócił na miejsce i zaczął czytać.

- Spodziewasz się dobrych wiadomości? - zakpił Benton.

- Nigdy nic nie wiadomo...

Przerwał i jął kląć pod nosem najgrubszymi możliwymi słowami.

Newman jechał pierwszy, Paula trzymała się za nim. Tuż przed Park Crescent przycisnęła klakson. Bob spojrzął we wsteczne lusterko. Wysiadła z samochodu. Kupiła „Daily Nation”, najnowsze wydanie; sprzedawca powiedział jej, że dostarczono je kilka chwil temu.

Rzuciła gazetę na siedzenia pasażera, odjechała od krawężnika. Na Park Crescent przede wszystkim zajęła się lekturą felietonu Drew Franklina. Uśmiechnęła się, uniosła pięść w geście tryumfu.

- Jest tam coś aż tak podniecającego? - zainteresował się Tweed.
- Trzy razy „hura” dla Philipa Cardona! Harry, miałeś pomóc mu w sprawie tej barki czy statku przy tle St-Louis. O co dokładnie chodziło?
- To była raczej trudna operacja. Mieliśmy sprzęt do nurkowania. Zamierzaliśmy poczekać, aż motorówkami przywiozą na statek Słowaków z drugiego autobusu. A kiedy pasażerowie zejść do ładowni, planowaliśmy przyczepić pod dnem trzy miny z uchwytnymi magnetycznymi, ja dwie, Cardon jedną. Musielibyśmy dotrzeć do przystani, a ładunki umieścić na obu burtach przy dziobie, to było moje zadanie, i jeden na rufie. Te miny zamierzaliśmy odpalić sygnałem radiowym z przeciwnego brzegu. Dlaczego pytasz?
- Możesz mi dać tę gazetę? - poprosił Tweed.

Paula niemal podbiegła do jego biurka. Pokazała mu pierwszą stronę z tekstem Franklina.

IMIGRANCI-SABOTAŻYŚCI ZGINĘLI NA SEKWANIE

Wczoraj wieczorem klęskę poniósł wyrafinowany plan przemylenia na teren Wielkiej Brytanii sabotażystów ze Słowacji. Zaczumowanym przy brzegu naprzeciw Ile St-Louis statkiem, którym mieli przepłynąć kanał La Manche, wstrząsnęła potężna eksplozja. Francuska policja nadal poszukuje ciał ofiar wybuchu.

- A więc Philip zrobił to sam - zauważył Tweed. - Doprawdy, po winienem wysłać mu więcej pieniędzy. Wyeliminował resztkę armii morderców Radka. Cardon jest jedyny w swoim rodzaju.

Bracia dotarli wreszcie do siedziby Konspiracji. Noel był w furii. Papuga popełniła błąd, odzywając się nie pytana:

- Wyglądasz znacznie lepiej. Nie wiedziałam, jak niebezpieczny może być ten gaz. Wyglądasz świetnie.

- Czyżby? Jeśli tak, to bynajmniej nie dlatego, że muszę na ciebie patrzeć, ty krowo.

- Coś ty powiedział?! - wrzasnęła Papuga.

- Powiedziałem: krowo, ty krowo. A teraz rusz swój tłusty tyłek. Potrzebujemy kawy. Litrów kawy!

Noel Macomber wyglądał groźnie. Zacisnął pięści, machał nimi, jakby rzeczywiście zamierzał ją uderzyć. On jest w stanie to zrobić, pomyślała. Uciekła do sąsiedniego pokoju, zatraskując za sobą drzwi.

Noel zasiadł przy trójkątym stole. Nelson patrzył na niego gniewnie, a kiedy się odezwał, widać było, że z trudem powstrzymuje gniew.

- Słuchaj, ta kobieta jest ważnym członkiem naszego zespołu. Załatwia całą papierkową robotę i jest w tym naprawdę dobra.

- Nic z tych rzeczy. Przenosi je tylko z pokoju do pokoju i zwała na biurko Coral Flenton.

- Ośmielasz się mi sprzeciwiać? - Nelson pochylił się, oparł łokcie na stole. Oczy błyszczały mu groźnie. - Chyba zdajesz sobie sprawę z tego, że nie jesteś niezastąpiony?

- Nerwy zagrały, nic więcej. - Noel szybko odzyskał panowanie nad sobą.

- Przepraszam cię, a raczej was obu. Niedawno wróciłem z Francji. Chyba jestem po prostu zmęczony.

- A jak ci poszło we Francji? - Nelson uśmiechnął się złośliwie.
- Głównie dobrze, ale były też kiepskie momenty. Nie da się wygrać za każdym razem.
- Czy to nazywasz kiepskim momentem? - spytał Benton głosem jak zwykle łagodnym, przesuwając w stronę brata wycinek gazety z artykułem Franklina. Noel przeczytał go ponownie równie pilnie jak za pierwszym razem. Skinął głową.
- Ktoś zrobił dobrą robotę - przyznał, uśmiechając się ujmująco. - Mieli być kadrami naszego oddziału specjalnego. „Głównie dobrze” polega zaś na tym, że Radek jest już w Londynie. Ten facet to prawdziwy skarb. Twardy jak granit, a w dodatku potrafi myśleć.
- A więc trzeba go kontrolować - powiedział Benton. - To i owo o nim słyszałem.
- U nas załatwia się sprawy inaczej niż na kontynencie. Noel odzyskał pewność siebie. Uznał, że nadeszła pora, by pokazać, kto tu rządzi. Uśmiechnął się do braci. Przemówił zdecydowanym tonem, musiał mieć pewność, że dobrze go rozumieją.
- Powinienem raczej powiedzieć, że u nas sprawy załatwiano inaczej niż na kontynencie. Pomyślmy o tym, co zdarzyło się wczoraj wieczorem. Przed wyjściem z tego budynku zaatakowano nas - nas wszystkich, łącznie z tobą, Bentonie - granatami łzawiącymi tak skutecznie, że wylądowaliśmy w szpitalu. Jak myślicie, kto zaaranżował ten atak? Tweed, oczywiście. Musimy mu odpłacić pięknym za nadobne. Zniszczyć jego reputację na zawsze. A potem, znacznie brutalniej, załatwimy się z jego jednostką. Inaczej mówiąc, wyeliminujemy ją. A przynajmniej wyślemy do szpitala na długi czas. Ale jeśli się będą bronić, to może i szpital nie wystarczy? Zgadza się?
- Moim zdaniem dobrze mówisz - przytaknął Nelson. - No, to bierzemy się do roboty.

Rozdział 23

Wśród funkcjonariuszy różnych rodzajów służb bezpieczeństwa Tweed znany był przede wszystkim z niezwykle rozwiniętej intuicji, zdolności przewidywania następnego ruchu przeciwnika. Przed chwilą wysłuchał relacji Butlera i Marlera, chętnie chwalać się gambitem z granatami łzawiącymi. Marler zdążył nawet obdzwonić szpitale i dowiedzieć się, że Konspiracja solidarnie przechodzi kurację medyczną.

- Bitwa z naszymi przeciwnikami stanie się jeszcze bardziej zażarta. Jestem pewien, że teraz, kiedy mocno ich trafiliśmy, nie ukryją się za gardą. Musimy przygotować się do odparcia kontrataku świadomi, że nikt nie będzie brał jeńców. Najlepiej byłoby, gdybyśmy uderzyli pierwsi. Chcę skompromitować tych trzech, tak by stracili stanowiska państwowe. Marler, Newman, zajmijcie się opracowaniem strategii. Ja muszę znaleźć mordercę Violi.
- Powinnam odwiedzić Coral dziś wieczorem - powiedziała Paula. - Wyciągnąć z niej wszystko, co może wiedzieć. Czasami kobieta lepiej dogaduje się z kobietą niż z mężczyzną. Co nie znaczy, że cię krytykuję, Bob - dodała szybko.
- Zgoda. - Tweed skinął głową. - Przy okazji spróbuj dowiedzieć się czegoś o Violi. Bardzo nam brakuje informacji.

- A ja? - zapytał Nield.
- I ja? - warknął Butler.
- Wy obaj macie pilnować Pauli. Ale trzymajcie się w cieniu, Coral nie może was zauważyć. Mam wrażenie, że Paula jest celem podstawowym.
- Nie tylko ty masz takie wrażenie - przytaknął Harry.

Dziewczyna podeszła do okna, przełożyła dźwignię. Umieszczone na zewnątrz rolety ze skośnych pasków stali zaczęły opadać powoli. Zaprojektowano je tak, by wytrzymały nawet wybuch granatu.

- Teraz jesteście bezpieczni - powiedziała.
- Powiniennem wcześniej o tym pomyśleć - przyznał się do błędu Newman. - I o tym, że George na dole powinien mieć broń. Wszyscy wiemy, jak dobrze się nią posługuje.

- Zgoda - przyznał Tweed. - A ja tymczasem skontaktuję się z Bentonem. Ciekawe, dlaczego chciał się ze mną zobaczyć akurat wtedy, kiedy nie było mnie w kraju.

Godzinę później Noel w starej czapce z daszkiem, podartym ubraniu i znoszonych butach stał w pustym magazynie, w towarzystwie Fitcha i Radka.

- Rozpoczynamy otwartą wojnę z Tweedem i jego zespołem oznajmił, używając przy tym wyrażen, których nie ośmieliliby się użyć w siedzibie Konspiracji. - Najważniejsi są Tweed i ta jego dziwka Paula.

- To ich zabijmy - zaproponował Fitch.
- Mam lepszy pomysł - wtrącił Radek. - Możemy doprowadzić ich do szaleństwa. Nieodwracalnego szaleństwa. Resztę to wystraszy. Pozbawimy ich dowództwa.

- Interesujący pomysł - przyznał Noel z sadystyczną radością.

Podoba mi się, ale jak masz zamiar tego dokonać?

Radek otworzył wielką walizę, którą przyniósł tutaj. Wyjął z niej kilka monitorów i cztery projektory. Monitory powiesił na gwoździach wbitych w cztery ściany magazynu. Odwrócił się, spojrzał na Noela z błyskiem w oku.

- Gdziekolwiek spojrzą, będą widzieli obraz - wyjaśnił. - W podłogę trzeba wpuścić żelazne pierścienie. Do nich przy wiąże się Tweeda i tę jego Paulę. Oszaleją w ciągu mniej więcej godziny.

- Nadal nic nie rozumiem - zaprotestował Noel.
- Jeszcze chwila. Nawet krótka demonstracja może wywołać mdłości, ale to wam przejdzie. Weźcie zatyczki do uszu, inaczej możecie ogłuchnąć.

Podłączył projektory, po jednym na monitor. Z walizki wyjął kolejne urządzenie, ustawił je na podłodze. Włożył do niego film, zapalił latarkę, zgasił wiszące u sufitu lampy.

Noel zaczynał się denerwować. Radek ustawiał jakieś niezrozumiałe dla niego, piekielne maszyny! Słowak dostrzegł jego niepokój i nagle zaświecił mu silną latarką wprost w oczy.

- Zabierz tę cholere! - krzyknął Noel oślepiiony.

Radek uśmiechnął się. Uwielbiał patrzeć, jak ludzie się załamują. Była to jego największa życiowa przyjemność. Oświetlił latarką projektory, pochylił się, włączył je jeden po drugim, po czym zgasił latarkę. Wcisnął do uszu zatyczki. Oczekiwał dobrej zabawy.

Na każdym z czterech monitorów pojawiły się filmy. Noel nie potrafił odwrócić wzroku od żadnego z nich. Górski pejzaż, na ziemi leży śnieg. Grube drewniane pale, do każdego przywiązany nagi mężczyzna. Stoją przy nich inni mężczyźni, uzbrojeni w wielkie topory.

Przyglądał się temu ze ściągniętą twarzą.

Zwrócił uwagę na pierwszy z pali. Potężny zamach toporem odcina stopę w kostce. Fontanna krwi. Kolejny cios wymierzony w drugą nogę. Jeniec szeroko otwiera usta, krzyczy przeraźliwie z bólu i strachu. Kolejny cios odrąbuje rękę.

Noel zmusił się do spojrzenia w inny monitor. Pokazywał bardzo podobną scenę, tylko tu topór rozcinał głowę aż do szyi.

Radek sięgnął po pokrętko stojącego na podłodze urządzenia, przekręcił je. Fitch nie zapomniał o zatyczkach do uszu, ale Noel owszem. Potworny krzyk wstrząsnął ścianami magazynu.

Noel zatkał sobie uszy. Ten piekielny wrzask wstrząsnął nim do głębi.

Było to istne szaleństwo. Potworne obrazy, przenikliwe wrzaski, to rosnące, to słabnące, słyszalne mimo zatyczek. Noel widział Fitcha siedzącego na podłodze, wpatzonego to w jeden ekran, to w drugi. Uznał, że może wyjść z magazynu; przecież wiedział już, jak Radek zamierza uporać się z Tweedem i Paulą. Krzyknął, rozkazując Słowakowi włączyć światła.

Kiedy Radek oświetlił latarką drzwi, dostrzegł uciekającego przez nie szefa. Taki nie przeżyłby długo w wysokich Tatrach. Rozbawiło go, że Noel Macomber prysnął tak szybko. Nie widział powodu, by wyjawic, że zatyczki, które dostał Noel, nie były tak skuteczne jak wręczone Fitchowi. Wyłączył projektory. Obraz znikł z monitorów.

- Tylko pomyśl, co godzina takiego spektaklu zrobi z Tweeda i Pauli - powiedział do Fitcha, który już wyjął zatyczki z uszu. - Dwoje do tej pory normalnych ludzi zmieni się w szaleńców. Resztę życia spędzą w szpitalu dla umysłowo chorych.

Rozdział 24

Siadaj, proszę, Benton - powitał gościa Tweed. - Kawa? Herbata? -Kawa, jeśli mogę prosić.

Tweed złapał Bentona Macombera telefonicznie w jego domu w Hampstead. Członek Konspiracji natychmiast zgodził się go odwiedzić.

W biurze na Park Crescent oprócz szefa były tylko Paula i Moni-ca. Tweed uznał, że młody Macomber będzie czuł się swobodniej pod nieobecność innych członków zespołu. Przez chwilę przyglądał się gościowi.

Benton był niższy od Nelsona. Miał niewiele ponad czterdziestkę. Tweed starał się ocenić zarówno jego powierzchowność, jak i osobowość. Okrągła głowa, na jej szczycie równie okrągła łysina. Małe, sprytnie zielone oczy, ciężkie powieki. Konserwatywny szary garnitur, niesprawiający wrażenia szczególnie drogiego. Benton wydawał się człowiekiem o wręcz perfekcyjnej samokontroli. Monica przyniosła kawę. Podziękował jej uprzejmie. Poprosił o czarną.

- Bardzo mi przykro - powiedział uprzejmie Tweed - że nie mogłem służyć, gdy zadzwoniłeś z propozycją spotkania. Czegoś się obawiasz, prawda?

- Bardzo bystra obserwacja - powiedział Benton swym charakterystycznym cichym, spokojnym głosem. - Chciałbym spytać, czy wysłałeś już raport do premiera.

- Jeszcze nie. Może zrobi to mój dyrektor, Howard. Właśnie wrócił z podróży za granicę.

- Rozumiem. - Benton upił łyk kawy. Spojrzał na Paulę. - A gdzie moje maniere? Zachowałem się tak, jakbym pani nie zauważył. Proszę o wybaczenie.

- Ależ nic się nie stało. - Paula uśmiechnęła się uroczo. - Miło mi pana widzieć.

- Boję się - powiedział Benton. - Boję się, że między naszymi wydziałami doszło lub wkrótce dojdzie do wojny. Jest to co najmniej niewłaściwe, a może być wręcz groźne.

Tweed uznał za wskazane zaatakować z zaskoczenia.

- A wszczął ją Horlick, twój przyrodni brat?

- Och, a więc wiesz o Noeżu? - Benton roześmiał się, spojrzawszy na Paulę. - Jestem pod wrażeniem. Masz doskonale źródła informacji. A nie powinienem, przecież twoja reputacja jest doskonale znana. Jest najmłodszy, czasami zachowuje się odrobinę nieodpowiedzialnie.

- Wystarczająco nieodpowiedzialnie, by skrócić kotu kark? - spytała Paula. Terapia wstrząsowa musiała w końcu przynieść pożądane rezultaty.

- Czy wolno mi spytać, skąd wiecie o tych sprawach?

- Ktoś zrobił zdjęcie kolumny przy bramie wjazdowej do rezydencji twojego ojca - zełgał Tweed. - Ktoś inny już tu, w Londynie, opowiedział nam o tym tajemniczym incydencie.

- Tajemniczym? Tak, to właściwe słowo. Do dziś nie udało się nam odkryć sprawy.

- Oto wstępna wersja mojego raportu napisanego dla pana Howarda. - Tweed wyjął z szuflady gruby wydruk. - Podkreślam, wstępna. Może to i owo wymagałoby złagodzenia. - Podał plik papierów gościowi.

Benton Macomber założył na nos okulary bez oprawki i zabrał się do lektury. Paula zauważyła, że okulary bardzo go zmieniają; wyglądał w nich tajemniczo i groźnie.

- To tylko kopia, ale muszę ją zachować - powiedział cicho Tweed.

Benton powoli przewracał kartki. Spojrzał na rozmówcę ciężkim, nieruchomym spojrzeniem.

- Mam szczerą nadzieję, że zostanie stonowany - powiedział cicho.

- Poczekamy, zobaczymy.

Paula widziała, że Benton, najwyraźniej wytrącony z równowagi, zaczyna zwijać plik papierów, gniecie go w obu dłoniach. Na ten widok zadrżała. Sam ten ruch skojarzył się jej ze skręcaniem karku kotu. Jakby telepatycznie przekazała mu tę myśl, Benton obrócił się nagle i spojrzawszy wprost na nią. Jego oczy, ukryte za okularami, wydały się jej niepokojące. Doktor Jekyll i pan Hyde, pomyślała.

- Oj, nie! Bardzo mi przykro. - Benton znów zwrócił się wprost do Tweeda. - Przez prostą bezmyślność uszkodziłem twój egzemplarz. - Grubymi palcami wygładzał kartki, złożył je jakoś, pchnął przez biurko.

- Nie ma się czym przejmować. Przecież to tylko kopia. Pomówmy o tym, co proponujesz zrobić, by uspokoić sytuację, która - tu się z tobą zgadzam - pogarsza się z godziny na godzinę.

- A ty co proponujesz?

- Touche! - Tweed podniósł ręce do góry. - Na razie obaj tylko kręcimy się w

kółko. Ale ty możesz porozmawiać ze współpracownikami.

- Z całą pewnością z nimi rozmawiam. - Benton zdjął okulary. - Czy mogę założyć, że postąpisz podobnie?

- Zależy to wyłącznie od rozwoju sytuacji.

- Co to ma znaczyć? - Benton dopił kawę. Uśmiechnął się i powiedział do Moniki: - Tak dobrej kawy nie piłem od dłuższego czasu. Serdecznie dziękuję.

- Ma znaczyć to, że ataki na moich ludzi nie mogą się powtórzyć.

Przerwał, gdyż ktoś z zewnątrz rzucił coś, co odbiło się od stalowych osłon na oknach, opuszczonych przez Paulę, upadło na ulicę i wybuchło. Dziewczyna podbiegła do okna. Zdażyła zobaczyć mężczyznę w czarnym płaszczu, wskakującego do forda i odjeżdżającego z piskiem opon. Na szczęście w tym akurat momencie na ulicy nie było ruchu.

Tweed wstał.

- Granat - powiedział. - O tym właśnie mówię.

- Chwała Bogu, na chodniku nikogo nie było - warknęła Paula. - Inaczej uprzętalibyśmy trupy.

- Oczywiście. - Benton wstał. - Nie sugerujecie chyba, że ma to coś wspólnego z nami?

Tweed uśmiechnął się ponuro.

- Sugeruję, że powinieneś wrócić do siebie i odbyć długą rozmowę ze współpracownikami. A tak przy okazji, czy uprzedziłeś braci, że zamierzasz mnie odwiedzić?

- Nie. Obaj wyszli i... - Benton zamilkł, jakby uznał, że popełnił błąd. Co najmniej zasugerował przecież, że ktoś, kto rzucił granat, nie zrobiłby tego, gdyby wiedział, że może go zranić. - Ale wspomniałem im wcześniej, że mam zamiar się z tobą zobaczyć - dodał szybko.

- Co to znaczy „wcześniej”? - Tweed wykorzystał okazję, nacisnął go mocno.

- Chyba lepiej będzie, jeśli na tym zakończymy nasze spotkanie. Rozejm?

- Benton wyciągnął rękę, ale Tweed udał, że nie dostrzegł tego gestu. Wyszedł zza biurka i uprzejmie otworzył gościowi drzwi.

Rozdział 25

Zbliżał się wieczór. Paula jechała na spotkanie z Coral Flenton. Zapowiedziała się telefonicznie i Coral wydawała się bardzo uradowana perspektywą spotkania. Tweed zaplanował Pauli ochronę, na co zgodziła się bez słowa sprzeciwu; ostatni atak, granat wybuchający na ulicy, wstrząsnął nią do głębi. Ochrona miała być murowana.

- Mamy przeciw sobie ludzi bezlitosnych, gotowych na wszystko - tłumaczył Tweed. - Rozmowa z Bentonem wcale mnie nie uspokoiła.

Paula dojechała do Covent Garden o zmroku. Na niebie wisiały ciężkie chmury. Za nią jechał swoim samochodem Newman, za Newmanem Nield. Wyprzedził ich motocyklista; Harry minął wjazd na parking domu, w którym mieszkała Coral, i zatrzymał się kilka metrów dalej.

Paula zauważyła, że miejsce, na którym parkowała podczas pierwszej wizyty, jest puste. Zajęła je, wysiadła z samochodu, wrzuciła monety do licznika parkingowego. Nield i Newman również znaleźli wolne miejsca. Z góry zaplanowali, gdzie każdy z nich będzie czekał. Newman kupił kubek kawy oraz

gazetę; udawał, że czyta ją pilnie przed bramą domu Coral. Pamiętał zdjęcie, które ktoś przesłał im anonimowo, przedstawiające scenę z Fox Street, i z pewnym niepokojem obserwował oświetlone okno na pierwszym piętrze.

Drzwi otworzyły się, gdy tylko Paula przycisnęła dzwonek. Coral przywitała ją serdecznie, objęła i mocno przytuliła. Paula piętą zatrzasnęła drzwi.

Wspięły się po schodach na piętro. Weszły do pokoju dziennego umeblowanego skromnie, lecz z gustem.

- Coś cię martwi? - spytała Paula, siadając na kanapie.

- Niestety, tak. Szczerze mówiąc, nie wiem, co się wokół mnie dzieje.

Coral uniosła szklaneczkę do ust. Paula pociągnęła nosem; tak, to musiała być brandy. Butelka, co zauważyła dopiero teraz, stała na

niskim stoliku przy kanapie. Gdy gospodyni zaproponowała jej drinka, poprosiła o wino.

- Ktoś cię niepokoi? - spytała, biorąc kieliszek.

- Tak, Papuga. Nie potrafię powiedzieć, czego, do diabła, ode mnie chce. Przez całe miesiące mnie poniżała, a teraz nagle zrobiła się przyjacielska. Zabiera mnie na kolacje w drogich restauracjach, posunęła się nawet do sugestii, że we dwie, pracując ramię w ramię, poradziłybyśmy sobie z tymi nieokrzesanymi facetami z sąsiedniego pokoju. Jestem bardzo ostrożna. Ona ma straszny temperament. A ja czekam na awans i przeniesienie do innego wydziału. Nie chcę, żeby znów się do mnie przyczepiła, żeby znalazła jakiś powód, by mnie wywalić. Potrzebuję pieniędzy!

- I nic więcej? Chociaż przyznaję, że i to wystarczy.

- Nie mogę przestać myśleć o biednej Violi. Mówiłam ci już, że chodziłyśmy razem do szkoły. W gazecie przeczytałam, co jej zrobił morderca. Nie mogę przestać o tym myśleć. Mam koszmary. Ciekawe, co sądzi o tym jej siostra bliźniaczka, Marina.

- Marina? - powtórzyła Paula. - Nic o niej nie wiedziałam. Bliźniaczka. Dobrze ze sobą żyły?

- Nie. - Coral przerwała, naląła sobie kolejnego drinka. - Bo rozumiesz... obie prowadziły podobny styl życia.

- Chodzi ci o mężczyzn?

- Owszem. Może to zabrzmie okropnie, ale one ze sobą konkurowały.

- Jak to?

- Cenami. Pieniędzmi, których żądały za swe usługi. Jeśli rozumiesz, co mam na myśli. - Coral wychyliła kolejną szklaneczkę. - Z pewnością dotyczy to Mariny. Violi chyba nie. To znaczy nie starała się liczyć sobie więcej za wiesz co niż siostra.

- Rozumiem. - Paula wypiła łyk wina. Trafiała na nowy trop, o tym jeszcze nikt nie wiedział. - A gdzie Marina mieszka?

- Ma luksusowe mieszkanie przy przecznicy Mayf air. Chcesz adres?

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu...

Przyglądała się dziewczynie zapisującej adres na kawałku papieru. Coral pisała niepewnie, z wahaniem. Nerwy? A może wpływ alkoholu? Ubrana była bezpretensjonalnie, po domowemu, w dżinsy i białą bluzkę zapiętą pod szyję. Wręczyła gościowi kartkę wyrwaną z notatnika, zapisaną czytelnym, choć

nierównym pismem. Paula złożyła karteczkę, schowała ją w torebce, w kieszonce zapinanej na zamek błyskawiczny.

- Dziękuję.

- Zapisałam jej adres i numery telefonów, stacjonarnego i komórkowego.

- Viola przekazała ci te informacje, prawda? - spytała łagodnie Paula.

- No właśnie. Wpadłam kiedyś do niej na drinka, do mieszkania na Fox Street. Spytała, czy nie mogłabym spotkać się z Mariną. Żeby jakoś poprawić ich wzajemne stosunki. Nie spotkałam się z nią. Nie podobał mi się ten pomysł.

- To chyba mądra decyzja. Nie jesteś głodna? Bo ja tak.

Paula uznała, że pora na wizytę w restauracji, nim Coral wykończy butelkę brandy. Przy drzwiach do mieszkania zauważyła, że zamek jest bardzo prosty.

- Nawet w Covent Garden można spotkać dziwnych ludzi - powiedziała.

-Poczułabym się lepiej, gdyś założyła coś lepszego. Takiego jak banham i chubb...

- Miło, że myślisz o moim bezpieczeństwie...

- Czy któryś z tych trzech facetów czynił ci jakieś propozycje? - spytała Paula, kiedy wychodziły z mieszkania.

- Nelson nie sprawia żadnych problemów. Czasami nie podoba mi się, jak patrzy na mnie Benton, zwłaszcza przez te swoje okular-ki. Bronić muszę się przede wszystkim przed Noelem, ale z nim potrafię sobie poradzić. Chyba nie jestem odpowiednio ubrana na kolację.

Paula obejrzała ją od stóp do głów. Oceniała, że Coral wygląda świetnie ze swoimi gęstymi rudymi włosami upiętymi do góry. Ścisnęła jej ramię.

- Wyglądasz wspaniale. Ja też nie przygotowałam się na wizytę w Ritzu. Pójdziemy tam, gdzie nikt nie wystroi się jak na wybieg dla modelek.

Wyszły na dwór. Zrobiło się zimno, Coral włożyła kurtkę. Paula dyskretnie rozejrzała się dookoła. Jej ochrona pozostała niewidzialna... ale z pewnością gdzieś była blisko.

- Marina? Siostra bliźniaczka? - spytał Tweed, nie kryjąc zdumienia. Paula wróciła ze spotkania z Coral Flenton bardzo późno. Oprócz nich w biurze pozostali tylko Marler i Monica. - Gdzie jest tych trzech, których za tobą posłałem? - dodał z gniewem.

- Tym możesz się nie martwić - uspokoiła go Paula. - Newman eskortował mnie przez całą drogę, upewnił się, że weszłam tu bezpiecznie, i odjechał, zapewne do Pete'a i Harry'ego. Chyba będą teraz obserwować dom Coral. Moim zdaniem to niegłupi pomysł. Nie wiadomo, kto obserwował mnie, kiedy wychodziłam.

- W takim razie rzeczywiście mądrze się zachowali. Dostosowali się do zasady, którą wbijam w głowę wszystkim moim współpracownikom: myślcie samodzielnie. Opowiedz mi teraz o spędzonym z Co rai wieczorze.

- Nim zacznę... tu masz informacje o Marinie. Adres i tak dalej.

Tweed oddał karteczkę Monice, poprosił o wpisanie informacji do bazy danych. Po chwili sekretarka zwróciła ją szefowi.

- Zapamiętałam wszystko - powiedziała. - Zarejestruję to w książce adresowej. Paula miała wiele do powiedzenia. Przekazała wszystko, czego dowiedziała się od Coral, wraz ze swoimi komentarzami. Wiedziała oczywiście, że siedząca za jej

plecami Monica, stenografująca w tempie stu trzydziestu słów na minutę, zapisuje każdy szczegół.

Tweed siedział nieruchomo jak posążek Buddy; patrzył jej w oczy, ale ani razu nie mrugnął. O jego umiejętności koncentracji krążyły legendy.

- Teraz wiesz już wszystko - powiedziała Paula na koniec. - Zadowolony?

- Zaraz przygotuję raport - oznajmiła Monica. - Ile potrzebujesz kopii?

- Pięć, jeśli mogę prosić - odparł Tweed. - Po jednej dla każdego członka zespołu. W tej sytuacji najważniejsze jest, by każdy z nas dysponował pełnią informacji. Pytasz, Paulo, czy jestem zadowolony. Jestem bardzo zadowolony. Twoje spotkanie z Coral okazało się ważniejsze, niż ktokolwiek mógłby przypuszczać. Okazało się... znaczące. To chyba właściwe słowo.

- Dlaczego? - zdziwiła się.

- Ponieważ wiemy teraz, że Papuga prowadzi jakąś skomplikowaną grę. I dzięki tobie dowiedzieliśmy się o istnieniu Mariny. Będę musiał z nią porozmawiać.

- Chcesz, żebym z tobą pojechała? Dla ochrony? - spytała z ironią Paula.

- Do tej pory doskonale potrafiłem sam uchronić się przed uroczymi i drapieżnymi kobietami. Dziękuję ci za profesjonalne wykonanie zadania. A teraz mam zamiar zrobić coś, co powinienem zrobić dawno, ale byliśmy bardzo zajęci.

- Co takiego?

Tweed zerknął na zegarek.

- Odwiedzić miejsce zbrodni na Fox Street. Jeśli zaraz wyjadę, powinienem dotrzeć tam mniej więcej w czasie, w którym, zdaniem Saafelda, popełniono tę ohydłą zbrodnię.

- Pojadę z tobą. To chyba oczywiste - rzekł Marlen

- No... dobrze.

Tweed zgodził się niechętnie, ale wiedział, że tak naprawdę nie może się nie zgodzić. Nie teraz, kiedy swoim pracownikom wbijał w głowy bezwzględną konieczność stosowania się do zasad bezpieczeństwa. Wstał. Paula zeskoczyła z jego biurka, na którym siedziała podczas rozmowy. Położył jej dłonie na ramionach i powiedział z naciskiem:

- Nie wolno ci opuścić tego budynku przed powrotem Boba, Pe-te'a lub Harry'ego. Będą cię eskortować do domu, sprawdzą każdy kąt, prześpią się na sofie w dużym pokoju i łóżku w gościnnej sypialni...

- Na litość boską! - nie wytrzymała Monica. - Nie musisz nic mówić, przecież i tak by to zrobili. Masz atak paranoi?

Tweed chwycił marynarkę; włożył ją, zbiegając po schodach, a za nim pobiegł Marler. Zapadła noc, pogodna i chłodna. Tweed wskoczył za kierownicę, Marler na tylne siedzenie. Nagle otworzyły się trzecie drzwi, miejsce przy kierowcy zajęła Paula. W ostatniej chwili, bo Tweed już włączał silnik. Chciał zaprotestować, ale dziewczyna go uprzedziła.

- Ani słowa. Powiedziałaś kiedyś, że gdybyś wypadł z akcji, ja przejmuję dowodzenie. Poza tym wy dwaj potraficie mnie chyba obronić. A to przecież nie wszystko. Jedziemy odwiedzić mieszkanie biednej kobiety, którą w potworny sposób zamordowano. Ja też je stem kobietą. Mogę zauważyć coś, co mężczyźni by przegapili.

Tweed otworzył i zamknął usta. Próbował coś powiedzieć, znowu zrezygnował; Marler, który obserwował go we wstecznym lusterku, pomyślał, że szef dyszy jak wyciągnięta na brzeg ryba. Tweed skręcił w Covent Garden, nie wiedząc, co ma zrobić i co powinien powiedzieć.

Monica powiedziała „paranoja”. Czyżby miała rację? Czyżby przesadził w procedurze bezpieczeństwa? Paula wykonała świetną robotę, wyciągnęła z Coral takie bogactwo informacji, które mogły doprowadzić ich do psychopatycznego mordercy.

- Masz rację - przyznał niechętnie.

Paula nie zareagowała wybuchem radości, nie pokazała po sobie tryumfu. Wyglądała przez okno. Zbliżali się do celu, lada chwila wjadą w Fox Street, ulicę, która miała już swoje miejsce w historii kryminologii.

O tej nocnej godzinie nikt nie wychodził z domu. Koła samochodu zadudniły po bruku. Tweed zwolnił. Jechali uliczką oświetloną rozmieszczonymi z rzadka staroświeckimi latarniami wbudowanymi w ściany domów.

- Jesteśmy prawie na miejscu - powiedziała Paula, która spraw dzała numery widoczne dzięki temu, że tabliczki były podświetlone.

- Jeszcze kilka metrów...

Tweed zaparkował na chodniku. Widzieli już dom Violi, nadal otoczony policyjną taśmą. Wsiadali z samochodu, kiedy otworzyły się frontowe drzwi. Marler sięgnął po broń.

- To nadinspektor Hammer - ostrzegł go Tweed.

Krępy policjant stał z rękami w kieszeniach płaszcza. To błąd, pomyślał Tweed. Zwłaszcza w tej dzielnicy. Gdyby ktoś go zaatakował, z całą pewnością nie zdążyłby wyciągnąć pistoletu. Podszedł do Hammera, który nie okazał żadnej radości na jego widok.

- Powiedziałbym, że trochę się spóźniłeś. Wszystko dokładnie przeszukaliśmy. I nie znaleźliśmy nic.

- Próbuję wczuć się w atmosferę, jaka musiała tu panować w chwili morderstwa. Nie jest to przesadnie ruchliwe miejsce. Poza **tym** chyba zapomniałeś, że to ja prowadzę śledztwo.

- A co wyrabia ta twoja dziewczyna? - spytał Hammer niezbyt uprzejmie.

- To nie jest moja dziewczyna i właśnie przeszukuje ulicę na wypadek, gdyby morderca coś zgubił. Czy twoi ludzie się tym zajęli?

- Strata czasu. Kiedy przyjechaliśmy, frontowe drzwi były zamknięte. Co sugeruje, że ofiara знаła mordercę. A może jesteś innego zdania?

- Możliwe, że masz rację. Z drugiej strony jeśli spodziewała się gościa, mogła zejść na dół, by otworzyć mu drzwi. O tym nie pomyślałeś? A może jednak?

Hammer chrząknął. Ignorował Tweeda, patrzył na Paulę chodzącą po uliczce z latarką w rękę. Nagle coś dostrzegła, schyliła się. W szczelinie pomiędzy dwoma kamieniami leżał pierścionek z diamentem. Włożyła jednorazowe rękawiczki, podniosła go.

- Jestem pewien, że nie ma to żadnego znaczenia - warknął policjant.

Paula podeszła do szefa, pokazała mu pierścionek, świecąc latarką. Tweed widział go wcześniej - podczas kolacji w Mungano's, na środkowym palcu prawej ręki Violi. Kiedy odwiedzili Saafelda, w kostnicy dostrzegł ślad; morderca musiał

zerwać go z odciętej dłoni, a potem zgubić na ulicy, po wyjściu z domu.

Hammer znów chrząknął i odszedł do zaparkowanego w cieniu samochodu. Tweed wyjął foliową torebkę na dowody, wrzucił do niej pierścionek i schował torebkę do kieszeni.

- Czy to może okazać się ważne? - spytała Paula. - No więc możemy wyrzucić na śmieci gadanie pana inspektora o starannych poszukiwaniach. Tutaj jest niesamowicie - dodała, rozglądając się dookoła. - Aż dostaję dreszczy.

- Wejźmy do domu, w którym straszy - rzekł Tweed. - Klucz mam od Hammera, wołu roboczego, a nie bystrego nadinspektora, którego kiedyś znałem...

Weszli do środka. Paula zauważyła, że drzwi zamykały się na zamek Banham, niełatwy do sforsowania. Tweed namacał wyłącznik, zapalił światło. Marler zamknął za sobą drzwi. Znaleźli się w długim, szerokim korytarzu o ścianach oklejonych gustowną tapetą. Wiódł do mahoniowych schodów z ozdobną poręczą. Weszli na pierwsze piętro. Tweed, który po drodze włożył jednorazowe rękawiczki, otworzył drzwi po prawej.

- Sypialnia - powiedział cicho Marler. - Tu się wszystko zdarzyło.

- Znalazł przycisk, światło zalało spory, gustownie umeblowany pokój.

Paula instynktownie spojrzała w wysokie okno z matową szybą, wychodzące na ulicę. Pozostało na nim zaledwie kilka plam krwi, prawdopodobnie większość zdrapali technicy Saafelda w celu przeprowadzenia badań DNA. Strata czasu. Komisarz Buchanan uprzedził przecież patologa, że była to wyłącznie krewYioli.

Pośrodku pokoju stało podwójne łóżko przykryte białą narzutą. Paula podniosła ją; pod spodem był tylko materac. Prześcieradła i kołdrę zabrano do laboratorium. Na materacu nie dostrzegła śladów krwi, ale to akurat nie było niczym niezwykłym. Na podłodze pod ścianą nakreślono kredą kontury ciała: tu Viola została porąbana i zamordowana, zostały nawet niewyraźne ślady zaschłej krwi, która wsiąkła w parkiet.

Paula systematycznie przeszukiwała pokój.

- Prawdopodobnie nic nam to nie da - zauważył Tweed. - Tę robotę wykonali już eksperci.

- Nigdy nie wierzyłem ekspertom - prychnął Marler stojący przy zamkniętych drzwiach.

Tweed odsuwał i zasuwiał szuflady. Paula stała nieruchomo z zaciśniętymi dłońmi w jednorazowych gumowych rękawiczkach. Gdzie kobieta ukryłaby coś cennego? Podniosła pokrywkę pozytywki. Rozległa się romantyczna melodyjka. Ile razy Viola siedziała na łóżku, słuchając tej melodii? Była to bardzo smutna myśl.

W pudełku Paula znalazła kilka sztuk cennej biżuterii. Wyrzuciła je na dłoń i położyła na toalecie.

- Teraz wiemy, że nie było to morderstwo z chęci zysku - powiedziała -ale tego chyba nie zakładaliśmy nigdy. Bardzo kosztowne drobiazgi.

- Nie powinno się ich tu zostawiać. -Tweed wzruszył ramionami. Kontynuował poszukiwania.

Biżuteria leżała na grubej niebieskiej poduszeczce. Paula wyjęła z torebki pilnik do paznokci, przecięła ją z boku, zajrzała do środka. Znalazła złożoną w kilkoro

karteczkę. Rozłożyła ją, przeczytała: „Marina. Zadzwoń, ułóż sprawę”. Poniżej znajdował się adres i numer telefonu, te same, które dała jej Coral Flenton. Pokazała kartkę Tweedowi.

- Znaleźliśmy coś, co przeczyła policja - powiedział Tweed do Marlera.
- Przecież mówiłem, że nie ufam tak zwanym ekspertom.
- A więc mamy nowy trop. Pojadę do niej, gdy tylko tu skończymy.
- O tej godzinie? - zdziwił się Marler.
- Zakładam, że Marina jest nocnym ptaszkiem, podobnie jak jej siostra, a działanie z zaskoczenia ma swoje zalety.
- A więc oboje pojedziemy z tobą. Nie ma sensu, żebyś sam snuł się po ulicach. Nie o tej porze.
- W porządku, ale nikt was nie może zauważyć. Marina nie powie słowa, jeśli osaczymy ją we troje. No, pora ruszać.

Rozdział 26

Paula dziwnie się czuła, jadąc przez Mayfair o tej godzinie, gdy na ulicy nie było żywej duszy. Wokół panowała niesamowita, może nawet groźna cisza. Wjechali w zaułek, zaparkowali przy krawężniku, wysiedli. Cisza zrobiła się jeszcze głębsza.

Marina miała mieszkanie w starym szeregowym domu; dwa rzędy identycznych domów zajmowały obie strony zaułka. Paula odniosła wrażenie, że znajduje się wśród scenografii teatralnej sztuki z elementami horroru. Tweed wszedł po kilku schodkach i właśnie miał nacisnąć guzik dzwonka, pod którym znajdował się kartonik z nazwiskiem Vander-Browne, kiedy Marler pociągnął go za rękaw.

- Frontowe drzwi są otwarte - szepnął. Na uliczkach takich jak ta człowiek jakoś automatycznie zniżał głos.

Przez uchylone drzwi widać było wąski korytarz i równie wąskie schody prowadzące na piętro.

- Chodźcie za mną. - Teraz i Tweed szeptał. - Mieszkanie jest na trzecim piętrze.

Powoli wchodzili po schodach przykrytych czerwoną wykładziną. Gdy znaleźli się już na trzecim piętrze, Tweed podniósł wzrok. Nad sobą mieli jeszcze piętro czwarte. Marler dał szefowi dziwnie wyglądający gwizdek, a do ucha włożył słuchawkę ze znikającym pod płaszczem przewodem.

- Ja z Paulą zostaniemy tutaj i nie będziemy się wychylać - po wiedział. - Jeśli wpadniesz w kłopoty, gwizdź. Ona cię nie usłyszy, tylko ja.

Tweed podszedł do głośniczka umieszczonego przy ciężkich, masywnych drzwiach. Nacisnął przycisk dzwonka, ale nie doczekał się żadnej reakcji. Spróbował jeszcze raz. Kłapka zasłaniająca judasz umieszczony w drzwiach na wysokości głowy odchyliła się nagle. Zobaczył twarz kobiety. Podniósł portfelik z odznaką.

- Prowadzę śledztwo w sprawie morderstwa Violi - powiedział krótko. - Czy moglibyśmy porozmawiać?

- O tej godzinie? - Przez kratkę zasłaniającą okienko wypłynął kłęb papierosowego dymu. - A w ogóle to kim pan jest?

Głosem tej kobiety można by ciąć szkło. Powtórzyła pytanie jeszcze mniej uprzejmie.

- Wie pani, kim jestem. Widziała pani legitymację. SIS. Nazywam się Tweed.
- Ach, Tweed! O cholera, jak dobrze, że się jeszcze nie położyłam. Wstaję późno. Nie można palić świecy z obu końców.

Obróciły się klucze w trzech zamkach, trzasnął odpinany łańcuch. To mieszkanie było prawdziwą fortecą! Wreszcie Tweed mógł już wejść do środka. Ku jego uldze pani domu zamknęła drzwi tylko na jeden zamek i zostawiła w nim klucz.

- Proszę wypić ze mną drinka - powiedziała, mierząc go spojrzeniem od stóp do głów. - Może pan zapalić.

Tweeda zaskoczyło wielkie fizyczne podobieństwo Violi i Mariny. Obie miały identyczne gęste, jasne włosy, chociaż Marina przycinała je nieco krócej. Poza tym na pierwszy rzut oka widać było, że jest twarda, czego nie dało się powiedzieć o Violi.

Miała na sobie krótką białą suknię, obcisłą, podkreślającą doskonałą figurę. Jej niebieskie oczy, takie jak oczy Violi, wydawały się lodowate. Poprowadziła go do ekstrawagancko umeblowanego dużego pokoju. Usiadła na długiej, szerokiej białej kanapie, gestem wskazała, by gość usiadł obok niej, jednak Tweed wybrał stojące nieco dalej krzesło. Marina prowokacyjnie założyła nogę na nogę. Na szklanym stoliku przed kanapą stała bateria butelek, które mogłyby wypełnić duży bar, oraz rząd szklaneczek.

- Drinka? - Nie było to pytanie, raczej polecenie, lecz towarzyszył mu uroczy uśmiech. - Szkocka na lodzie, gin, brandy? Proszę się zdecydować, wszystkiego nie wymienię.

- Nie piję na służbie.

- Na służbie? O tej godzinie przychodzi pan do mnie, właśnie do mnie, służbowo? Niech pan da spokój!

Nadal go kusila. Tweed z trudem się opanowywał. Na swój własny, ostentacyjny sposób ta dziewczyna była równie atrakcyjna co biedna Viola. Uznał, że Marina bardziej mu się podobała.

- To wizyta oficjalna - powtórzył z naciskiem.
- Aha, rozumiem. Oficjalnie pan nie pije. No, o tej porze nie sposób być aż takim oficjalnym. Chce pan zobaczyć sypialnię?
- Nie, dziękuję. Bardzo wygodnie mi tu, gdzie jestem.
- Zawsze pozostaje nam kanapa. Jest wystarczająco długa i szeroka. Doskonale o tym wiem, stoi tu już jakiś czas.

- Panno Vander-Browne... - W głosie Tweeda brzmiało wyraźnie słyszalne zniecierpliwienie. - Zapewne straszna śmierć siostry wstrząsnęła panią do głębi.

- Mogę tylko powiedzieć, że Viola sama się o to prosiła.

Tweed aż sapnął ze zdumienia. Taka obojętność wstrząsnęła nawet nim.

- Najpierw została zgwałcona - mówił dalej. - Przez mężczyznę... lub kobietę. Odcięto jej nogi w kolanach i ramiona powyżej łokcia. I głowę...

- Och, przestań! - zniecierpliwiała się i swobodnie zaczęła się do niego zwracać per ty. - Mogłeś mieć bardzo przyjemną noc i sam wszystko psujesz.

- Udała zawstydzoną, co było chyba jeszcze gorsze. - Spodziewam się, że masz przy sobie pięćset funtów? Zawsze biorę pieniądze z góry.

Tweed nie dawał się zbić z tropu.

- Czy siostra kontaktowała się z tobą bezpośrednio przed śmiercią?

- A niby dlaczego miałyby się ze mną kontaktować?

- Dysponuję dowodami, że dążyła do zgody.

Marina zawahała się po raz pierwszy w trakcie rozmowy. Nalała sobie drinka, wypila od razu pół szklaneczki. Zapaliła papierosa; ręka nawet jej nie drgnęła. Ma serce z granitu, pomyślał Tweed. Ale coś ją wreszcie poruszyło.

- Dzwoniła do ciebie, prawda? - spytał nieoczekiwanie.

- Owszem, dzwoniła. Jakies dziesięć dni temu. Cała słodka i urocza. „Mogłybyśmy się spotkać, porozmawiać?”. „Po co?” - spytałam i przerwałam połączenie.

- Bardzo miło z twojej strony, zwłaszcza biorąc pod uwagę, co zdarzyło się później. Miałyście tych samych klientów?

- Całkiem możliwe. Nie jestem pewna.

- Potrzebuję nazwisk.

- Jakich nazwisk, na litość boską?!

- Nazwisk waszych wspólnych klientów.

- Człowieku, przecież przed chwilą powiedziałam ci, że ich nie znam. Może komuś o mnie wspomniała, spodziewając się, że coś jej za to odpalę.

Tweed wypił łyk wina. Łagodziło niesmak, który czuł w tej chwili.

- Byłyście siostrami - powiedział ponuro. - Co możesz mi o niej powiedzieć?

- Zawsze okazywała się tą lepszą - odparła Marina sarkastycznie. - Przyjechała z Oxfordu z dwoma pierwszymi miejscami na dwóch fakultetach. Ja w Cambridge nie osiągnęłam niczego... z wyjątkiem kontaktów z mężczyznami, które przynoszą mi dochody do dziś. Bo wszyscy mężczyźni są tacy sami... i tego właśnie nauczyłam się w Cambridge.

- Błąd! - warknął Tweed. - Jest wielu, którzy się skuszają, w to uwierzę, ale z pewnością nie wszyscy dadzą się ogłupić twym wdziękom. Poza tym przecież nie musisz zarabiać na życie.

- Cholernie impertynenckie stwierdzenie. - Dziewczyna wyprostowała się, obciągnęła sukienkę na piersiach, na wypadek gdyby do tej pory nie dostrzegł jej największych atutów. - Ale niech ci bę-

dzie - dodała złośliwie. - Nasz wuj był człowiekiem zamożnym. Każdej z nas pozostawił trochę pieniędzy. Wystarczająco wiele, by spokojnie żyć, ale niewystarczająco wiele, by robić zakupy w Escada. A ja lubię kupować drogie ciuchy. Są bardzo ważne, gdy od czasu do czasu przyjmuje się wizyty bogatych mężczyzn.

- Od czasu do czasu?

- Viola podsunęła mi ten pomysł.

W tym momencie Tweed stracił wreszcie cierpliwość.

- Kłamiesz! Obrzydliwie kłamiesz! Doprawdy mam ochotę zabrać cię do Scotland Yardu na prawdziwe przesłuchanie.

- Mam tam dobrych przyjaciół. - Marina wyciągnęła do niego rękę. Uchylił się. Odzyskał już panowanie nad sobą. Teraz mówił cicho.

- I nie żałujesz, że twoja siostra zginęła w tak straszny sposób?

- Nie żałuję. Bo i czego? Mam mniejszą konkurencję.

Znów zdumiała Tweeda swą bezwzględnością. Przyglądała mu się uważnie. Z pewnością radowałby ją najmniejszy objaw szoku, zachował więc kamienną,

nieruchomą twarz. Wyjął z kieszeni notatnik i wieczne pióro. Marina zmarszczyła brwi, przesunęła się na kanapie, usiadła po japońsku twarzą do niego, spojrzała mu w oczy. Nie reagował na wyraźną zachętę.

- Proszę podać pełne nazwisko, numer telefonu, numer telefonu komórkowego. Czekam.

Skrzywiła się. Prawdopodobnie zdenerwowało ją, że nie zareagował na jej wdzięki jak inni mężczyźni. Nie odpowiedziała, tylko sięgnęła do małego złotego pudełka, wyjęła z niego wizytówkę o czerwonych brzegach i wręczyła Tweedowi. Ujął ją ostrożnie, za krawędzie, by nie zatrzeć odcisków jej palców.

Wstał.

- Prawdopodobnie jeszcze cię odwiedzę - powiedział.

- Ależ oczywiście, że mnie odwiedzisz - uśmiechnęła się zmysłowo. - Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. - Wstała. - Zaczekaj chwilkę. Muszę do toalety.

Gdy tylko wyszła, Tweed wylał resztę swojego wina do wielkiej doniczki, włożył jednorazowe rękawiczki i chusteczką wytarł swe ślady palców. Zrobił to błyskawicznie. Marina wróciła do pokoju ubrana w przezroczystą nocną koszulkę związaną w talii, sięgającą ponad kolana.

Tweed bez słowa podszedł do drzwi, ukrywając przed nią rękawiczki. Przekręcił klucz w zamku, otworzył drzwi, schował rękawiczki do kieszeni. Zbiegał po schodach, kiedy Marina coś do niego zawołała. Zatrzymał się, spojrzał w górę.

- Uważaj, kogo wpuszczasz do mieszkania! Nie zapomnij, co się przydarzyło Violi... !

Jednocześnie dostrzegł Paulę i Marię obserwujących go z czwartego piętra. Dołączyli do niego przy samochodzie. Wsiadli do środka. Tweed przyjrzał się budynkowi.

- Ta dziwka nie może nas zobaczyć - uspokoiła go Paula. - Jedyne okno na ulicę ma matową szybę. Zdaje się, że niezbyt dobrze bawiłeś się podczas tej rozmowy?

- Zimnokrwista suka!

Jechali bardzo powoli, żeby nie budzić ludzi. Gdy tylko wjechali na główną ulicę, Tweed dostrzegł starą kobietę w łachmanach grzebiącą w pojemniku na śmieci. Podjechał do krawężnika, wysiadł.

- Wątpię, czy znajdzie tu pani coś wartościowego - powiedział życzliwie.

- Nigdy nic nie wiadomo, szanowny panie. Mój chłop znalazł raz naszyjnik z pereł. Zaniósł go na policję. - Kobieta mówiła szybko, niemal niezrozumiałym cockneyem. - Zrobiłabym to samo. Takie cudeńka mogą zaprowadzić człowieka na policję w kajdankach. Nie warto ich trzymać, nie można sprzedać, nawet miejscowemu paserowi. A pan odwiedził Lady Gnoj, co nie, szanowny panie? I wziął pan ze sobą faceta i babkę? Mądrze, bardzo mądrze. Chce fortuny za godzinę z nadzianym staruchem. Taka jest wielka i wspaniała!

- Naprawdę widziała pani, jak odwiedzają ją mężczyźni?

- Mnóstwo facetów. A kiedy ma do czynienia z mniej nadzianymi, zachowuje się jak Świnia.

- Coś mi się zdaje, że ją pani kiedyś spotkała.

- Bo i spotkałam. Wychodzi raz, a ja splukana. Poprosiłam o coś, żeby kupić ciut zarcia. Wiesz pan, co powiedziała?

- Nie mam pojęcia. Ale chętnie posłucham.

- „Powinnaś, stara, pracować uczciwie jak uczciwi ludzie”. Omal nie roześmiałam się jej w pysk. Uczciwa praca! A ona to niby jak zarabia na życie? Chciałoby się babę opluć!

- Więc obserwuje pani czasami jej gości?

- Jeśli pracuję przy tym pojemniku, to tak. Jeden facet to jak wyszedł, jeszcze podciągał spodnie. Jakoś nie mógł ich dopiąć. Usłyszałam, jak coś stuknęło. Zawołałam: „Panie, pan coś gubi!”, ale pognął do zaparkowanego kawałek dalej samochodu. Podeszłam bliżej i nie uwierzysz pan, co znalazłam.

- Co takiego? - Tweed uśmiechnął się ujmująco.

- Portfel, szanowny panie. Taki co to faceci noszą w tylnej kieszeni spodni. W środku były trzy stówy. Poleciałam ulicą jak głupia, machałam tym portfelem nad głową. Nie ma mowy, przeleciał, nie zatrzymał się, omal mnie nie rozsmarował po asfalcie. No to pomyślałam sobie: „Sam chciałeś, facet!”. I zatrzymałam te trzy stówy. Dobrze zrobiłam?

- Moim zdaniem postąpiła pani bardzo sensownie. Często widzi pani mężczyzn odwiedzających tę damę?

- Damę? Coś się panu pomyliło, szanowny panie. Jasne, paru się widziało. Ten od portfela był niski i okrągłutki.

- Chciałbym o coś spytać, jeśli wolno. - Tweed wyjął z kieszeni fotografie, które Marler zrobił Konspiracji w Whitehall. - Może roz pozna pani któregoś z tych panów?

Kobieta wyjęła spod łachmanów stareńkie okulary w powyginanej oprawce, nasadziła je na nos. Żeby przyrzeć się zdjęciom, musiała przekrzywić głowę. Oglądała je bardzo uważnie.

- Nie. Nie on - wymamrotała. - I ten też nie. - Chwila przerwy.

- Aha! Trafiony! Ten u niej był. Pewne jak to, że tutaj stoję.

Oddała zdjęcia Tweedowi, on zaś odwrócił się i przyjrzał uliczce, z której przed chwilą wyjechali. Ciemno choć oko wykol, tylko jedna latarnia świeciła słabo naprzeciw wejścia do domu Mariny. Spojrzał na kobietę chowającą okulary.

- Naprawdę potrafi pani zobaczyć coś na tę odległość? Bardzo przepraszam, ale muszę mieć całkowitą pewność.

- Bez okularów nie widzę z bliska, ale z daleka całkiem, całkiem. I ta latarnia pomaga. To był on, szanowny panie, nikt inny.

- Serdecznie dziękuję za to, że zgodziła się pani na rozmowę. Jestem pani bardzo zobowiązany. - Tweed sięgnął do portfela, wyjął z niego dziesięciofuntowy banknot. - Proszę kupić sobie coś do jedzenia. Niech to będzie coś bardzo smacznego.

- Niech pana Bóg błogosławi, szanowny panie. Jestem spłukana, naprawdę, całkiem spłukana. Nie wiem, co powiedzieć.

- Nie musi pani nic mówić. Czy mogę prosić o podanie imienia i nazwiska? Może znów pojawię się w okolicy, zechcę zadać pani kilka pytań.

- Czemu nie? Annie Higgins. Annie Higgins to ja. Niech pan na siebie uważa, szanowny panie.

W drodze powrotnej do mieszkania Pauli Tweed milczał. Odczekał, aż Marler wysiądzie i sprawdzi, czy wszystko w porządku. Okazało się, że tak.

- Ta kanapa w pokoju dziennym wygląda na wygodną - powie dział Marler, gdy

już złożył raport. - Prześpię się na niej bardzo chętnie. Pauli też należy się odpoczynek.

Paula wysiadła, ale nie zamknęła drzwi. Pochyliła się i spojrzała Tweedowi w oczy.

- W porządku. Wiem, że lubisz przedłużać chwile napięcia, ale chyba już możesz nam powiedzieć, kogo Annie Higgins rozpoznała jako gościa Mariny?

- Noela Macombera.

Rozdział 27

Tweed zbliżał się do Park Crescent, gdy rozległ się sygnał telefonu komórkowego, który Paula zostawiła na siedzeniu pasażera. Zaklął pod nosem i zjechał do krawężnika. Pomyślał, że musiała być rzeczywiście bardzo zmęczona, jeśli zapomniała o telefonie. Wcisnął odpowiedni przycisk. -Tak?

- Masz gościa. Chce z tobą rozmawiać. Bardzo się denerwuje...

Rozmowa została przerwana. Tweed siedział ze zmarszczonymi brwiami. Kto jest taki zdenerwowany? Tyle kobiet przewinęło się przez to śledztwo: Coral Flenton, Marina Vander-Browne, Papuga. Wyłączył telefon. O tej godzinie? Spojrzał na zegarek. Druga nad ranem. No cóż, jest tylko jeden sposób, żeby się dowiedzieć, o co chodzi.

Prowadząc, nie przestawał myśleć. To śledztwo było jednym z najtrudniejszych w jego długiej karierze, wliczając w to pracę w Scotland Yardzie. Na razie nie domyślał się nawet, kto może być głównym podejrzanym.

Zaparkował samochód, wysiadł, zadzwonił do drzwi w ściśle określony sposób. George wpuścił go do środka. Tweed pobiegł po schodach, ściągając płaszcz. Czuł się rześki, ożywiony.

W pokoju siedziały dwie osoby: Monica, jak zwykle przy komputerze, i Papuga na krześle przy jego biurku, nad filiżanką kawy. Widział, że jest zaniepokojona, a nawet przerażona, podobnie jak podczas pierwszej wizyty, która teraz wydawała się historią sprzed wieków.

- Mam nadzieję, że wybaczysz telefon o tej barbarzyńskiej go dzinie - powiedziała charakterystycznym cichym, lekko ochryłym głosem - ale potrzebuję bezpiecznej kryjówki. Podczas powrotu do domu, do Hammersmith, byłam śledzona przez kogoś w samocho dzie. Nie mam do kogo się zwrócić...

Przerwała. Tweed skinął głową. Usiadł za biurkiem, dzięki czemu mógł patrzeć jej prosto w twarz.

- Gdzie byłaś, kiedy zorientowałaś się, że jesteś śledzona? Podaj markę samochodu.

- Na Whitehall. Tam go zobaczyłam. Początkowo nic sobie z tego nie robiłam, ale szybko się zorientowałam, że jedzie za mną. Podjechałam tu, mając nadzieję, że kogoś zastanę. Jeśli chodzi o markę samochodu, to niestety, nie potrafię nic powiedzieć. Zupełnie się na tym nie znam.

- Dlaczego sądzisz, że cię śledzono?

- Kierowca włączył długie światła. Jechał tak blisko, że oślepiło mnie ich odbicie we wstecznym lusterku.

- Kto to był? Nelson? Benton? Noel?

- Naprawdę nie wiem. Nie potrafię nawet powiedzieć, czy prowadził mężczyzna. Nie widziałam kierowcy. Mogę zdjąć płaszcz? Tu jest bardzo ciepło.

- Oczywiście, proszę.

W tym momencie do biura wszedł szef Tweeda, Howard. Za ledwie pięćdziesięcioparoletni, ubrany był jak zwykle w drogi garnitur od Chestera Barriego, szary w cienkie paski, śnieżnobiałą koszulę i elegancki krawat Valentina. Mankiety koszuli wystawały spod rękawów marynarki i widać było złote spinki.

Howard miał wielką, różową, zawsze doskonale ogoloną twarz. Jak Marler, mówił z akcentem z wyższych sfer. Wręcz biło od niego poczucie własnej ważności. Zaskoczony spojrział najpierw na Tweeda, a potem na jego gościa.

- Przykro mi, jeśli w czymś wam przeszkadzam - powiedział uprzejmie. -

O tej godzinie nie spodziewałem się znaleźć tu nikogo oprócz Moniki.

- To pan Howard, dyrektor SIS - przedstawił go Tweed. - A to panna Partridge, z którą rozmawiałem o rozwoju sytuacji.

Papuga wpatrywała się w Howarda. Tweed miał dziwne wrażenie, jakby czytał jej w myślach. Czy warto faceta poderwać? Pewnie ma kupę forsy. Ciekawe, czy jest żonaty.

Przestań! - upomniał sam siebie. Tracisz panowanie nad własną wyobraźnią.

Panna Partridge tymczasem obdarzyła Howarda olśniewającym uśmiechem. Skinął jej głową, spojrział na Monice.

- Mogę prosić o pierwsze dwadzieścia stron tego raportu? Muszę coś sprawdzić.

Monica myślała szybko, jak zwykle. Zebrała dwadzieścia stron, wręczyła mu pospiesznie. Howard podziękował jej i wyszedł. Szkic tego raportu miał już u siebie na biurku. Po prostu potrzebował pretekstu, by szybko wyjść i zostawić Tweeda z nieoczekiwanym gościem.

- Twój szef jest mężczyzną wywierającym doprawdy niezwykle wrażenie - westchnęła Papuga.

Zdjęła już płaszcz. Miała błękitną sukienkę na cienkich ramiączkach. Odsunęła z czoła kosmyk włosów.

- Jestem śmiertelnie przerażona. Nie chcę wracać sama - mówiła dalej. - Przepraszam, jeśli nadużywam uprzejmości, ale czy ktoś nie mógłby odeskortować mnie do domu w Hammersmith? Wiem, że to daleko, ale o tej godzinie... i przy tym, co mi się przydarzyło...

- Oczywiście. - Tweed wstał. Czuł wielką ulgę na myśl o tym, że wreszcie się jej pozbędzie. - Poprowadzisz swój samochód, a ja pojedę za tobą moim.

- Nie potrafię wyrazić, jaka jestem wdzięczna...

Wyciągnęła nagie ramiona, jakby zamierzała go przytulić. Udał, że tego nie zauważa. Poprosił o adres, przyjrzał się zwykłej białej wizytówce bez czerwonych i złotych ozdóbek, przemknął się do biurka Moniki i dyskretnie położył wizytówkę na blacie. Sekretarce wystarczył jeden rzut oka, natychmiast oddała ją szefowi, a kiedy Papuga wstała, był już gotów elegancko podać jej płaszcz. Bardzo się tylko pilnował, by nie dotknąć jej nagich ramion.

- Nie zapomnij o swoim. - Monica poderwała się z za biurka. Zdjęła płaszcz Tweeda z wieszaka, na którym powiesiła go, gdy szef wszedł do biura.

- Wrócę najdalej za godzinę - rzekł, otwierając drzwi przed gościem.

Dwa samochody jechały powoli pogrążonymi w nocnym mroku ulicami. Kiedy

dojeżdżali do Hammersmith, Papuga wyprzedziła Tweeda. Wjechał za nią w wąską uliczkę zabudowaną szeregowymi domkami. We wstecznym lusterku zdążył już dostrzec samochód, wyglądający dziwnie znajomo.

Papuga zaparkowała. Tweed podjechał, wysiadł, poprowadził ją do wejścia. Drzwi miały kiepskie zabezpieczenie, zwykły zamek i nic więcej. Papuga przekręciła klucz.

- Zapraszam do siebie - powiedziała. - Podziękuję ci dobrym drinkiem. Odmowa nie zostanie przyjęta.

W tej samej chwili za samochodem Tweeda zatrzymał się z piskiem opon trzeci wóz. Wyskoczyła z niego Paula, a zaraz za nią Marler. Paula krzyknęła beztrosko i radośnie:

- Ależ witam panią, panno Partridge! Późno wraca pani do domu. Ale my też. Niedaleko jest restauracja, całkiem sympatyczna. Właśnie odjeżdżaliśmy, kiedy zobaczyliśmy wasze samochody.

- Zostaliśmy zaproszeni na drinka. - Tweed uśmiechnął się szeroko.

- Dla mnie kawa. Prowadzę - powiedział Marler.

- Kieliszek chardonnay doskonale by mi zrobił - ucieszyła się Paula.

Warto było w tym momencie spojrzeć na Papugę. Jakimś cudem udało się jej zmienić wściekłość w sympatyczny uśmiech. Otworzyła drzwi.

- Serdecznie zapraszam - syknęła przez zaciśnięte zęby.

Za drzwiami znajdował się wąski korytarz z drzwiami po obu stronach, kończący się schodami. Papuga żwawym krokiem wspięła się po przykrytych czerwoną wykładziną stopniach. Niemal podbiegła do drzwi na piętrze. Otworzyła je przed gośćmi uprzejmie.

Weszli do zaskakująco dużego pokoju dziennego. Paula rozejrzała się dookoła; meble z pewnością nie były antykami, wręcz przeciwnie, ale te nowoczesne kanapy, krzesła i szafki wydawały się wygodne, gustowne i dobrze dobrane do wnętrza. Chwyciła Tweeda za ramię, pokierowała go w stronę kanapy. Marler, nawet tutaj, stanął w rogu i oparł się o ścianę.

Paula poszła za gospodynią do kuchni. Widać było, że większość pieniędzy poszła w wyposażenie tego pomieszczenia. Wszystko tu było nowe i z pewnością nietanie. Papuga wyjmowała z szafki butelki i szklanki. Nie od razu się zorientowała, że ma towarzystwo.

- Pomyślałam sobie, że możesz potrzebować pomocy.

- Nie, dziękuję. - Ta odpowiedź nie zabrzmiała szczególnie uprzejmie. -Ja tu sobie ze wszystkim poradzę.

Paula wróciła do pokoju i zajęła miejsce na kanapie. Wkrótce potem z kuchni wyłoniła się Papuga ze srebrną tacą zastawioną drinkami. Rozdała je gościom, usiadła, odetchnęła z ulgą. Sięgnęła po kieliszek.

- Za co wypijemy? - spytała.

- Za szybkie rozwiązanie tajemnicy potwornego morderstwa Violi Vander-Browne - zaproponował Tweed.

- Makabryczny toast. - Papuga otrząsnęła się. - Ale skoro chcesz...

Jej dłoń trzymająca szklaneczkę z czystą szkocką drżała lekko. Tweed odstawił swoją szklaneczkę na szklany blat stolika.

- Panno Partridge - powiedział - proszę mi opowiedzieć, jak pracuje się z

trzema braćmi Macomberami. Odniosłem wrażenie, że mają całkiem różne charaktery... mimo tak bliskiego pokrewieństwa.

- Och! - Papuga gniewnie machnęła dłonią. - Jakoś sobie radzę. Przy moim stanowisku z każdą pracą wiąże się taki czy inny dziwny problem.

- A z jakimi problemami masz do czynienia w tej pracy?

- Oczywiście nie mam na myśli obecnych... - zerłoięła na Marle-ra. Chyba niepokoiło ją to, że nie usiadł - ...ale mężczyznom zdarzają się częste zmiany nastrojów.

- Całkowicie się z tobą zgadzam - naciskał Tweed. - Kobietom zresztą też. Znam mit głoszący, że kobiety i mężczyźni diametralnie się od siebie różnią, ale nie sądzę, by była to prawda. Najczęściej tego samego się obawiają i o to samo martwią.

Mówił dalej. Paula wstała i szybkim krokiem poszła do kuchni, mówiąc przez ramię:

- Bardzo przepraszam, ale zgubiłam gdzieś kolczyk. Pewnie tam, bo słyszałam, jak coś spadło na podłogę.

Kolczyk zdjęła jeszcze na schodach i schowała do kieszeni wiatrówki. Zatrzymała się, nadstawiła ucha. Tweed pytał o coś, Papuga odpowiadała.

Natychmiast zabrała się do roboty. Szukała tasaka do mięsa. Szafki, na szczęście, otwierały się cicho, ale trafiła na zamkniętą szufladę. Dlaczego? Kredensami się nie zajmowała, trudno byłoby ukryć w którymś z nich tasak. Wyjęła kolczyk z kieszeni i szybko go założyła.

Uważała Papugę za jedną z głównych podejrzanych. Podczas długiej wspólnej kolacji Coral Flenton wyznała, że zaskoczyła ją kiedyś i widziała, jak tuli się do jednego z Macomberów. Zapytała ją wówczas którego, ale Coral potrząsnęła głową i oznajmiła, że utrzymanie pracy jest dla niej najważniejsze.

Paula minęła się z Papugą w przejściu między kuchnią a pokojem dziennym. Gospodyni najwyraźniej chciała sprawdzić, co ona tu robi. Uśmiechnęła się, choć nie wyglądało to szczerze.

- Widzę, że jednak znalazłaś kolczyk?

- Dzięki Bogu, tak. Choć niełatwo mi to przyszło. Musiałam zaglądać pod szafki.

Przeszły do pokoju dziennego. Marler ruszył do wyjścia. Tweed wstał.

- To była bardzo miła rozmowa - powiedział.

- A ja bardzo dziękuję za pomoc.

Papuga podbiegła pożegnać się z Tweedem. Tak się spieszyła, że przewróciła ciężki obrotowy stolik, na którym stały półki z książkami. Pochyliła się, podniosła go bez wysiłku, pospiesznie przeniosła przez pokój, postawiła pod ścianą. Potem pożegnała gościa, tuląc się do niego i całując go w oba policzki.

- Chcę, byś zrozumiał, jak bardzo doceniam to, co dla mnie zrobiłeś - powiedziała.

Tweed i Paula zeszli za Marlerem na parter. Papuga odprowadziła ich do drzwi wejściowych. Po drodze zapukała do drzwi w korytarzu.

- To moja sypialnia - oznajmiła. - Okno wychodzi na ulicę. Czasami rano przyglądam się ludziom wychodzącym do pracy wcześniej niż ja.

- Mam nadzieję, że okno zamykasz i blokujesz - mruknął Tweed.

- Och, skąd! Uchylam je na noc. Muszę mieć świeże powietrze. Wyszli z domu na ciemną, cichą ulicę. Szli ostrożnie, w milczeniu. Tweed chwycił Paulę za ramię, podprowadził do swojego samochodu, posadził na siedzeniu pasażera. Marler miał poprowadzić samochód, którym oboje przyjechali na miejsce.

Ruszyli w stronę mieszkania Pauli. Po drodze wyjaśniła, dlaczego wymyśliła historię ze zgubionym kolczykiem.

- Po co miałyby zamykać jedną z szuflad? - spytała.

- Jest mnóstwo powodów. Może trzyma w niej ostre noże? Może przyjmuje gości z małymi dziećmi? Przecież nigdy nie wiadomo, co takie dzieciaki wymyślą. Skąd się tam wzięliście, ty i Marler? Przecież nie znaliście adresu.

- A właśnie że znaleźmy. Marler miał jakiś interes do Moniki, zadzwonił i dowiedział się, że wyjechałaś z Papugą. Dała nam adres.

- I pospieszyliście mi na ratunek, co? O to wam chodziło?

- Nie całkiem. Nie spodobało się nam, że sam będziesz od niej wracał. O tej porze!

Tweed wysadził Paulę przed jej domem. Marler nadjechał niemal natychmiast, zaparkował przy krawężniku. Podszedł do otwartego okna po stronie kierowcy, zapewne chciał zasugerować, by i on przenocował u Pauli, ale Tweed zignorował go i od razu ruszył.

Jechał powoli, cały czas analizując ostatnie zdarzenia. Nocą o tej porze ulicami rządzą pijani kierowcy pewni swej nieśmiertelności. Parkując samochód w garażu, znajdującym się zaledwie kilka kroków od jego mieszkania, myślał o Papudze śpiącej w sypialni na parterze, przy otwartym oknie na ulicę.

Rozdział 28

Tweed pojawił się w biurze bardzo wcześnie. Spał krótko, ale był rzeński. Skinął głową George'owi i już wbiegał po schodach na piętro, kiedy strażnik zawołał:

- Jakiś pan czeka!

-Kto?

- Nie podał nazwiska. Rodzaj faceta, z którym nie da się poga dać jak z kumplem. Powiedział, że był umówiony.

Tweed wszedł do biura. Monica spojrzała na niego, rozłożyła ręce w bezradnym geście. Na krześle przy biurku siedział generał Lu-cius Macomber - sztywny, wyprostowany, w doskonale skrojonym, eleganckim garniturze.

- Nie spodziewałem się pana. - Tweed rzucił płaszcz, Monica chwyciła go zrzęcznie. - Wcześniej pan wstaje, generale.

- Od dzieciństwa. Przyzwyczailem się. Właśnie odbyłem spotkanie z moimi trzema potomkami, niech będą przekleci.

- Oni też musieli wcześniej wstać - stwierdził Tweed, siadając za biurkiem naprzeciw gościa.

- Nie mieli wyboru. Dzwoniłem do nich z poleceniem, żeby przyjechali do biura na konkretną godzinę. Musieli się do mnie dostosować.

- Mam nadzieję, że było to miłe spotkanie.

- Dla mnie tak. Dla nich wręcz przeciwnie. - Generał uśmiechnął się, ale bez wesołości. - Ja mówiłem, oni słuchali. Siedzieli cicho. I tak powinno być.

- Czy mogę spytać, co pan im powiedział?
- Ależ oczywiście. Bystry z ciebie facet, Tweed. Wiesz, co w trawie piszczy. Ja też. Powiedziałem im, że są szaleńcami, wszyscy razem i każdy z osobna. Chcą fuzyj sił prawa i porządku, próbują stworzyć jednego wielkiego dinozaura. Nie spodobało się im to, co powiedziałem. - Przerwał. Prychnął, jakby powstrzymywał śmiech. - Zgadzasz się ze mną.

- Moim zdaniem to szaleństwo.

- Fajny z ciebie facet. Ty i ja... powstrzymamy ich. Co do tego nie mam żadnych wątpliwości.

Otwartą dłoń uderzył w blat biurka z taką siłą, że Monica aż podskoczyła. Spojrzał na nią przez ramię.

- Obudziłem cię? I dobrze. Możesz się przydać.

Spojrzał na Tweeda, zmienił temat.

- Na Black Island coś się zaczęło dziać. Miejscowym cholernie się nie podobają te budynki na zachodnim brzegu. Nie jest dobrze, jeśli coś się komuś cholernie nie podoba. To nie wystarczy. Trzeba coś z tym zrobić, to moje motto. Prawie się zbuntowali, kiedy wybudowano rafinerię. Widzieliście ją, prawda? Kiedy tam byliście?

- Niestety nie. Nie widzieliśmy.

- Pewnie był wysoki przypyw. Prom płynie wówczas do wschodniej przystani, a stamtąd nic nie widać. Przy niskim przypiwku prowadzi barkę wprost do Lydford. A wtedy nic nie ukryje tej potworności.

- Poszukam jej, kiedy będę tam następnym razem.

- Miło się nam rozmawiało. - Generał wstał. - No, muszę lecieć. Czas na nas nie czeka i w ogóle. Muszę kupić trochę sprzętu.

- Długo zostanie pan w mieście?

- Nie. Najwyżej trzy, cztery dni. Póki jestem w mieście, chcę się przynajmniej rozerwać. - Wyciągnął rękę. - A więc współpracujemy, tak?

- Oczywiście. - Tweed potrząsnął ręką gościa.

- No to leć. - Generał spojrzał na Monice, uśmiechnął się ujmująco. - Uważaj, żeby ten cwaniak nie wdeptał cię w ziemię, dziewczyno. Wiesz, co powiedział kiedyś nieodżałowanej pamięci prezydent Reagan?

- Nie, proszę pana. Niestety nie.

- „Mówią, że ciężka praca nigdy nikogo nie zabiła, ale po co ryzykować?”. Ronald Reagan to był wielki człowiek.

Generał wyszedł. Był jak huragan: pojawiał się, powodował zamieszanie i zniknął, jakby go nigdy nie było. Tweed przez bardzo długą chwilę siedział za biurkiem w milczeniu.

- Zostawił adres, pod którym możemy go złapać? - spytał w końcu.

- Nie. - Monica znów bezradnie rozłożyła ręce. - Poprosiłam go o namiary, kiedy wpadł tu jak wariat, ale tylko uśmiechnął się i powiedział: „Nie ma mowy”.

- Ciekawe, co miał na myśli, kiedy wspomniał, że chce się rozerwać. - Tweed sprawiał wrażenie zaniepokojonego. Siedział nieruchomo, wyglądając przez okno, jak zawsze kiedy obawiał się niebezpiecznego rozwoju wydarzeń.

Minęło trochę czasu. W biurze pojawił się Marler, a za nim Newman i Harry z Pete'em Nieldem. Dopiero wówczas Tweed zadał kolejne pytanie:

- Ciekawe, co miał na myśli, kiedy wspomniał, że musi kupić trochę sprzętu.
 - Kto ma zamiar kupować sprzęt, gdzie i kiedy? - zainteresował się Marler.
- Tweed streścił im swą rozmowę z generałem. Nie zabrało mu to wiele czasu.
- Ciekawe, po co tak naprawdę przyszedł - powiedziała z namysłem Paula, która zdążyła już zająć miejsce za biurkiem.
 - Nie jestem pewien. Facet jest wyjątkowo sprytny i błyskotliwy, a jego energii wystarczyłoby dla trzech młodych mężczyzn. Jeśli dobrze pamiętam, z jego nazwiskiem łączono jakiś skandal. Wyszedł na jaw po zakończeniu wojny w Zatoce Perskiej. Kapitan, który popełnił jakieś wykroczenie, powiedział dziennikarzom, że generał kazał swym ludziom zastrzelić Arabów, choć wyszli z kryjówek z podniesionymi rękami.
 - Naprawdę to zrobił? - zdziwiła się Paula.
 - Tak. Na szczęście dziennikarz telewizyjny akredytowany przy armii sfilmował całą tę scenę. Film potwierdził w pełni zeznania generała. Arabowie wyszli z rękami do góry, ale zaraz po nich pojawiły się dwa szeregi wojowników uzbrojonych w broń automatyczną. To była pułapka. Gdyby żołnierze generała opuścili stanowiska, by pojąć poddających się jeńców, skosiłaby ich druga i trzecia linia natarcia. Poza tym Arabowie mieli odwody. A więc generał zachował się jak bohater. Problem w tym, że pierwsze doniesienia zdążyły już ukazać się w prasie. Ludzie zapamiętali je, a nie późniejsze sprostowania.
 - Generał jest sprytny - zauważył Marler. - To prawdziwy mężczyzna.
- Tweed skoczył na równe nogi.
- Coś ty powiedział?! -
 - Powiedziałem, że to prawdziwy mężczyzna.
 - Tych samych słów użył Frank z Crooked Village na Black Island. Podszedł do okna. Stał nieruchomo, patrząc przed siebie. Monica doskonale wiedziała, że coś go zaniepokoiło.
- Przy krawężniku Fulham Road, naprzeciw domu, w którym mieszkała Paula, choć nieco oddalony, stał stary, poobijany ford. Fitch siedział za kierownicą i obserwował przez lornetkę Paulę wychodzącą z Marlerem.
- To ona - powiedział do siedzącego obok niego Radka.
 - Przecież widzę - prychnął Słowak. - Niepotrzebna mi do tego lornetka. Pilnują jej, i to dobrze. Nawet rano do domu dojechała pod eskortą. Musimy zaczekać.
 - Na co? - zdenerwował się Fitch.
 - Na to, żeby wróciła do domu sama, a jeszcze lepiej z Tweedem. Dorwalibyśmy wówczas obydwójce.
 - To może trwać wiecznie.
 - W tym samym miejscu czekałem kiedyś trzy tygodnie na okazję zabicia człowieka. Cierpliwość jest najważniejsza. Możemy też spowodować jakieś rozruchy na East Endzie. Albo rozniecić pożar. Wtedy pewnie nie będą siedzieć przy niej.
 - Rzykowne. Ten fiut Harry mieszka gdzieś w pobliżu. Może się skapować. Co masz na myśli z tym pożarem?
 - Zabierzemy ze sobą butelki po piwie wypełnione benzyną. Usiądziemy gdzieś w ciemnym kącie, weźmiemy coś do picia. Rozlejemy benzynę po podłodze,

podpalimy zapalniczką. I znikniemy wśród przerażonych ludzi. Pig's Nest jest całkiem dobrym miejscem.

Harry znikł z biura na Park Crescent, nic nikomu nie mówiąc. I nikt się o niego nie martwił. Znany był z tego, że samodzielnie podejmuje decyzje. Wrócił wczesnym popołudniem, dźwigając torbę z tym, co nazywał „sprzętem”.

- Czy mógłbyś łaskawie wyjaśnić, gdzie się podziewałeś? - spytał Tweed.

- Mógłbym. Kiedy wy tu, panie i panowie, siedzieliście na tyłkach i kłapaliście dziobami, zrobiłem to, co miałem zrobić w wolnej chwili. Pojechałem do Peckham Mallet. Znalazłem je na mapie. Paula powiedziała mi, jak je znaleźć.

Dziewczyna podała mu butelkę wody. Pił długo.

- No i... - zirytował się Tweed.

- Ta ciężarówka, którą widziałeś zaparkowaną w polu, nadal tam stoi. Wokół pusto, nie ma nawet strażnika. Obejrzałem sobie kamieniołom. Tam wrzuciliście wartownika, którego Paula zdzieliła w nos.

- I co? - zaniepokoiła się dziewczyna. Może uderzyła go za mocno? Może nawet zabiła?

- I nic. Znalazłem tylko ślady w pyłe, więc wiem, którędy się wydostał. Ale nas interesuje przede wszystkim ciężarówka.

- Niech będzie. - Paula poczuła wielką ulgę na wieść, że nie zrobiła krzywdy człowiekowi.

- Było w niej trochę semtexu podłączonego kablami do detonatora. Zegar ustawiono na zero. Przetawiłem go na sześćdziesiąt sekund. Znalazłem także mapę z zaznaczoną drogą na Richmond Park.

- O mój Boże! - nie wytrzymał Newman. - Jeśli tam wybuchnie... przecież to będzie masowe morderstwo!

- Nie będzie - powiedział spokojnie Harry. - Na tej mapie zaznaczono trasę prowadzącą do bocznego wjazdu, w sporej odległości od rzeki. Prawic nikt go nie używa. Sprawdziłem to w drodze powrotnej. Nikogo nie widziałem.

- Dobrze. Co będzie, kiedy zjawi się kierowca?

- Proste. Kierowca wsiądzie do szoferki. Zapuści silnik. Wibracja włączy zegar, zegar detonator. Wątpię, czy zdoła w ogóle ruszyć, nim ta zabawka zrobi „pufKoniec ciężarówki. I koniec kierowcy.

- No to mamy o jeden problem mniej - westchnął Tweed. - Bardzo ci dziękuję, Harry.

- Robiłem tylko swoją robotę.

Chwilę później pojawił się George, trzymając w ręku kopertę list polecony. Podał go Pauli.

- Dla pani - powiedział i wyszedł. Spieszył się na swoje stanowisko.

- Poznaję charakter pisma. - Paula z namysłem obróciła list w rękach. - To od Coral...

- Spokój! - krzyknął Tweed, podrywając się na równe nogi. - Nie otwieraj! Zanieś list na dół, niech go prześwietlą. Natychmiast!

- To już chyba przesada, nawet jeśli w grę wchodzi bezpieczeństwo - zaprotestowała dziewczyna, ale dostosowała się do polecenia. Niech list zbadają jajogłowi, to z pewnością nikomu nie zaszkodzi. Wróciła po chwili. - Wszystko w porządku. W kopercie jest klucz i złożona kartka papieru. Jeśli to nikomu nie

przeszkadza, chętnie bym ją otworzyła.

Na karteczce znajdował się krótki tekst:

Droga Paulo!

Mam ci coś do powiedzenia. Jestem taka podekscytowana. Czy mogłabyś wpaść do mnie któregoś wieczoru? Oby jak najszybciej. Pozdrowienia - Coral.

Paula chciała pokazać list Tweedowi, lecz Newman zręcznie wyrwał go z jej ręki. Cholernie denerwujący facet! Ale tylko przeczytał go i oddał grzecznie.

- Nie wiedziałam, że z upodobaniem czytasz cudzą prywatną korespondencję - warknęła i podała kartkę Tweedowi.

- Tylko wtedy, kiedy grozi nam niebezpieczeństwo. Jak teraz. Twoja przyjaciółka pisze tak, jakby znalazła sobie nowego chłopaka zakpił Newman.

- No właśnie. - Tweed oddał list Pauli. - Byłoby miło, gdybyś zadzwoniła do niej w wolnej chwili.

- W wolnej chwili. Dobrze, zadzwonię. Miło wiedzieć, że mi ufa.

Przyjrzała się kluczowi do drzwi frontowych. - Ale to będzie mu siało poczekać kilka dni. Muszę napisać raport dla Howarda, sam mi kazałeś, i mam jeszcze mnóstwo spraw do załatwienia.

Drzwi otworzyły się i do pokoju wkroczył sam Howard. Zazwyczaj pogodny, teraz wydawał się niezwykle ponury. Wybrał ulubiony fotel, usiadł na nim w ulubiony sposób, przerzucając jedną nogę przez oparcie. Zapadło milczenie. Wszyscy czekali na to, co ma do powiedzenia.

- Tweed, czytałem twój raport o najnowszych wydarzeniach przeznaczony dla premiera. Wygląda na to, że jest znacznie gorzej, niż podejrzewałem. Pewne fragmenty musiałem przeredagować, by podkreślić ich znaczenie. Mam nadzieję, że cię tym nie rozgniewałem?

- Sądziłem, że będziesz raczej łagodził.

- Musimy wstrząsnąć nim i całym gabinetem. Pokazać im prawdę. Niech wreszcie zaczną działać. Proponuję poczekać jeszcze kilka dni, oczywiście jeśli się zgodzisz. Dałoby mi to czas na rozmowy z niektórymi posłami i wyższymi urzędnikami rządowymi. Przygotuję grunt... a potem możemy już zrzucić bombę na kolana pana premiera.

- Polityczne gierki zostawiam tobie.

Howard, który nie potrafiłby wykonać pracy Tweeda, był za to zręcznym dyplomatą, czującym się w dżungli Whitehall niczym ryba w wodzie. Radził sobie z ludźmi, z którymi Tweed nie chciałby się nawet spotkać. Był pompatyczny, zgoda, ale też obracał się w towarzystwie ludzi jeszcze bardziej pompatycznych. W tej chwili obserwował Tweeda nieruchomym spojrzeniem.

- Tyle masz spraw do załatwienia, a wyglądasz świeżutko jak niemowlę - powiedział z podziwem. - Co za szalony pomysł, łączyć wszystkie siły prawa i porządku w jedną organizację! A do tego jeszcze śledztwo w sprawie tak brutalnego, potwornego morderstwa! Zajęć ci nie brakuje.

- Jakoś sobie radzę.

- Pragnę bardzo podziękować wam wszystkim. - Howard wstał.

Wiem, że wykorzystujecie swe wielkie talenty i możliwości, by wspomóc pana Tweeda. Paula, wiem, że to ty jesteś skałą, która opiera się wszelkim burzom.

Jeszcze raz dziękuję.

Z tymi słowy wyszedł. Paula odprowadziła go zdziwionym spojrzeniem. Howard nigdy jeszcze nie był tak uprzejmy dla zespołu. Najwyraźniej doceniał, jak ciężko i w jakim napięciu pracują.

- Jadę na Whitehall - powiedział Marler jak gdyby nigdy nic.

Stamtąd będę miał oko na Konspirację. Trzymajcie się.

Harry też nie zamierzał zwlekać. Zerwał się na równe nogi.

- Ja też lecę - oznajmił. - Coś się dzieje na moim podwórku. Na East Endzie. Wróć, kiedy będę mógł.

- Paulo - odezwał się Nield - masz coś przeciwko temu, żebym spotkał się z Coral? Powiem jej, że dostałaś wiadomość. Że chętnie się z nią spotkasz, ale na razie masz mnóstwo pracy i w ogóle...

- Wręcz przeciwnie. Nie musiałabym dzwonić raz za razem, żeby złapać ją, kiedy wróci z pracy.

- No to lecę.

Wkrótce po jego wyjściu zadzwonił telefon. Monica podniosła słuchawkę, skrzywiła się przeraźliwie, spojrzała na Tweeda.

- Na dole czeka komisarz Buchanan. Chciał się z tobą spotkać już wczoraj.

- No to lepiej go wpuśćmy.

Tweed wstał, by powitać starego przyjaciela. Buchanan, w nieskazitelnym mundurze, wszedł do biura krokiem marszowym. Wyglądał jak chmura gradowa.

- Cześć, Roy. Siadaj, proszę. W czym problem?

- Ty j esteś problemem.

- Wyjaśnij mi to, bardzo proszę. - Tweed uśmiechnął się, powoli usiadł za biurkiem.

- Nadinspektor Hammer pragnie uzyskać od ciebie zeznania. Masz opisać wszystko, co robiłeś tej nocy, kiedy została zamordowana Viola Vander-Browne. Wie, że zjedliście kolację w Mungano's. Wie, że pojechała do domu sama. Co się działo z tobą, nie wiadomo. Nie masz alibi.

- Nie mam alibi.

- No więc jesteś głównym podejrzanym Hammera!

- Panie nadinspektorze - przerwała mu Paula - czy mógłby pan łaskawie ściszyć głos?

- Nie możesz się przeze mnie skoncentrować, co?! - krzyknął Buchanan.

- No właśnie! - Paula nie pozostała mu dłużna.

- Przepraszam. Nie to było moim zamiarem.

Buchanan postarał się opanować wzburzenie. Tweed położył dłonie na biurku. Milczał i czekał.

- Byłem u was następnego dnia po tym strasznym morderstwie. Powiedziałem, że przyjdę jutro. Przyszedłem, ale nie zastałem nikogo. Nikt nie chciał mi powiedzieć, gdzie jesteście i co robicie. A teraz poproszę o zeznania. - Mówił już znacznie spokojniej.

- Ja prowadzę to śledztwo. Nie będę zeznawał.

- O mój Boże! - Komisarz zdjął czapkę, przetarł czoło ramieniem. -Dobra, niech wam będzie, założmy, że przesadziłem. Znowu dostaliśmy ostrzeżenie o

możliwości ataku terrorystycznego. Pracowaliśmy na okrągło. Ani chwili na sen.

- Znamy się od wielu lat, Roy - przypomniał mu Tweed.
- Przecież wiem. Ale nadinspektor Hammer...
- Do diabła z tym zakutym łbem! - prychnęła pod nosem Paula.
- Mówiłaś coś? - Buchanan spojrział na nią ostro.
- Nie, gdzież tam.

Policjant przyglądał się jej nieprzyjaźnie. Nie spuściła wzroku, a z jej spojrzenia łatwo było wyczytać, że nie żartuje. Poddał się pierwszy. Wstał, trzymając czapkę w ręku.

- Zrobiłem, co mogłem - powiedział.
- Wiele lat. Pamiętaj o tym.

Buchanan otworzył usta, jakby miał zamiar przeprosić, ale nie powiedział nic. Wyszedł.

- I co o tym myślisz? - spytała zaniepokojona Monica.
- Jest strasznie zmęczony - zauważyła Paula. - To widać na pierwszy rzut oka. Nie spał od dobrych kilku dni.

- Tweedowi też to się zdarza, aż za często. Ale nigdy nie traci kontroli nad sobą. Mam nadzieję, że przynajmniej dziś do końca pracy będziemy mieli święty spokój.

Okazało się, że bardzo się pomyliła.

Minęło sporo czasu. Na biurku sekretarki zadzwonił telefon. Monica podniosła słuchawkę i zawołała:

- Tweed, profesor Saafeld do ciebie! - Przełączyła rozmowę na jego biurko.
- Tak?
- Mamy następną ofiarę.
- Rozumiem. Kogo? Gdzie?
- Marina Vander-Browne. Mogę ci podać adres.
- Znam. Ten sam modus operandi?
- Dokładnie. Proponuję, żebyś nie brał ze sobą Pauli. Ten przypadek jest w jakiś sposób gorszy.
- Już jadę.

Rozdział 29

Znów jechali w ciemności po tych samych, opuszczonych uliczkach.

Paula spodziewała się, że ruch będzie większy.

- Która godzina? - spytała.
- Około drugiej nad ranem - odpowiedział Tweed.
- Aż tak późno? Niemożliwe.
- Możliwe, możliwe. Pracujesz non stop, ja zresztą też. Czas mija, a my nawet tego nie zauważamy. Cieszę się, że skłoniłem Monice, żeby wyszła wcześniej.
- Chciałabym spotkać gdzieś tę staruszkę, Annie Higgins. Może coś widziała?
- Chyba jej tu nie ma. - Tweed zaparkował przy krawężniku na głównej ulicy. Uznał, że nie byłoby najsmardziej wjeżdzać w zaułek pod dom, w którym mieszkała Marina.

- Zginęła jak Viola? - spytała Paula.
- Saafeld twierdzi, że tak. Pożyjemy, zobaczymy.

Przed wejściem rozpięto policyjną taśmę między słupkami poręczy. Wejścia

pilnował policjant; kiedy podchodzili, przyglądał się im podejrzliwie. Wyciągnął rękę. Tweed i Paula pokazali mu swe legitymacje. Uprzejmie podniósł taśmę, pomagając im wejść.

- Trzecie piętro - powiedział.

- Dziękuję. - Tweed był tak zmęczony, że omal nie dodał: „Wiemy”.

Na pierwsze piętro wchodził bardzo powoli, ze wzrokiem wbitym w podłogę. Paulę to denerwowało. W tym tempie nigdy nie dotrą na górę.

- Dlaczego pełzamy, zamiast iść? - spytała rozdrażniona.

- Poprzedniej nocy padał deszcz. Dzisiaj też. Intruz musiał więc zostawić ślady stóp na schodach. Ty również miej oczy otwarte.

- Sama powinnam na to wpaść.

- A może zauważyłaś - nie zatrzymał się, ale i nie przyspieszył kroku - że na parterze, w korytarzu, jest mała wnęka bez okna?

- A owszem, zauważyłam.

- Mogła bardzo przysłużyć się mordercy. Poczekaj trochę. Zada my Saaf eldowi kilka ważnych pytań.

Pięli się powolutku po schodach, aż wreszcie dotarli prawie na trzecie piętro. Tweed nie znalazł śladów butów i oczywiście nie omieszkiał tego faktu skomentować.

- To może być ważne. Nawet bardzo ważne.

- Dlaczego?

- Zaczekajmy do rozmowy z Saafeldem. Wiele myślałem o tym pierwszym morderstwie. Stawiałem się w sytuacji mordercy, rozważałem, jak ja bym to zrobił. Spokojnie...

Przed drzwiami do mieszkania Mariny także rozpięto taśmę, tu także stał policjant. Pokazali mu legitymacje, ale okazał się mniej uprzejmy i nie podniósł taśmy, Tweed musiał zrobić to sam. Wszedł do mieszkania i znalazł się twarzą w twarz z Saafeldem. Na widok Pauli patolog zmarszczył brwi.

- Widziałam pierwszą ofiarę - powiedziała dziewczyna bardzo stanowczo.

- Byłam z tobą w kostnicy. Zaczynam się przyzwyczajać.

- A mnie to się nigdy nie udało. - Saafeld uśmiechnął się. - Niech ci będzie. Chodźcie za mną. Sypialnia jest przy końcu korytarza. - Zastukał w zamknięte drzwi. - Tu mamy pokój dzienny. No, jesteśmy na miejscu.

Drzwi do obszernej sypialni były otwarte. Pauli nie spodobały się meble, uznała je za zbyt kuszące, przesadnie sugerujące, do czego się ich używa. Ogromne łóżko wyposażone było w zasłony i baldachim wiszący tuż pod sufitem. Poza tym znajdowała się tu jeszcze wielka kanapa z mnóstwem poduszek oraz toaletka z trzema wysokimi lustrami dającymi się ustawiać tak, by odbijały łóżko. W suficie nad kanapą także wmontowano lustro.

Ale kiedy zobaczyła leżącą na łóżku ofiarę, zacisnęła usta. Głowę Mariny ułożono nieco ponad ocalałym fragmentem szyi. Ramiona odcięto na wysokości łokci, nogi pod kolanami. Ofiara wyglądała jak wielka lalka rozerwana na strzępy przez oszalałe dziecko.

Tweed odwrócił się i spojrzął na nadinspektora Hammera, który właśnie podszedł. Policjantem makabryczny widok najwyraźniej nie wstrząsnął.

- Nadinspektorze - powiedział Tweed cicho - czy mógłby pan zostawić nas

samych?

- A niby dlaczego?
- Bo pana o to poprosiłem.
- Sprawdź pokój dzienny.
- Sugeruję, by zszedł pan na dół i sprawdził ulicę. Morderca mógł coś zgubić, upuścić.
- Skoro nalegasz...

Hammer wyszedł posłusznie, ale widać było, że jest wściekły. Słyszeli, jak zbiega ze schodów. Tweed zamknął drzwi, spojrzął na Saafelda.

- Z tych narysowanych kredą linii na podłodze wnoszę, że Marina została zamordowana tak samo jak Viola. Mam rację?

- Istotnie. Sprawca rzucił ją nagą na podłogę, ciosem w tył głowy pozbawił przytomności. Potem zgwałcił ją, co nie oznacza, że musiał być mężczyzną. - Zerknął na Paulę. - Nie ma śladów nasienia, więc nie przeprowadzimy badań DNA. Ślady wskazują, że zastosowano narzędzie, którego czasami używają kobiety.

- Sądziś, że żyła, kiedy ją gwałcono? - spytała Paula.

- Uważam to za bardzo prawdopodobne. - Patolog wyciągnął z torby plastikową przezroczystą torebkę na dowody rzeczowe. - Kiedy przyjechaliśmy, była zakneblowana - wyjaśnił. - Lecz jeśli tak... jaki mógłby być motyw morderstwa?

- Zazdrość - odparła natychmiast Paula.

- Być może. - Knebel w plastikowej torebce znikł w torbie patologa. - Tętnice zostały przecięte, ale krew zalała lustro, nie okno.

Paula dokładniej przyjrzała się czemuś, co zauważyła już wcześniej. Rzeczywiście, wszystkie lustro wręcz zalane były krwią. Sa-afeld dostrzegł jej spojrzenie.

- Wzięliśmy już próbki krwi. Nie sądzę, by się nam na wiele przydały. To krew ofiary, nie zbadamy DNA mordercy.

- Jedno mnie dziwi - powiedział Tweed, choć był prawie pewien, że zna odpowiedź. - Ubranie mordercy musiało być wręcz przesiąknięte krwią. Nie mógł tak po prostu wyjść na ulicę.

- Podejrzewam - rzekł cicho patolog - że tak jak poprzednio przebrał się w fartuch chirurgiczny, czapkę, rękawiczki, maskę. Założył też pewnie duże okulary, by ochronić oczy. Potem spakował to wszystko do torby albo większej teczki, wyszedł na ulicę w garniturze i krawacie i spalił przy pierwszej okazji. Co zrobił z narzędziem zbrodni - a w obu przypadkach był to tasak do mięsa - nie mam pojęcia.

- Sugerujesz, że sprawca miał coś wspólnego z naukami medycznymi?

- Niekoniecznie. Strój chirurgiczny można kupić w dowolnym sklepie zaopatrującym szpitale. Pewnie odwiedził ich kilka, tu kupił to, tam co innego...

- Ale nie mógł wejść do mieszkania jak na salę operacyjną - zaprotestowała Paula.

- Podjeżdżał pod dom - powiedział Tweed z namysłem. - Dzwonił do ofiar. Mówił coś w rodzaju: „Za chwilę będę u ciebie”, przebierał się... no i wchodził.

- Mnie też się tak wydaje. - Saafeld skinął głową.

- I pewnie znów nie ma żadnych śladów włamania, co?
 - Nawet najmniejszych. Co oznacza, że Marina знаła gościa... i że się go spodziewała.
 - A więc przedstawił się przez domofon - wtrąciła Paula, porządkując wydarzenia. - Potem przebrał się w „strój mordercy” w korytarzu na parterze, w niszy. Musimy ją bardzo dokładnie przeszukać.
 - To już załatwione - rzekł Saafeld. - Powiedziałem o wszystkim Hammerowi, a on wezwał policjanta, podobno specjalistę od tego rodzaju przeszukań. Firkins, tak chyba się nazywa. Nic nie znaleźli.
 - Hammer mógł coś przeoczyć - zauważył Tweed - ale nie Firkins. Znam go. Jest naprawdę dobry.
 - Ofiary były spokrewnione - powiedział cicho patolog. - To samo nazwisko... i doprawdy niezwykle podobieństwo fizyczne.
 - To siostry bliźniaczki - poinformowała go Paula. - Dopiero niedawno się o tym dowiedzieliśmy - dodała szybko. Zmusiła się do spojrzenia na odciętą głowę. Twarz niemal jak u Violi, ale nawet po śmierci twardsza. Znacznie twardsza.
 - Kiedy mniej więcej doszło do morderstwa? - spytał Tweed.
 - Stężenie pośmiertne dopiero się zaczęło. Tylko przypuszczam, ale powiedziałbym, że między północą a drugą nad ranem. Po sekcji będę w stanie powiedzieć dokładniej. Niepokoi mnie ta cała sprawa.
- W ustach profesora było to doprawdy niezwykle wyznanie.
- Dlaczego?
 - Wspomniałem ci kiedyś o „burzy krwi”. Człowiek mordujący w ten sposób znów uderzy. I to wkrótce. Viola zginęła mniej więcej dziesięć dni temu. Szalenciec będzie odczuwał żądzę mordu coraz częściej. Podejrzewam, że najdzie go już za trzy, może cztery dni. Ten proces na ogół ulega przyspieszeniu.
 - Kto ją znalazł?
 - Pani Gaskin. Wścibska baba. Mieszka na czwartym piętrze, wróciła do domu późno. Telewizor włączony był na pełny regulator.
 - Zagłuszał krzyki Mariny, póki nie uciszył ich knebel. To on go włączył.
 - Właśnie. - Saafeld spojrział na Tweeda. -Twoja dziewczyna potrafi szybko myśleć. Wracając do sprawy, pani Gaskin usłyszała telewizor na trzecim piętrze. Drzwi do mieszkania Mariny były otwarte. Weszła poskarżyć się, że nie może spać. Doznała szoku, bełkotała coś bez związku. Jej syn jest cywilnym urzędnikiem w Scotland Yardzie. Zadzwoniła do niego i przypadkiem dodzwoniła się do Hammera. Miał na tyle zdrowego rozsądku, że od razu mnie zawiadomił.
 - Co z tą kobietą? - zainteresowała się Paula.
 - Kiedy przyjechałem, jeszcze tu była. W dużym pokoju. Miała atak hysterii, usta się jej nie zamykały. Zadzwoniłem do prywatnego szpitala, kazałem położyć ją w separacie, pod ochroną twardego pielęgniarza. Karetka przyjechała bardzo szybko i od razu ją zabrała. Pomyślałem, że będziesz wolał sam zdecydować, kiedy ujawnić to morderstwo.
 - Dziękuję ci bardzo. A teraz chyba najlepiej będzie, jeśli sobie pójdziemy.
 - Chyba tak. Policijni technicy odwalili już swoją robotę. Czekam tylko na karetkę ze specjalnymi noszami. Chcę, żeby zabrali ją do mnie ułożoną

dokładnie tak jak teraz.

- Ułożoną - powtórzyła Paula, kiedy schodzili po schodach. - Co za okropne słowo.

Zeszli na parter. Poprosiła Tweeda, żeby chwilę zaczekał. Weszła do niszy, świecąc silną latarką, na rękach miała gumowe rękawiczki. Tweed czekał, mając nadzieję, że się pospieszy. Tak czy inaczej, tylko tracili czas.

Rzeczywiście, dziewczyna pojawiła się po zaledwie kilku minutach, ale... miała coś w dłoni. Medalion. Otworzyła go. Zawierał dwa zdjęcia: Violi i Mariny.

- Znalazłam to w mysiej dziurze. Morderca musiał go zgubić, zdejmując ten swój chirurgiczny strój.

- Ciekawe, skąd miał ten medalion?

- Ukradł. Chciał mieć trofeum. Cholerny sukinsyn.

Do mieszkania Pauli wracali w milczeniu. Przerwał je Tweed.

- Jeśli wierzyć Saafelowi, mamy tylko trzy, cztery dni. W tym czasie musimy złapać mordercę, bo jeśli się nam nie uda, zginie ko lejna kobieta. Musimy się spieszyć.

Rozdział 30

Powoli jechali opustoszałymi, cichymi ulicami. Mżyło. Tweed był śmiertelnie zmęczony, a to nie zdarzało mu się często. Paula ziewnęła, zasłaniając usta dłonią. Ona też ledwie trzymała się na nogach. Mieli za sobą długi dzień zakończony ponurym finałem w mieszkaniu Mariny.

Tweed wjechał na podwórko i zatrzymał się tuż przy drzwiach wejściowych do domu Pauli. Wysiadł sprawdzić jej mieszkanie, pozostawiając kluczyk w stacyjce, czego normalnie nigdy by nie zrobił. Dziewczyna poszła za nim.

Mieszkanie piętro niżej było ciemne. Zapewne lokatorka, samotna kobieta, wyjechała - zwykle paliła wszystkie światła długo w noc.

Nagle Paula wyczuła, że ktoś za nią stoi, poczuła lekki zapach chloroformu. Nabrała powietrza w płuca, wstrzymała oddech. Ktoś chwycił ją mocno za szyję, przyłożył do twarzy wilgotną szmatkę.

Tweed nie wiedział, co działo się za jego plecami. I jego odurzono chloroformem, ale w odróżnieniu od Pauli odetchnął głęboko w złym momencie. Niemal natychmiast stracił przytomność, lecz nie upadł, ktoś bowiem go podtrzymał w ostatniej chwili. Oboje wyniesiono z domu, wrzucono na tylne siedzenie samochodu.

Organizm Pauli wchłonął niewielką ilość chloroformu, wystarczającą zaledwie na to, by oszołomić ją na krótki czas. Jeden z mężczyzn pochylał się, założył ręce nieprzytomnego Tweeda na jego plecy i skuł je plastikowymi kajdankami. Ale dziewczyna powoli odzyskiwała świadomość. Rozłożyła dłonie. Ona też została skrupowana podobnymi kajdankami. Zdawała sobie sprawę z tego, co się dzieje. Słyszała głos dwóch mężczyzn.

- Wsiadaj do samochodu Tweeda - powiedział Radek. - Głupiec, zostawił kluczyki w stacyjce. Ukryj go tam, gdzie stoi nasz.

O Boże! Fitch i Radek!

- Nie - warknął Fitch. - Zostawiamy nasz wóz tutaj. Jest kra dziony, tablice rejestracyjne też. To ford. Tweed też ma forda. Minie ładnych parę godzin, nim ktoś się zorientuje, że coś tu jest nie tak.

- Po co przenosić ciała z samochodu do samochodu? Siadaj za kierownicą, Fitch.

- Chyba masz rację. Ja poprowadzę. Przykryj ich kocem. Nocą policja się tu nie pojawia. Jedziemy wprost do magazynu.

Podczas drogi zatrzymali się raz, krótko, na East Endzie. Radek wyrzucił nasycone chloroformem ściereczki do przypadkowego kosza na śmieci. Pojechali dalej.

W sprzyjającej chwili Paula wyciągnęła skute kajdankami, przykryte kocem rękę i sprawdziła puls Tweeda. Jego serce biło regularnie, był tylko nieprzytomny. Samochód zatrzymał się wreszcie, Fitch wysiadł, sprawdził, że w okolicy nie ma nikogo. Wrócił i zaczął wydawać rozkazy.

- Klódka zdjeta, drzwi otwarte. Radek, ty bierzesz Tweeda. Ja zajmę się jego dziwką.

Przerzucił Paulę przez ramię i za Słowakiem wszedł do środka po drewnianych schodach. Zatrzymał się na progu, włączył światło. Rozbłyły słabe lampy.

- Co z samochodem? - spytał Radek.

- Daj sobie siana. Wszyscy w okolicy wiedzą, że jeżdżą fordami i często je zmieniam. Połóżmy ich.

Rzucił bezwładną Paulę na podłogę; to tylko przyspieszyło jej powrót do przytomności. Radek równie brutalnie obszedł się z Twee-dem. Wyprostował się, podszedł do Pauli.

- Sprawdź, czy ma broń. Przeszukaj Tweeda.

- Ale uważaj - ostrzegł go Fitch. - Żadnych figli. Wiem, że masz słabość do babek, i będę ci patrzył na ręce.

Radek obmacywał dziewczynę udającą, że nadal jest nieprzytomna. Był wyjątkowo systematyczny, wiele uwagi poświęcił piersiom, po czym jego dłonie powoli przesunęły się niżej. Paula ubierała się w pośpiechu, kabura z berettą przesunęła się na wewnętrzną część łydki. Kiedy Radek zaczął obmacywać jej nogi, splunęła mu w twarz. Aż podskoczył ze zdumienia.

- Hej! - krzyknął. - Ona jest przytomna!

Uderzył Paulę w twarz tak mocno, że aż podskoczyła jej głowa. Poderwał się na nogi, splunął na nią z czystej zemsty, ale nie kontynuował przeszukania. Fitch tymczasem znalazł u Tweeda walthera w podramiennej kaburze. Cisnął nim, pistolet wylądował tuż przy ścianie magazynu.

- Nie będziesz go już potrzebował, przyjacielu - powiedział, uśmiechając się pogardliwie.

Tweed odzyskał przytomność. Patrzył wprost w twarz Fitcha, który, mimo swej bezwzględności, instynktownie cofnął się o krok.

- Świetnie, świetnie - zakpił, nadrabiając miną. - Miej oczy sze roko otwarte, przyjacielu. Napatrzysz się ciekawych rzeczy.

Paula, która usiadła już, ale nadal udawała oszołomioną, przyglądała się Radkowi majstrującemu przy czterech ustawionych w cztery różne strony świata projektorach; wyglądało to trochę jak w hollywoodzkim studio filmowym. Na ścianach wisiały wielkie ekrany. Co to takiego, do diabła?

- Teraz już sam sobie poradzisz - stwierdził Słowak. - Ja idę na piwo. Tak dobrego jak w Bratysławie nie znajdę, ale nawet byle jakie jest lepsze niż żadne.

- Spadaj! - warknął Fitch.

Pochylił się nad uchwytem w podłodze, przy którym leżał Tweed. Podniósł dużą, okrągłą drewnianą klapę. Paula usłyszała dobiegający z dala cichy szum płynącej wody. Wcale się jej nie podobał.

- Po co ci to? - spytał Radek.

- Jeśli któreś nie oszaleje na dobre, skończy tam, na dole. Kiedy poznasz mnie lepiej, zrozumiesz, że ja zawsze myślę o wszystkim. A teraz włącz te swoje cudowne maszyny i spieprzaj utopić się w piwie.

Fitch założył słuchawki. Paula zdumiała się jeszcze bardziej. Kątem oka dostrzegła, jak Radek pochyla się nad projektorami.

- Możesz zostać i obejrzeć sobie ten spektakl - powiedział Fitch.

- Widziałem już wielokrotnie. Włączam to i idę na piwo.

Projektory ruszyły, na ekranach pojawiły się obrazy. Poprawił ostrość. To straszne, pomyślała dziewczyna. Tweed zdołał usiąść. Skute na plecach ręce czyniły go bezradnym.

Radek przesunął do połowy pokrętło wzmacniacza. Magazyn przeszył straszny, piskliwy, rozsadzający uszy dźwięk. Zdenerwowana, rozdygotana Paula rozchyliła skrępowane ręce, jak najdalej mogła. Od pokazywanych na ekranach obrazów wywracał się jej żołądek. Na polu stoi spętana, unieruchomiona krowa. Podchodzi do niej mężczyzna z wielkim toporem, bierze zamach, jednym ciosem odcina jej łeb. Tryska krew, nogi nieszczęsnego zwierzęcia drżą, mimo iż już nie żyje, potężne cielsko wali się wreszcie na ziemię. Kolejny obraz na kolejnym ekranie. Wieśniaczka przywiązana do kamiennego bloku. Podchodzi do niej mały grubas, także z toporem. Opiera ostrze na nagiej szyi ofiary. Widać jej szeroko otwarte usta, można tylko wyobrazić sobie, jak strasznie krzyczy. Gruby mężczyzna unosi topór wysoko nad głowę, ze straszną siłą spuszcza go na nagą szyję, głowa kobiety toczy się po ziemi. Kat bezlitośnie kopie ją w stronę kamery. Głowa znika.

Paula spojrzała na pozostałe ekrany. Na każdym z nich widać było podobne, makabryczne sceny. Z największym wysiłkiem powstrzymywała mdłości. Do trzech kobiet przywiązanych do skały podchodziło trzech mężczyzn z siekierami. Tym razem miała to być egzekucja zbiorowa.

Jęknęła głośno. Kobiety miały nagie brzuchy. To brzuchy, nie głowy, miały być celem.

Fitch podszedł, pochylił się, szepnął jej do ucha:

- Jakoś tu za cicho. Podkręć dźwięk.

Zachichotał i obrócił pokrętło wzmacniacza. Piekielne krzyki odbiły się od ścian magazynu. Wycie straszne, przeraźliwe, wręcz nieznośne dla uszu. Fitch znów zachichotał wprost w jej ucho, odszedł, usiadł na prostym drewnianym stołku plecami do niej, twarzą do Tweeda. Dziewczyna obróciła się na bok, mimo bólu skrępowanych rąk sięgnęła do łydki, wyrwała berettę z kabury.

Pierwsza kula trafiła Fitcha w łopatkę, druga w plecy, blisko kręgosłupa. Paula obróciła się, zaczęła strzelać do wzmacniacza, do ekranów. Straszne obrazy znikły, zapadła niesamowita cisza.

Tak szybko się to zdarzyło. Mimo więzów Tweed zdołał podczołgać się do stołka i go przewrócić. Fitch ześlizgnął się do zsuwni, rękami bezradnie macał podłogę.

Tweed wyprostował się z wysiłkiem. Stał przy zsuwni, nieruchomym wzrokiem wpatrywał się w przerażoną twarz Fitcha. Teraz Fitch wrzeszczał. Ale nie tak strasznie jak ta dziewczyna z nagrania, pomyślała Paula.

- Pomóżcie mi! Proszę! Pomóżcie!

Tweed przydepnął czepiającą się rozpaczliwie desek podłogi dłoń. To wystarczyło. Fitch spadł. Choć rozpaczliwie machał rękami, nie znalazł oparcia. Usłyszeli, jak wpada do wody, jak topi się, jak wypuszcza powietrze z płuc. A potem nic już nie słyszeli.

Rozdział 31

Tweed odwiózł Paulę do jej mieszkania. Oznajmił, że prześpi się na kanapie, co dziewczyna przyjęła z ulgą i podziękowaniami. Oboje odczuwali skutki niedawnych przeżyć, no ale mieli jeszcze coś do zrobienia.

Włożyli jednorazowe rękawiczki. Weszli do forda, który Fitch zostawił obok domu dziewczyny, w zaułku z tyłu. Na szczęście bandzior zostawił kluczyki na przednim siedzeniu, miał przecież wrócić po wóz. Zresztą wcześniej też mieli szczęście: kluczyki do wozu Twee-da znaleźli w tym samym miejscu. Najwyraźniej Fitchowi bardzo zależało na czasie.

Tweed odjechał jego samochodem, Paula w swoim trzymała się tuż za nim. Znalazł pusty zaułek na East Endzie, zostawił tam samochód bandyty, przesiadł się za kierownicę swojego samochodu i wrócił pod dom dziewczyny. Zaparkował od tyłu, z dala od ludzkich oczu. Oczywiście wcześniej oboje wyswobodzili się z kajdanków.

Byli wyjątkowo zmęczeni. Tweed zjadł kanapkę przygotowaną przez Paulę, nim dziewczyna poszła do sypialni. Powiedział jej, że może spać spokojnie, jest bezpieczna. Walthera położył na poduszce, pod ręką.

Jeśli bał się, że zaśnie, to niesłusznie. Przestał być senny, gdy tylko wyjął notatnik. Wypisał listę wszystkich osób, które mogły być związane z morderstwem, i każdego, kto pojawił się w jakimkolwiek charakterze w prowadzonym przez niego śledztwie.

Wczesnym świtem, ku jego zdumieniu, pojawiła się Paula, świeża i ubrana do pracy.

- Myślałem, że pośpisz jeszcze ładnych parę godzin!

- Miałam dziwny sen. Śniło mi się, że jestem sama w biurze. Otwierają się drzwi. Wchodzi mężczyzna, ma w ręku tasak do mięsa. Przeraził mnie tak, że nie byłam w stanie się ruszyć. Patrzył na mnie niesamowitymi oczami zza niesamowitych okularów. Próbowałam krzyknąć, ale nie byłam w stanie wykrztusić ani słowa. I wtedy się obudziłam.

- A kto to był?

- Benton Macomber. W tych swoich okularkach.

Tweed nie musiał sprawdzać notatek, by wiedzieć, że na jego Uście wysokie miejsce zajmuje właśnie Benton. Powiedział tylko, że sny to kiepski substytut faktów i dowodów, z czym Paula musiała się oczywiście zgodzić. Dodała jeszcze, że przygotowała śniadanie i musi wyjść, bo jest z kimś umówiona.

- A niby z kim? O tej porze?

- Z Coral Flenton. Wiem, że wstaje wręcz nieludzko wcześnie. Mam nadzieję, że zdążę wypić z nią filizankę kawy.

Tweed odwiózł ją do Covent Garden na zapowiadzaną rozmowę. Zaparkował w wyznaczonym miejscu tak wybranym, że widział samochód z wejścia do budynku, przy którym zajął posterunek. Kilka minut po tym, jak Paula weszła do domu Coral, dostrzegł znajomą sobie osobę.

Papuga w długim płaszczu i kapeluszu zasłaniającym twarz zatrzymała się po drugiej stronie ulicy. Otworzyła gazetę, udawała pogrążoną w lekturze. Tweed nie miał wątpliwości, że obserwuje wejście. Dlaczego?

Coral, która przyjęła Paulę obudzona, ubrana i przygotowana do wyjścia, wydawała się uradowana wizytą. Powitała gościa kawą, poczęstunek został przyjęty z wdzięcznością.

- Może śniadanie?
- Zdążyłam coś zjeść. A ty?
- Zjadłam przed godziną. Miło cię widzieć. Dostałaś mój list?
- Właśnie zamierzałam ci za niego podziękować. - Paula usiadła w fotelu.
- Wydawałaś się taka podekscytowana. Masz nowego chłopaka? A może nie powinnam pytać?
- Rzeczywiście, to tajemnica. Chciałam ci powiedzieć, ale zmieniłam zdanie, przepraszam. Pierwsza dowiesz się wszystkiego, tylko ja sama muszę się jeszcze upewnić. Pozwól, że pokażę ci teraz resztę mojego bezpiecznego portu na tej ziemi.

Drzwi po drugiej stronie korytarza prowadziły do sporej sypialni. Najwięcej miejsca zajmowało w niej podwójne łóżko z wysokim zagłówkiem. Po jego obu stronach na wypolerowanym parkiecie leżały dywaniki. Przy ścianie stała elegancka toaleta.

- Zajrzyj do szafy - zaproponowała Coral. - Powinnam powie dzieć „garderoby”, ale chyba rozumiesz, dlaczego użyłam amerykańskiego określenia.

Paula otworzyła podwójne drzwi. Musiała mocno ciągnąć, bo się zacinały. „Szafa” okazała się zaskakująco szeroka i głęboka, niczym niewielki pokój. Wisiało tu mnóstwo ubrań. Uwagę przyciągały kurtka z wielbłądziej wełny, elegancki płaszcz wieczorowy i równie elegancki płaszcz przeciwdeszczowy. Paula weszła do garderoby. Corai zachichotała, przymknęła drzwi. Automatycznie zapaliło się światło. Otworzyła je.

- Podłączono je odwrotnie - wyjaśniła. - Powinno włączać się po otwarciu drzwi. Mam zamiar wkrótce to poprawić.
- Ładne ubrania - przyznała Paula, wychodząc.
- Drogie.
- To ten nowy facet?
- Nie. Jeszcze nie. Ciotka wzięła ślub z bogatym facetem. Przysłała mi pokazny czek, a ja już wiedziałam, co z nim zrobić.
- No, to masz wszystko, czego chciałaś.
- Niekoniecznie. - Coral nagle spoważniała.
- Jak to? O co chodzi?
- O tego człowieka, który mnie śledzi. Idę sobie ulicą i czuję, że on jest za mną. Oglądam się, lecz nikogo nie widzę. Okropne.
- Potrafisz opisać tego kogoś?

- Przecież go nigdy nie widziałam! Ale wiem, że gdzieś tam jest. Głupio to brzmi, prawda? Chyba cierpię na nadmiar wyobraźni. To taka kobieca cecha. - Roześmiała się. - Może nawet ma coś wspólnego z próżnością?

Paula przyjrzała się jej uważnie. Papuga była piękną kobietą, choć wyraźnie dojrzałą, a to z pewnością denerwowało pewne kobiety. Coral wyglądała młodziej i wydawała się o wiele atrakcyjniejsza, miała metr sześćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, zgrabną figurę i wspaniałe rude włosy, które upinała wysoko. Jej twarz ukształtowana była doskonale: wysokie czoło, duże oczy, prosty nos, pełne usta. Tak jest, kobiety starsze od niej miały wszelkie powody do nienawiści.

- Wiesz coś o Papudze? Tak prywatnie?

- Dorastała w Midlands, w miejscowości Walkhampton. To niewielkie miasteczko przemysłowe. Tam chodziła do prywatnej szkoły podstawowej, skończyła liceum. Wyjechała w wieku dwudziestu lat do Londynu, zdała egzaminy na urzędnika państwowego. Jej rodzice zginęli w wypadku samochodowym. Po egzaminach, w których osiągnęła znakomite wyniki, postanowiła - sama mi o tym powiedziała - że dotrze na szczyt, choćby miała iść po trupach.

- Ale teraz zaczęła zachowywać się bardzo przyjacielsko?

- Owszem. Sama ci o tym powiedziałam. Ale teraz znów zrobiła się obrzydliwa. Upokarza mnie. - Coral całkiem udatnie naśladowała trajkoczącą Papugę: - „Panno Flenton, co z ołówkami, które dałam do zatemperowania? Mają być jak brzytwa! Jeszcze raz, proszę, ale szybko! Nie potrafi pani zrobić przyzwoicie nawet tego? Pani jest po prostu leniwa, panno Flenton! Pewnie przez cały czas myśli pani o mężczyznach! Proszę zajmować się tym problemem poza godzinami pracy. Bo to chyba dla pani wielki problem. Pani jeszcze tu stoi? A co z tymi przekłętymi ołówkami?!”. Czepia się dosłownie wszystkiego.

- Można powiedzieć, że lekko przesadza, prawda?

- Moja przyjaciółka pracująca w sąsiednim wydziale ma ją za wariatkę. Ja to uważam za przesadę. Ale z drugiej strony te jej nagłe zmiany nastroju... A w ogóle przepraszam, że zwałam na ciebie moje problemy. Następnym razem nie będziemy rozmawiały o mojej pracy.

- Na mnie już czas. - Paula wstała. - Z tobą zawsze interesująco się rozmawia. Jeśli nie masz nic przeciw temu, wkrótce znów się spotkamy.

- Ależ oczywiście. Nie zapomnij, że masz zapasowe klucze, możesz zawsze przyjść i poczekać, aż wrócę z pracy.

Oparty o samochód Tweed dostrzegł, jak otwierają się drzwi. Paula i Coral pożegnały się bardzo serdecznie. Zamyślona Paula ruszyła powoli w jego kierunku.

Papuga zobaczyła obie dziewczyny i szybkim krokiem odeszła w przeciwnym kierunku. Tweed otworzył drzwi od strony pasażera. Paula wsiadła i zrelacjonowała mu całą rozmowę słowo po słowie. Opisała także mieszkanie Coral. Kiedy skończyła, poinformował ją o obecności Papugi.

- Nic z tego nie pojmuję - przyznała Paula.

- A ja owszem. - Tweed wrzucił bieg, dodał gazu. - Kiedy was zobaczyła, znikła natychmiast. To bardzo wymowne.

-I co?

- Spodziewała się zobaczyć mężczyznę. Mężczyznę, który spędził w tym mieszkaniu noc.

- Kogo?

- Bardzo mi przykro, ale nie mam pojęcia. Mam do rozwiązania sprawę dwóch morderstw i dwie kobiety, rzucające się sobie do gardła, nie mogą mi w tym pomóc. - Zmarszczył brwi. - A może jednak mogą?

Członkowie Konspiracji siedzieli przy swym dziwnym, trójkątnym stole. Nelson bawił się suszką, przekładał pióra i długopisy, i w ogóle zdradzał bardzo dla niego nietypową nerwowość. Bracia czekali na jego słowa.

- Moim zdaniem musimy zrobić coś, żeby ci nasi trzęsący portkami członkowie gabinetu poparli ustawę o połączeniu służb bezpieczeństwa. I to szybko - powiedział w końcu.

- Może pora trochę ich postraszyć? - bardziej zasugerował, niż spytał Noel. - Gdyby w Londynie nastąpił wybuch... oczywiście akt terroryzmu... to chyba załatwiłoby sprawę?

- W Londynie? Gdzie? - zdumiał się Nelson. Sprawiał wrażenie przerażonego. - Przecież nie wolno nam ryzykować ofiar!

- Richmond Park.

- Oszałałeś! - Benton skrzywił się, przesywając go mrozącym spojrzeniem zza okularów.

- Jest szalony jak marcowy zając! - Nelson nie wytrzymał, podniósł głos.

- Mój pośrednik już znalazł odpowiednie miejsce - tłumaczył Noel swym charakterystycznym spokojnym tonem. - To część parku najbardziej oddalona od rzeki. Jest tam wejście nieużywane o tej porze roku. Jedynymi ofiarami, jeśli w ogóle do tego dojdzie, będzie kilka drzew. Policja uzna, że kierowca chciał dotrzeć okrężną drogą na popularniejszy wśród spacerowiczów teren, ale ładunek wybuchł przedwcześnie. Panikę mamy jak w banku, a nikt nie zostanie nawet draśnięty.

- Do tego stopnia ufasz... pośrednikowi? - zdziwił się Nelson.

- Ufam mu całkowicie.

Noel często stosował taktykę powoływania się na tak zwanych pośredników. Bracia nie mieli pojęcia, że osobiście kontaktuje się ze swoimi ludźmi.

- I co o tym myślisz? - Nelson zwrócił się do Bentona.

- Potrzebujemy czegoś, co by wstrząsnęło panami ministrami.

- Nie da się ukryć. - Na szerokiej twarzy Nelsona malował się wyraz bezsilności. - Będziemy głosować. Jeśli zgadzimy się wszyscy, przystępujemy do działania.

Jednocześnie podnieśli lewe ręce. Noel wstał; bardzo starał się nie uśmiechnąć.

- Świetnie - powiedział. - Muszę wyjść i zatelefonować.

Kiedy Paula i Tweed przyjechali na Park Crescent, zastali zespół w komplecie. Marler wkładał do torby kombinezon i wyposażenie lotnika. Włożył hełm, sprawdzając, czy nic go nie uwiera.

- Co tu się dzieje? - spytał Tweed, oddając płaszcz Monice.

Odpowiedział mu Harry, który zdążył już włożyć kurtkę od mun duru polowego. Właśnie chował granaty do kieszeni.

- Uznaliśmy, że warto sprawdzić, co z tą ciężarówką i czy jeszcze tam stoi. Marler podrzuci mnie na miejsce. Podobno wie od ciebie, że można wylądować na tym wysokim wzgórzu.

- Najwyższej Górze. - Tweed skinął głową. - Macie wyjaśnić wszystko, co wyda się wam zagadkowe. Byle szybko.

- Więc jeśli ciężarówka stoi, gdzie stała, i nikogo przy niej nie będzie, sam ją wysadzę.

- Zgoda. Dziś rano Paula i ja usunęliśmy z naszej drogi kilka niebezpieczeństw. Zakładam, iż wszyscy wiecie, że doszło do kolejnego przerażającego morderstwa. Ofiarą jest kobieta. Modus operandi sprawy bez zmian.

- Informacja jest już w późnym wydaniu „Daily News” - rzekł Newman. - Drew Franklin, oczywiście. Facet musi mieć wspaniałe kontakty.

- Oficjalnie „bez komentarza” - warknął Tweed. - A tak nieoficjalnie... jestem pewien, że pan nadinspektor jest bogatszy o dobre dwieście funtów. Macie tę gazetę?

- Wynosimy się!

Marler i Harry znikli. Tweed zabrał się do lektury.

SIOSTRA VIOLIVANDER-BROWNE OKRUTNIE ZAMORDOWANA

Na mapie Londynu pojawił się kolejny Dom Śmierci. Dziś rano znaleziono zwłoki Mariny Vander-Browne w jej mieszkaniu w May-fair. Podobnie jak przed tygodniem siostrze Mariny, Violi, jej także odcięto ręce, nogi i głowę. Nadinspektor Hammer twierdzi, że śledztwo postępuje w zadowalającym tempie.

- Śledztwo cofa się w zadowalającym tempie - prychnął Tweed, oddając gazetę Bobowi.

Wstał. Rozejrzał się po twarzach obecnych w biurze współpracowników. Wszyscy się zorientowali, że za chwilę usłyszą złe nowiny.

- Powinniście wiedzieć, że zdaniem profesora Saafelda nasz przyjaciel -lub przyjaciółka - może uderzyć ponownie, i to już za kilka dni. - Tweed mówił z powagą. - Saafeld nazywa to „burzą krwi”. Sprawca czuje nieprzepartą ochotę dokonania mordu. W miarę jak przymus ten staje się coraz silniejszy, maleje czas pomiędzy zbrodniami. A więc na zidentyfikowanie mordercy mamy tylko parę dni. Chcę, żebyśmy dowiedzieli się wszystkiego o Konspiracji. Za jednym podejściem. Newman, ty masz zbliżyć się do Noela. Przypiecz go. Nield, twoim celem jest Benton. Paula porozmawia z Papugą.

- Mogę odczekać kilka godzin? - spytała dziewczyna. - Chciałabym coś załatwić przed tym spotkaniem.

- Zgoda. Ja się dobiórę do Nelsona, ale to chyba musi poczekać do wieczora. Howard chce, żebyśmy razem zredagowali raport dla premiera. Najważniejsze to przekazać ten dokument w idealnym momencie. Marler i Harry dostaną zadania, gdy tylko wrócą z Peck-ham Mallet. Poza tym muszę jeszcze odbyć krótką rozmowę z generałem Macomberem. Wracam późnym popołudniem.

- Pojedziesz tam sam? - spytała zaniepokojona Paula.

- Sam. Bez dyskusji. Generał w coś gra. A ja mam dla was podpowiedź, być może przydatną. Szukamy kogoś, mężczyzny lub kobiety, zdolnego do popełnienia najbardziej sadystycznego okrucieństwa.

- Kogoś, kto przed laty ukręcił głowę temu kotu... - odpowiedziała Paula.
 - Możliwe. Pamiętajcie, możemy mieć zaledwie dwa dni na zapobieżenie trzeciej przerażającej zbrodni.
- Minęło południe. Tweed jechał w stronę Tolhaven i promu na Black Island, a Marler i Harry wracali do biura. Tam i z powrotem polecili lekkim samolotem Marlera. Harry trząsł się na siedzeniu obok pilota.
- Przydałby mi się łyk brandy - przyznał, wchodząc do biura na nieco chwiejnych nogach.
- Monica poderwała się z krzesła, podbiegła do szafki, wyciągnęła z niej butelkę i szklaneczkę. Napełniła ją niemal po brzegi, a mimo to Harry wypił połowę drinka jednym łykiem. Odetchnął z ulgą. Osuszył szklaneczkę, znowu odetchnął z ulgą, wyprostował się. Wyglądał o wiele lepiej. Zajął swoje ulubione miejsce, siadając po tu-recku na podłodze.
- W drzwiach pojawił się kpiąco uśmiechnięty Marler. Minął go, oparł się o ścianę, wsadził papierosa do kościanej cygarniczki, zapalił.
- Mieliśmy ciekawą przygodę... - zaczął.
 - Przygodę? To był koszmar!
 - Opowiem wam, co się stało. Monico, notuj, przygotowujemy od razu raport dla Tweeda.

Rozdział 32

- Prowadził Marler. Pojechali na małe prywatne lotnisko na obrzeżach Londynu. Jego właściciel kazał swoim ludziom wypchnąć maszynę na pas.
- Obaj założyli hełmy ze słuchawkami, podobno po to, żeby mogli spokojnie ze sobą rozmawiać podczas lotu. Harry zrobił to bardzo niechętnie. W ogóle nienawidził latania. Bez entuzjazmu zajął miejsce obok pilota. Samolot ostro wzbił się w błękitne, prześwietlone złotymi promieniami słońca niebo, na którym nie było ani jednej chmurki.
- Trochę rzuca...
 - Przyjacielu, to bardzo spokojny lot. Rozejrzyj się tylko, co za wspaniałe widoki!
 - Doprawdy?
- Marler zajął się mapą, sprawdzając właściwy kurs. Harry uparcie gapił się przed siebie. Najwyższa Góra koło Peckham Mallet. Niedaleko domu generała Macombera. Spojrzał na bladą, spoconą twarz przyjaciela.
- To nie potrwa długo - obiecał.
 - Już mam wrażenie, że minęła wieczność.
 - Odpręż się. Kiedyś leciałem tą zabawką do Prowansji. Na południe Francji.
 - Dzięki Bogu, że mnie z tobą nie było.
 - Weź to i popij wodą z butelki, którą ode mnie dostałeś. Drama-mina. Paula przysięga, że jest najlepsza. Zawsze ją bierze, kiedy leci przez Atlantyck. Jedenastogodzinny lot do San Francisco.
- Harry popatrzył podejrzliwie na małą żółtą tabletkę, ale łyknął ją posłusznie.
- Okłamałem cię. - Marler roześmiał się głośno. - Wmusza je w Tweeda, kiedy gdzieś lecą albo płyną, choćby przez kanał La Manche.
- Harry zamilkł i tylko wpatrywał się przed siebie ponuro. Marler podziwiał krajobraz. Widoczne w krystalicznie czystym powietrzu łagodne wzgórza

wyglądały niczym nieruchome zielone fale oceanu. Wśród zielonych lasów wiły się drogi, po których jechały samochody z tej wysokości nie większe od dziecinnych zabawek. Przelecieli nad granicą między Surrey i Sussex.

- Przed nami turbulencja - ostrzegł.
- A co to takiego?
- Może trochę huśtać samolotem. Na boki, w górę i w dół...
- Odwieź mnie do domu!
- My nigdy nie przerywamy misji.
- Przecież to coś może się rozbić - szepnął Harry.
- Nie wtedy, kiedy ja siedzę za sterami.

Samolotem nagle zakołysało. Spadł kilkanaście metrów jak kamień, potem nagły podmuch powietrza wyniósł go w górę. Marler obejrzał się. Harry wyglądał nieco nieprzytomnie, ale rozglądał się dookoła, a na jego twarzy pojawiły się nawet rumieńce. Zainteresował się otoczeniem.

- Przez chwilę jazdę mieliśmy raczej wyboistą - zauważył. Dra-mamina działała bezbłędnie. - A to przed nami to co? - spytał, wyciągając rękę. - Alpy?
- Alpy są w Szwajcarii. Patrzysz na Najwyższą Górę.
- Widzę wielką ciężarówkę na łące. To pewnie ta nasza. Chwileczkę! Zbliży się do niej jakiś człowiek. Leć prosto!

Przyłożył do oczu potężną lornetkę. Dzięki niej wyraźnie widział atletycznie zbudowanego faceta w dżinsach i wiatrówce, rozpoznał nawet jego wstrętą gębę, mimo czapki z daszkiem. Zaklął brzydko.

- O co chodzi? - zainteresował się Marler.
- Widzisz tego faceta przy ciężarówce? Oprych Morgan. Prawdziwa zaraza. Oskarżony o dwa morderstwa, które rzeczywiście popełnił, ale został wypuszczony dzięki proceduralnym kruczkom. Kumpel Fitcha. Patrzy na nas.

- Musimy go zmylić. Poszalejemy trochę. Trzymaj się!
Marler przerzucił maszynę na plecy, w jednej chwili Harry miał nad głową niebo, w następnej ziemię. Wrzasnął ze strachu.

- Spokojnie, nic się nie dzieje!
- Druga pętla. Ziemia tak blisko! To katastrofa! Z pewnością katastrofa! Nagle maszyna wyrównała, niebo i ziemia wróciły na swoje miejsce.

- Po cholere ci to było?
- Żeby zmylić Oprycha. Przecież mówiłem. Teraz pewnie pomyśli, że to tylko dwóch popaprańców wesoło się zabawia.
- Popaprańcy to bardzo właściwe słowo.
- Obserwuj go. Co robi?
- Chyba przestał się nami interesować. Wsiada do szoferki. Zaraz ruszy. Lepiej zachowajmy bezpieczną odległość.

Ciężarówka przejechała nie więcej niż trzy metry i wybuchła. Dosłownie uniosło ją w powietrze. Najpierw zobaczyli oślepiający błysk, potem usłyszeli głuchy, potężny huk. Dach przełamał się na dwie części, burty się rozpadły, szoferka z siedzącym w niej kierowcą znikła bez śladu. Szczątki spadły do wybitego w szczerym polu niewielkiego krateru.

Marler zakończył swą opowieść niemal dokładnie w chwili, gdy Tweed parkował

samochód pod Tolhaven.

Na wyspę popłynął z innym przewoźnikiem. I inną drogą niż ta, którą poprzednio płynął z przyjaciółmi, widział więc z morza brzydkie kopuły stojące na zachodnim brzegu rafinerii.

Nic nie przygotowało go na to, co się stało, kiedy mijał małą wioskę Lydford.

Rozdział 33

Zamiast skrócić w lewo, w stronę domu generała Macombera i Crooked Village, Tweed skręcił w prawo i śladem samochodowych opon poszedł w stronę miejsca, gdzie Słowacy budowali straszne więzienia. Spomiędzy drzew dostrzegł osiem budynków. Przerazający widok.

Po prawej stronie, również widoczna między drzewami, wznosiła się rafineria. Tweed zatrzymał się, podniósł lornetkę do oczu. Wysoki, szczupły mężczyzna, ubrany w kompletny mundur połowy, odłączał właśnie gumową rurę od uchwytu. Na dłoniach miał żaroodporne rękawice. Sprawdzał, czy zawór zamknął się automatycznie po odłączeniu przewodu. Wyprostował się i ruszył w jego stronę. Przez ramię przewieszony miał karabin.

Trzy metry od miejsca, w którym stał Tweed, rura skręcała w stronę więziennych budynków. Promień słońca odbił się od oleistej cieczy, którą była pokryta. W powietrzu unosił się charakterystyczny zapach ropy.

Mężczyzna był już blisko. Nie zwalniał kroku. Karabin trzymał w dłoniach, mierzył w intruza. Ale Tweed zdążył wyjąć walthera z kabury.

- Generale - powiedział ostro. - Przecież nic nam nie przyjdzie z tego, że się teraz pozabijamy.

- Słusznie. - Generał Macomber opuścił broń. - Przyszedł pan w najgorszym możliwym momencie. Znakomicie!

- Znakomicie?

- Z pańskiego punktu widzenia.

- Dosłownie przed chwilą zszedłem z promu.

- Przewoźnik się zmienił. Doskonale.

- Dlaczego?

- Nie rozpozna pana, gdy będzie pan wracał. Odpływa na ląd za dziesięć minut.

A później do Londynu. Zdąży pan obejrzeć fajerwerki.

- Fajerwerki?

- To piekielne więzienie musi zniknąć. Poleciałem także wstrzymać miesięczne wypłaty dla moich złowrogich potomków. Jest pan gotowy?

- Na co?

- Na fajerwerki.

Z tymi słowami generał Macomber wyjął zapalniczkę, pochylił się i podpalił biegnącą w stronę więzienia rurę. Płomień pomknął po jej powierzchni. Generał wyprostował się, podszedł do Tweeda.

- Im bliżej budynków, tym więcej paliwa w rurze - rzekł. - Przez pewien czas współpracowałem z saperami.

Widok płomienia był niemal hipnotyzujący. Generał Macomber zerknął na zegarek.

- Prom odpływa za pięć minut. Proszę zaczekać jeszcze chwilę.

- Słowacy nie mają materiałów wybuchowych, prawda?

- Zauważyłem, że dość beztrzesko obchodzą się z granatami.
- Czyli...
- To proste. Granaty wybuchną.
- Zakładam, że nasi przyjaciele mają przerwę obiadową...
- Na ogół jedzą w więzieniu. Zostało tylko parę sekund. -I...
- Słowacy są w środku.
- Pan ich nie lubi, generale?
- Nie tych, którzy pochodzą z Tatr. W Bratysławie spotkałem kilku naprawdę sympatycznych.

Płomień dotarł pod budynki. Nie było przy nich wartowników. Rzeczywiście, karygodna beztrzeska.

- Wybuchające granaty powodują bardzo nieprzyjemne rany - zauważył Tweed.
- Och, nie chodzi tylko o to. Obejrzałem sobie to miejsce w nocy. Słowacy mają obóz blisko budynków więziennych. Znalazłem tam spory zapas semtexu.
- O Boże!

Sądzę, że powinien pan już pospieszyć na prom. Proszę pamiętać, nigdy tu pana nie było. Ja odbywam drzemkę w domu. Życzę panu szczęścia w schwytaniu tego bestialskiego mordercy. Nie wątpię, że to się uda. Ogień sięgnął już części rury wypełnionej ropą. Proszę odejść.

Rura rozbłysła jaskrawo. Płomień sięgnął wnętrza kompleksu więziennego. Tweed poszedł szybko w kierunku przystani. Prom już odpływał. Wskoczył do niego i ułożył się na dziobie, by móc jak najszybciej wysiąść.

Obejrzał się w połowie kanału. Niebo za rafinerią stało w ogniu. Płomienie ogarniały horyzont. Black Island, Czarna Wyspa, stała się Wyspą Szkarłatną. Przewoźnik gapił się w zdumieniu na to piekło, z każdą chwilą coraz bardziej piekielne. Nagle rozległ się potężny, basowy huk. Ogień dotarł do semtexu.

Kompleks więzienny znikł, podobnie jak Słowacy, którzy go zbudowali. Na tle nieba widać było wznoszące się majestatycznie wielkie arkusze stali. Czy to tylko wyobraźnia, pomyślał Tweed, czy też na tle nieba rzeczywiście pojawiło się wyrzucone wybuchem, płonące ciało?

- Durni cudzoziemcy! - wrzasnął przewoźnik.

Tweed tylko wzruszył ramionami, nie obrócił się i nic nie powiedział. Na przystani wyskoczył z promu i szybkim krokiem poszedł w stronę Tolhaven. Przewidując kupił bilet powrotny, nie musiał więc dobijać się do kasy.

Jak zwykle wąska główna ulica miasteczka była opustoszała. Dotarł do swego samochodu, wsiadł i dopiero teraz zdjął берет. Zdumiewające, jak taki drobiazg zmienia człowieka, który z zasady nigdy nie nosił nakrycia głowy.

Wjechał na szczyt wzgórza, zatrzymał się na poboczu, obejrzał się za siebie. Zachodni przylądek Black Island płonął.

Po drodze na Park Crescent Tweed rozważył, co widział i przeżył, i w myśli skreślił generała Macombera z listy podejrzanych o morderstwo.

Rozdział 34

W tym samym czasie Bob Newman posłusznie wypełniał rozkazy.

Miał porozmawiać z Noelem Macomberem, więc do niego zadzwonił.

- Mówi Robert Newman z SIS. Chyba powinniśmy się spotkać. Jak najszybciej.
- Dlaczego? - rozległ się w słuchawce cichy, doskonale kontrolowany głos.

- By znaleźć pokojowe wyjście z sytuacji.
- Rozumiem - odpowiedział Noel po długiej chwili milczenia. Musiał porozumieć się z braćmi. - Kiedy? Gdzie?
- Już. Mogę przyjechać po ciebie o dwunastej. Jest w pobliżu jakiś dyskretny bar?

- Jest. Wyjdę z biura o dwunastej.

Skutkiem tej rozmowy Bob i Noel Macomber znaleźli się w barze na Victoria Street, eleganckim lokalu, z fotelami obitymi autentyczną skórą. Siedzieli przy stoliku, Noel głębiej, oparty o ścianę. W dłoni trzymał drugą szklaneczkę szkockiej. W Newmanie nadal budził zdziwienie: ubrany był w elegancki biały garnitur, różową koszulę, krawat w jaskrawych kolorach i dwubarwne półbuty. Żaden nie chciał odezwać się pierwszy.

Młodszy Macomber miał twarz trójkątną, zwężającą się do wysuniętej szczęki. Był na swój sposób przystojny, z pewnością wiele kobiet uznałoby go za co najmniej atrakcyjnego. Jego żółte oczy, sprawiające wrażenie pozbawionych powiek, niemal się nie poruszały.

Bob uznał, że najwyższy czas zadać śmiertelny cios.

- Co robiłeś w te dwa wieczory? - spytał, przesuwając po blacie stolika kartkę papieru z wypisanymi na niej datami morderstw. - Między jedenastą w nocy i drugą nad ranem?

- Dziwne pytanie. Zdaje się, że mieliśmy rozmawiać o pokojowym rozwiązaniu?

- Tweed ma długą listę podejrzanych. Wykreślimy cię z niej i porozmawiamy z kolejnym podejrzanym. Takie to proste.

- Naprawdę się spodziewasz, że będę pamiętał, co robiłem w dwa całkiem przypadkowo wybrane wieczory?

- A owszem. W obu przypadkach, Violi i Mariny, gazety narobiły niezłego zamieszania.

Noel skinął głową.

- Słuszna uwaga - przyznał. - W oba wieczory popiłem sobie. Wróciłem do domu o dziesiątej i oczywiście poszedłem spać.

- Czy ktoś może to potwierdzić?

- W tych szczególnych wypadkach nie. - Noel uśmiechnął się znacząco. - Nie miałem akurat przy boku żadnej dziewczyny. Byłem zbyt pijany.

- Znałeś Violę? Marinę?

- Odwiedziłem Marinę jakiś miesiąc temu. O północy. - Znów ten znaczący uśmiech. - Pracuje tylko w nocy i nad ranem... jeśli wiesz, co mam na myśli.

-Co z Violą?

- O niej dowiedziałem dopiero wtedy, kiedy w gazecie przeczytałem o jej nieszczęśliwym... wypadku.

- Dla niej był chyba nawet bardziej niż nieszczęśliwy.

- Zapewne masz rację. - Noel dopił whisky, poprosił o kolejną szklaneczkę, spojrzął na Newmana, podnosząc cienkie brwi. Bob tylko pokręcił głową. Nadal nie dopił pierwszego drinka. - Słuchaj, Newman, potrafisz milczeć? Do dzisiejszego popołudnia.

- Przypuszczam, że tak.

- Nelson ma awansować na członka gabinetu. Zostanie ministrem spraw wewnętrznych. - Cienkie brwi znów się poruszyły, żółte oczy pozostały jednak nieruchome. Ich spojrzenie wyprowadzało człowieka z równowagi. - Nie biegnij z tym do swojego kumpla Franklina.

- Trudno by mi było, bo nie jest moim kumplem. A jeśli chodzi o pokojowe rozwiązanie... czy nie sądzisz, że dobrym wstępem byłoby zdemontowanie systemu więziennego budowanego na Black Is-land?

Noel nie wytrzymał.

- Niech cię diabli! Próbujesz zniszczyć coś, co tworzyliśmy przez długie miesiące! - Poderwał się na równe nogi, ale przed wyjściem z baru nie zapomniał dopić trzeciej szklaneczki whisky. - Dziś po południu mój brat zostanie ministrem! Dzięki mnie zostaniesz pierwszym więźniem na Black Island, ty... ty społeczny sabotażysto.

Wyskoczył zza stolika, podbiegł do drzwi; mimo sporej ilości wypitego alkoholu poruszał się bardzo zręcznie. W połowie drogi zawrócił, rzucił na stolik dwudziestofuntowy banknot. Wychodząc, omal nie przewrócił przerażonego kelnera.

- Coś go chyba zdenerwowało - powiedział Newman, uśmiecha jąc się beztrudnie. Ale do zaparkowanego nieco dalej samochodu szedł głęboko zamyślony.

Rozdział 35

Nield czekał na Bentona na Whitehall, niedaleko biura Konspiracji. Podszedł do Bentona Macombera tuż przy schodach wyjściowych prowadzących na boczną uliczkę. Spodziewał się wyraźnej wrogości i reakcja Bentona go zaskoczyła.

- Benton Macomber? - spytał.

- Tak. Czego pan sobie życzy?

- Pete Nield, SIS. - Otworzył portfelik z legitymacją. - Chciałbym chwilę porozmawiać. Szukam mordercy Violi Vander-Browne i jej siostry, Mariny.

Benton Macomber wyglądał na jakieś czterdzieści parę lat. Był doskonale zbudowany, miał bardzo szerokie ramiona i kiedy stał prosto, sprawiał takie wrażenie, jakby się garbił. Na kościstej, rumianej twarzy o bystrych oczach i pełnych, zmysłowych ustach nie widać było śladu zarostu. Z trudem wstrzymywana energia wręcz od niego biła.

- Właśnie wybierałem się na szybki lunch - powiedział uprzejmie. - Kanapka i drink. Po tej stronie Victoria Street jest sympatyczna winiarnia. Wkrótce zrobi się w niej tłok, ale teraz powinno tam być cicho i spokojnie. Proszę ze mną.

Szedł szybko, długimi krokami. Pete, niższy od niego, prawie biegł, by dotrzymać mu kroku. Facet ma niezłą kondycję, pomyślał.

Weszli do winiarni. Zajęli stolik, Benton zamówił szkocką dla nich obu. Rozmowę zaczęli dopiero po pierwszym łyku.

- Piję niewiele, w odróżnieniu od Nelsona. - Benton uśmiechnął się przyjaźnie.

- Nie mam jego zdolności do myślenia i działania po alkoholu. - Spojrzał na podsunętą mu kartkę z datami obu morderstw. - Co to takiego?

- Pomyślałem, że mogą coś dla pana znaczyć.

- Tego dnia zgwałcono i zamordowano Violę Vander-Browne, a tego jej siostrę, Marinę.

Nield drgnął. Czegoś innego spodziewał się po rozmowie z tym mężczyzną, zachowującym się w dodatku jak sympatyczny wujek. Ale pytał dalej.

- Co pan wówczas robił? Między jedenastą wieczorem a trzecią nad ranem? Ma pan dobrą pamięć - dodał tytułem zachęty.

- Doskonałą. Doprawdy doskonałą. Może się z nią urodziłem, może ją odziedziczyłem, kto wie? Ale kilka godzin w dwa różne dni to nieco za trudne nawet dla mnie.

Benton wyciągnął z kieszeni notes, a z teczki okulary bez oprawek. Włożył je, zerknął na rozmówcę, do notesu i znów na niego. Nielda przeszył dreszcz. Okulary zmieniły Bentina w innego człowieka. Przeszywające spojrzenie zielonych oczu czyniło go więcej niż groźnym.

- Wieczór w dniu śmierci Violi spędziłem w mieszkaniu, które wynajmuję w starych przerobionych stajniach niedaleko Mayfair. Z pewną dziewczyną, Patsy. Wyszła o wpół do jedenastej. Zmęczyła mnie. - Uśmiechnął się dziwnie. - Położyłem się i spałem do rana. Obawiam się, że to niedostateczne alibi, panie Nield.

- Co dalej?

- W dniu śmierci Mariny wieczór i noc spędziłem w moim mieszkaniu w Mayfair. Sam. O alibi nie ma nawet co mówić. - Benton zdjął okulary, zmienił się w normalnego faceta. - Byłbym bardzo wdzięczny, gdyby nie wspominał pan nikomu o Patsy, a przynajmniej nie wymieniał jej imienia. Rozwodzę się z żoną, która w tej chwili jest u swego przyjaciela w Kanadzie.

- Nie wspomnę o niej... chyba że okaże się to konieczne. Musiałem zadać panu te pytania. Figuruje pan na liście podejrzanych Tweeda.

- Więc proszę powiedzieć panu Tweedowi, że niestety nie może skreślić mnie z tej listy. - Benton uśmiechnął się uprzejmie, wypił niewielki łyk whisky. Nield opróżnił szklaneczkę. Nie potrafił zapomnieć o okularach. Który z tych dwóch ludzi był prawdziwy? - Jak pan myśli, kto zabił te kobiety?

Pytanie było wręcz zdumiewająco bezczelne. Facet musiał się domyślić, że na liście podejrzanych jest cała Konspiracja. Pete szybko zebrał myśli, spojrzał przeciwnikowi wprost w oczy.

- Ktoś posiadający wielką władzę - powiedział spokojnie. - Ktoś mieszkający w Londynie. Ktoś, kogo Tweed zidentyfikuje w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin.

- Ach tak? - Teraz Benton się zdumiał. - Jest pan bardzo pewny siebie...

- Ktoś... - Nield nie dał sobie przerwać - ...kto zostawił trop na miejscu przestępstwa.

Benton Macomber poprosił o rachunek, zapłacił i natychmiast wstał. Stracił humor, kąciki ust mu opadły, w niczym nie przypominał już dobrego wujka. Wyszedł szybko, bez pożegnania, nawet nie obejrzał się za siebie.

Pete Nield się uśmiechnął. Zamówił drugą kanapkę. Nadszarpnął zasłonę kompetencji i niewinności, za którą Konspiracja kryła się przed światem.

Rozdział 36

Paula wróciła z krótkiej podróży za miasto. Zaparkowała na miejscu opuszczonym przez samochód biznesmena w anonimowym czarnym garniturze, mundurze pracowników zatrudnionych w City.

Skręciła w boczną uliczkę, niemal następując na pięty Bentono-wi, który najwyraźniej bardzo się spieszył. Powiedział coś krótko do domofonu, drzwi uniosły się do góry. Weszła za nim na ruchome schody; był tak zajęty, że nic nie zauważył. Paula niosła pod pachą dwa starannie złożone egzemplarze „Daily Nation” z różnych wydań.

Za Bentonem weszła do prywatnego pokoju Konspiracji. Przy trójkątnym stole siedziało dwóch mężczyzn. Trzeci bok był wolny.

Na widok Pauli Nelson poderwał się na równe nogi.

- Tu nie wolno wchodzić!

- Chciałam ci tylko pogratulować. - Dziewczyna uśmiechnęła się promiennie.

Wyjęła wydanie specjalne gazety z wielkim tytułem na pierwszej stronie:

NELSON MACOMBER MINISTREM SPRAW WEWNĘTRZNYCH. - A poza tym

- dodała, idąc w stronę drzwi prowadzących do drugiego pokoju - panna Partridge chciała mi coś powiedzieć.

Nim Nelson zdołał ją złapać, zamknęła za sobą wewnętrzne drzwi. Coral Flenton

wstała na jej powitanie, uśmiechając się zapraszająco. Podniosła rękę, zatańczyła

w miejscu i zaśpiewała, udając głos Louisa Armstronga: „It's a wonderful world”.

Papuga stała nieco dalej z założonymi na piersi ramionami. Była wściekła. Na widok Pauli wściekła się jeszcze bardziej.

- Zamknij się! - wrzasnęła na Coral. - Albo przestaniesz skrzeczeć, albo sama ci zamknę głowę!

- Nie zaatakujesz mnie przy świadkach. - Coral podniosła z biurka ciężką linijkę leżącą obok gazety informującej o mianowaniu nowego ministra.

- Uduszę cię! - Papuga straciła panowanie nad sobą.

- Nikogo nie udusisz - powiedział ktoś cicho, lecz rozkazującym tonem.

Do pokoju wszedł Nelson, pewnie zaalarmowany wrzaskami Papugi, która na jego widok zamarła z otwartymi ustami. Mijając ją, powiedział:

- Nie waż się wyjść stąd, póki nie wrócę.

Podszedł do Pauli. Zachowywał się stanowczo, choć spokojnie. Nie zwalniając, chwycił ją za ramię.

- To nie miejsce dla pani, panno Grey - wycodził. - Proszę, by wyszła pani tylnymi drzwiami. I nie wracała.

Poprowadził ją w stronę wyjścia, nadal zaciskając dłoń na jej ramieniu. Drugą ręką pociągnął za ukrytą dźwignię. Paula zareagowała dopiero wówczas, gdy otwarły się stalowe drzwi.

- Puść mnie! To boli!

Nie puścił, więc czubkiem lewego buta mocno kopnęła go w gołeń. Nelson skrzywił się, jęknął z bólu i wreszcie ją uwolnił. Zeszła na ulicę po metalowych stopniach.

- Panno Grey! - odezwał się Nelson z góry, na odmianę przyjaźnie.

- O co chodzi?

- Pragnąłem tylko uspokoić sytuację i w pośpiechu popełniłem niewybaczalny błąd. Chwyciłem za ramię nie tę kobietę.

Uśmiechał się życzliwie. Pomachał jej nawet ręką, żeby podkreślić zmianę nastroju. Paula zmierzyła go gniewnym spojrzeniem. Nie miała zamiaru nabrać się na słodkie słówka.

- Może lepiej będzie, jeśli nauczysz się powściągać swój temperament, nim zasiądziesz na ministerialnym fotelu.
Odwróciła się i odeszła, nie oglądając się za siebie. Nie zauważyła wściekłego gniewu, jaki błysnął w niebieskich oczach Nelsona Macombera. Usłyszała trzaśnięcie stalowych drzwi. Przystanąła, oparła się o ścianę. Wybrała złe obuwie, no i podczas wycieczki za miasto musiała sporo maszerować.
Przeszła alejką i skręciła w uliczkę wychodzącą na Whitehall. Nagle się zatrzymała. Do wejścia do siedziby Konspiracji zbliżał się nie kto inny, tylko Tweed we własnej osobie.

Rozdział 37

Co tu robisz? - spytała Paula. - Jak mówiłem wcześniej, chcę porozmawiać z Nelsonem Macomberem.

Tweed zamierzał powiedzieć coś jeszcze, ale umilkł, słysząc, jak otwierają się stalowe drzwi. Na ulicę wyszedł Nelson w czarnym garniturze, z kwiatem w butonierce. U góry ruchomych schodów stali pracownicy, głośno bijąc mu brawo. Nelson uśmiechnął się szeroko, pomachał do nich ręką, spojrzał na Tweeda.

- Usłyszałem twój głos przez domofon. Właśnie wychodzę. Cze kają na mnie. Tam.

Wskazał wylot alejki. Na Whitehall przy długiej czarnej limuzynie stał na baczność umundurowany kierowca.

- Więc chyba pora na gratulacje - uśmiechnął się Tweed.

- Mój drogi przyjacielu! - Nelson objął go, przytulił. - Jakże się cieszę perspektywą współpracy właśnie z tobą! - Paulę obdarzył promiennym uśmiechem. - No i oczywiście z jakże atrakcyjną i jakże kompetentną Paulą!

Paula cofnęła się o krok; nie miała najmniejszego zamiaru dać się przytulać. Facet był potężny; sama myśl o tym, że znajdzie się na jego łasce i niełasce, wydała się jej co najmniej nieprzyjemna.

- No cóż... - Tweed był nadal uosobieniem pogody ducha i dobre go samopoczucia. - Masz teraz tylko dla siebie parę naprawdę do brych nagłówków. Wyjął spod pachy egzemplarz gazety. Jeden z dwóch, które miał przy sobie. Otworzył go, podsunął Nelsonowi pod oczy. Wielki nagłówek oznajmiał o mianowaniu nowego ministra obrony. Nelson przyjrzał mu się, jakby widział go po raz pierwszy.

- Mocno przesadzili - powiedział, uśmiechając się z wyższością.

- W tej sprawie nie mam zdecydowanej opinii. - Tweed nie tracił panowania nad sobą. - Szkoda tylko, że następna wiadomość okazała się znacznie bardziej sensacyjna.

Rzeczywiście, nagłówek drugiego wydania był jeszcze większy i jeszcze bardziej krzyczący. Tekst napisał oczywiście Drew Franklin.

WIĘZIENIA I SALE TORTUR NA BLACK ISLAND PŁONĄ PO WYBUCHU

Paula uważnie obserwowała Nelsona. Radosne zadowolenie znikło z jego twarzy. Znieruchomiał, przebiegł oczami po tekście. Jego uwagę przykuł fragment opisujący „wyrzucone w powietrze rozszarpane zwłoki Słowaków” i kolejny: „straszne izby tortur w stylu KGB, przygotowane z myślą o tzw. sabotażystach społecznych, czyli dla każdego, kto ośmieli się nie zgodzić z rządem”.

- Przecież to... - Musiał odchrząknąć. - Przecież to jawny nonsens!
 - Są i zdjęcia - zwrócił mu uwagę Tweed.
 - To twoja robota!
 - Nie wygłupiaj się... niech się pan nie wygłupia, panie ministrze. Drew Franklin ma kontakty wszędzie.
- Nelson zdołał się już opanować.
- Samochód na mnie czeka. Zabieraj tę swoją... szmatę.
- Ale drugą „szmatę”, czyli „Daily Nation” z tekstem o swym awansie, zabrał ze sobą. Słyszeli, jak sztorcuje kierowcę:
- Następnym razem masz otworzyć tylne drzwiczki, gdy tylko mnie zobaczysz!
 - A my wracamy na Park Crescent - powiedział cicho Tweed.
- Dowiemy się, co udało się zdziałać innym.
- Byłam w Walkhampton, w Midlands. Papuga spędziła tam dzieciństwo. Wyjechała jako nastolatka.
 - Poczekaj z relacją, aż spotkamy się wszyscy.
- Wlekli się w korku; zdaniem Pauli wyglądało to tak, jakby o tej godzinie w Londynie zgromadziły się wszystkie samochody świata. Nie odzywała się. Niemal słyszała, jak intensywnie Tweed myśli.
- To on przerwał panującą w samochodzie ciszę.
- Mam nadzieję, że ktoś, z kimś rozmawialiśmy, popełnił jakiś błąd. Ale nie stawiałbym na to fortuny. - Westchnął. - Jeśli Saafeld ma rację, zostało nam bardzo niewiele czasu.
- Kiedy przyjechali na Park Crescent, zespół był już na miejscu. Pierwszy o swym locie do Peckham Mallet opowiedział Marler, ku wielkiemu niezadowoleniu Moniki, która zdążyła już spisać raport.
- A więc bomba wybuchła w szczerym polu? - upewnił się Tweed.
- Dobra robota, Harry. Przynajmniej ten jeden problem mamy z głowy. Teraz proszę o relacje z rozmów, które odbyliście z członka mi Konspiracji.
- Wysłuchał swych ludzi uważnie, Paula miała jednak wrażenie, że myśli o czymś innym. Najbardziej zainteresowała go chyba relacja Nielda.
- Benton to dziwny człowiek - rzekł.
 - Chyba nie powiedziałaś nam wszystkiego - zauważyła Paula.
 - Nie powiedziałem. Spisaliście się doskonale, ale nadal nie wiem, kto może być mordercą. Mam zamiar zaproponować zupełnie nowe podejście do sprawy. Nie widzę innej możliwości, brakuje nam czasu. - Przerwał. - No dobrze. Na chwilę zapomnijmy o tym, kto może być mordercą. Szukajmy potencjalnej ofiary.
- Zaskoczył tym stwierdzeniem wszystkich. Wymienili między sobą zdumione spojrzenia. Paula nie pojmowała, do czego szef prowadzi.
- Nim zajmiemy się następnymi sprawami - odezwała się - chcę wam powiedzieć, czego dowiedziałam się o Papudze w Walkhampton. Jako mała dziewczynka nie była tam szczególnie popularna. Dlaczego? Wiedziała, że jest wyjątkowo inteligentna, i nikomu nie pozwalała o tym zapomnieć. Po podstawówce poszła do gimnazjum i zawsze była prymuską. Aha, byłabym zapomniała. Jej ojciec miał sklep. Rzeźniczy.
 - Rzeźnik! - krzyknął Newman.

- Kolejna ofiara - powtórzył Tweed z naciskiem. - Gdybyśmy wiedzieli, kto będzie kolejną ofiarą, moglibyśmy obstawić jej dom i czekać, aż morderca... lub morderczyni pojawi się z wielką torbą albo walizką...
- Teraz rozumiem! - ucieszyła się Paula. - Inne podejście. Tylko nie wiem, kto ma być następną ofiarą.
- Ależ oczywiście, że Papuga - prychnął Tweed. - Pracuje w pokoju, który sąsiaduje z kwaterą główną Konspiracji. To ona miała największą szansę, by poznać ich plany. Jest dla nich niebezpieczna. Jeśli zginie jak Viola i Marina, nikt nie powiąże jej śmierci z informacjami o Konspiracji.
- Chyba masz rację - przytaknął Newman.
- To jeszcze nie wszystko. Wiemy, gdzie mieszka. Przy bocznej uliczce w Hammersmith. Przebierzemy się, by nie rzucać się w oczy w tej okolicy. Do komunikacji użyjemy telefonów komórkowych.
- Mam dobry pomysł - wtrącił Harry. - O której zaczynamy?
- Przed dziesiątą wieczorem.
- No to w porządku. Skontaktowałem się z kumplem taksówkarzem. Jest mi winien to i owo. Mogę pojechać po okolicy jego taksówką. Może nawet podwozie nas na miejsce jako pasażerów, jedno po drugim.
- Doskonały pomysł - przytaknął Tweed.
- A ja będę sprzątał ulicę - zaproponował Newman. - Sprzątacze często pracują w nocy. W dzień jest taki ruch...

Paula ziewnęła szeroko, już po raz drugi. Spojrzała na Tweeda, który przyglądał się jej uważnie. Wstała, przeciągnęła się.

- Mam nadzieję, że poradzicie sobie beze mnie - powiedziała, wstrzymując kolejne ziewnięcie. - Zapracowałam się prawie na śmierć. Co za okropne miasto.
- Nie możesz sama pojechać do domu - zaprotestował Newman.
- Wiem, wiem, nie ma kto mnie chronić. Zostanę tu, z Monicą. Aż do waszego powrotu.
- Zgoda. - Tweed skinął głową. - Pete, idźcie z Monicą do sklepu. Przynieście coś do jedzenia.
- Dzięki.

Paula opadła na krzesło, zamknęła oczy. Wiedziała, że tym razem Tweed popełnia błąd.

Rozdział 38

Minister Nelson Macomber czeka na dole. Pragnie się z panem zobaczyć.

Tweed dobrze ukrył zaskoczenie. Reszta zespołu, z wyjątkiem Pauli, skorzystała z jego rady i udała się na kolację. Czekala ich wszystkich długa noc pod domem Papugi.

- Proszę powiedzieć panu ministrowi, że witam go serdecznie i jestem na jego usługi - powiedział, wstając.

Podszedł do drzwi przywitać gościa. Było wpół do dziewiątej, zapadł zmrok. Monica przekazała informację George'owi, podbiegła do okna, odsunęła zasłonę. Przed wejściem do budynku, w którym mieściło się ich biuro, stała długa czarna limuzyna, a obok niej, na chodniku, szofer w uniformie. Tweed otworzył drzwi. Usłyszeli ciężkie kroki wbiegającego po schodach gościa.

- Dzień dobry, panie ministrze. - Tweed uśmiechnął się, wyciągnął rękę.

Nelson uściśnął ją mocno. Uśmiechał się swym słynnym uśmiechem, który zawsze miał na podorędziu, gdy podejrzewał, że w jego najbliższym otoczeniu kręci się jakiś dziennikarz. Paula wstała zza biurka, w dłoni trzymała segregator.

- Pozwolę sobie zostawić panów samych - powiedziała. - Będziecie mogli spokojnie porozmawiać.

- Nie, nie, proszę zostać - zaprotestował Nelson. Puścił rękę Tweeda, gestem popfosił ją, by nie wychodziła. - Jesteście przecież najważniejszymi ludźmi w tej organizacji. Paulo, z pewnością zechcesz wysłuchać, co mam do powiedzenia.

Już zdążył zmienić garnitur na niebieski w paski. Wyglądał jeszcze potężniej niż zwykle. Usiadł na krześle przy biurku Tweeda, który zajął miejsce naprzeciw niego, w swym obrotowym fotelu. Minister uprzejmie odmówił wypicia kawy, herbaty i w ogóle czegokolwiek. Nie przestawał się uśmiechać.

- Jest pan pierwszą osobą, z którą spotykam się jako minister, panie Tweed.

- W pełni to doceniani, sir.

Paula pomyślała, że chyba nigdy nie widziała szefa spokojniejszego i bardziej rozluźnionego. Siedział z łokciami opartymi o blat biurka, brodę oparł na splecionych dłoniach. Wpatrywał się w twarz gościa nieruchomym wzrokiem.

- Ponieważ nadal będziemy blisko ze sobą współpracować, proponuję, byśmy nie przestali mówić sobie po imieniu. - Nelson zerknął na Paulę; skinęła głową, ale się nie uśmiechała. - Proponuję, byśmy teraz przeszli wprost do sedna problemu. Moralna struktura Wielkiej Brytanii leży w gruzach. Wszystko wolno. W telewizji oglądamy filmy pełne seksu pokazywanego bez żadnych zahamowań. Przyznaję, nadawane są głównie w nocy, ale nie zawsze, nie zawsze. A nawet w nocy te świństwa nie mogą trafić do mojego domu. Trzeba ich zakazywać! Ileż dzieci w wieku, powiedzmy, dwunastu lat ogląda w sekrecie tę ohydę, podczas gdy rodzice urządzają szalone zabawy? Zgadzasz się ze mną?

- Oczywiście. Nie sposób się nie zgodzić.

- Trucizna niemoralności grozi całemu naszemu państwu. Nocami w Londynie nietrudno trafić na parę, która robi to na ulicy, przy ścianie domu. To przecież Sodoma i Gomora naszych czasów! - Nelson mówił coraz głośniejszym, z fanatycznym przekonaniem. - Przyzwoite kobiety nie mogą już spokojnie chodzić po ulicach, nawet w dzień. Niektórzy sędziowie wydają łagodne wyroki na przestępców, którym praktycznie udowodniono gwałt. Tych sędziów musimy usunąć, zastąpić ludźmi twardymi i zdecydowanymi. Czy moje słowa irytują cię, Tweed?

- Jak na razie nie. W pełni się z tobą zgadzam.

- Policja aresztuje pedofilów, sądy wydają wyroki, a potem się tych zbrodniców zwalnia, bo jakiś psychiatra uznał, że są „bezpieczni”. A oni dokonują tego samego przestępstwa kilka dni, najwyżej parę tygodni po zwolnieniu. Jeśli raz popełnili to przestępstwo, powinni pozostać za kratkami na długie lata, być może dożywotnio.

- Chcesz wyeliminować zgniliznę moralną - powiedział Tweed z namysłem. - Jak?

- Po pierwsze, potrzeba nam setek doskonale przygotowanych funkcjonariuszy, mężczyzn i kobiet patrolujących ulice zwyczajnie, pieszo. Muszą być widoczni, wpływać na poczucie bezpieczeństwa obywateli. W dzień i w nocy. Wiele osób trzeba będzie poddać treningowi... w sensie moralnym. Musimy zmienić całą

moralną atmosferę tego kraju, przywrócić mu uczciwość i przyzwoitość. Telewizję powinni kontrolować nowi ludzie. To bardzo trudne zadanie, zgoda, ale będziemy walczyć, póki nie wydostaniemy się z tego dołka. Czy i w tym się zgadzamy, sir?

- Całkowicie, panie ministrze. Mógłby pan powiedzieć teraz coś o nowej Służbie Bezpieczeństwa Państwowego?

Tweed nie zmienił tonu. Nic nie świadczyło o tym, że z najwyższym napięciem oczekuje odpowiedzi.

- Może w tej sprawie nieco przesadziliśmy - przyznał Nelson.

Uspokajamy sytuację. Może zarzucimy ten pomysł. Wcale tego nie wykluczam.

- Co z Noelem? - przycisnął Tweed.

- Dobre pytanie. Noel będzie maszerował w nogę. Jeśli nie, to się go pozbędziemy.

Nelson spojrzął na zegarek. Wstał. Uścisnął Pauli dłoń.

- Obawiam się, że już jestem spóźniony na kolejne spotkanie, w którym niestety muszę uczestniczyć. Dziękuję wam za to, że zde cydowaliście się mnie wysłuchać. Z pewnością pozostaniemy w bliskim kontakcie.

Z tymi słowami wyszedł.

- No i jak, Paulo? Co o tym myślisz?

- Muszę przyznać, że mnie zaskoczył. Bardzo dobitnie wyraził poglądy, które są przecież twoimi poglądami. Trzeba jednak wziąć pod uwagę, że jest politykiem. Po prostu nie wiem.

Ledwie skończyła mówić, kiedy otworzyły się drzwi i do pokoju weszli członkowie zespołu w komplecie, poprzedzani przez Newmana dźwigającego spore kartonowe pudło.

- Pora na wyprawę do Hammersmith - powiedział Newman.

My już zjedliśmy, teraz pora na was. Będę prowadził, może cie zjeść w samochodzie. Kanapki, mnóstwo owoców, kawa. W po rządku?

- Oczywiście - uśmiechnął się Tweed. - Dziękujemy.

- Fajnie jest. - Bob promieniał pewnością siebie. - Wystarczy odrobina szczęścia i dziś rozwiążemy problem. Złapiemy mordercę.

- To nie wszystko - zauważył Tweed. - Jest jeszcze Radek, dowódca Słowaków. Skontaktowałem się z Interpolem. Poszukują go cztery kraje europejskie. Morderca do wynajęcia. Bardzo niebezpieczny. Dumny z tego, że zawsze żąda bardzo wysokiego honorarium. Do tej pory wywiązywał się ze wszystkich zleceń.

- Prawdopodobnie już jest za granicą.

- Nie sądzę - rzekł poważnie Tweed. - Jestem pewien, że nie wyjechał z Londynu. Poluje tutaj, a ja jestem jego celem.

- Więc będziemy mieli oczy otwarte. Jesteśmy gotowi do uderzenia. Powiedz tylko kiedy.

- Robię za taksówkarza - oznajmił Harry. - Taksówka już czeka. Ty jesteś pasażerem.

- I pewnie zdrowo mi policzysz - zażartował Tweed z nadzieją, że rozładuje atmosferę. - Leć na dół.

- Nie zapomnij zabrać ze sobą kolacji - powiedział Newman, wychodząc z biura tuż przed Harrym i Marlerem.

Paula ukryła dłonie pod blatem biurka. Skrzyżowała palce. Chciała, by Tweed miał rację, ale nadal nie zgadzała się z jego decyzją.

Gdy Newman wyszedł na Crescent, zobaczył parę kroków dalej motocyklistę w kombinezonie i kasku, pochylonego nad motorem. Na jego widok mężczyzna podniósł osłonę kasku na kilka centymetrów.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam - powiedział. - Muszę sprawdzić, co nawaliło. A parkowanie na głównej drodze jest niebezpieczne.

- Nie ma sprawy. Powodzenia.

Motocyklista pomachał do niego i wrócił do majstrowania przy silniku.

Newman podszedł do swego samochodu, Harry zajął miejsce za kierownicą taksówki. Było ciemno i zimno, typowa kwietniowa noc. Mrok rozjaśniała tylko uliczna lampa stojąca między wejściem do siedziby SIS a miejscem, w którym stał motocykl.

Przez okno od strony kierowcy samochodu zaparkowanego przed wejściem do budynku Bob dostrzegł schodzącego po schodach Nielda niosącego, podobnie jak inni członkowie zespołu, standardową „torbę na narzędzia”, wypełnioną bronią. W zewnętrznym lusterku widział motocyklistę, który ciągle nie mógł dojść do ładu ze swą maszyną. Czekali już tylko na Tweeda.

„Parkowanie na głównej drodze”. Większość ludzi powiedziałaby przecież „na głównej ulicy”. Newman trzymał na kolanach Smith & Wesson, teraz sprawdził go, jak zwykle przed akcją. Tweed z pudełkiem jedzenia powoli schodził po schodach.

Kątem oka Newman dostrzegł jakiś ruch. Motocyklista zrzucił kask z głowy. Stał wyprostowany na lekko rozstawionych nogach. Wyciągnął wyprostowane ręce, w prawej dłoni trzymał pistolet. Mierzył w Tweeda.

Newman wystrzelił przez otwarte okno. Motocyklista opuścił ręce, zatoczył się, upadł na chodnik. Leżał nieruchomo.

Tweed, z waltherem w prawym ręku i pudełkiem na jedzenie w lewym, podbiegł do ciała. Pochylił się, sprawdził postrzelonemu puls, wyprostował się powoli. Bob już podbiegł.

- Trup, choć jeszcze nie zimny - powiedział Tweed spokojnie.

- Dzięki. Uratowałeś mi życie. Zachowałem się wyjątkowo nie ostrożnie. Dostrzegłem go, ale wyciągnąłem broń o dwie sekundy za późno. To Radek.

Na schody wybiegł George z pistoletem w ręku. Tweed odruchowo podniósł głowę. Paula przyglądała się im przez okno. Uśmiechnął się, pomachał jej ręką. George'owi wydał krótkie polecenie.

- Skontaktuj się z inspektorem Buchananem. Powiedz mu, że ktoś próbował mnie zabić, kiedy wychodziłem z biura. Na szczęście Newman, który opuścił biuro przede mną, strzelił pierwszy i wyeliminował zamachowca, Słowaka o nazwisku Radek. Ani słowa do nadinspektora Hammera. Wolno ci rozmawiać tylko z Buchananem.

- Nic ci się nie stało? - Paula zbiegła po schodach i wypadła na dwór, drząc na całym ciele, bynajmniej nie z chłodu.

- Przykryj czymś zwłoki Radka. - Tweed dalej wydawał polecenia George'owi. - Ostrożnie, nie wolno ich poruszyć. Kiedy zjawi się Buchanan, przekażcie mu, że musiałem wyjechać w pilnej sprawie dotyczącej śledztwa. Nie wiecie gdzie. No,

zmarnowaliśmy już wystarczająco wiele czasu. Na razie.

George przykrył ciało i na polecenie Pauli stanął w cieniu, pilnując, by nikt trupa nie ruszył. Dziewczyna zadzwoniła na numer telefonu komórkowego Buchanana.

- Rozumiem, oczywiście - powiedział policjant. - Jestem na East Endzie. Już wyjeżdżam.

Paula chwyciła wiatrówkę. Poinformowała krótko Monice o tym, co zaszło.

- Jadę z zespołem. Newman na mnie czeka - skłamała.

Zerknęła na zegarek. Już była spóźniona. Zbiegła po schodach.

Zatrzymała się w korytarzu, sprawdziła, czy jej browning jest załadowany

i zabezpieczony, czy wszystko w porządku z berettą, którą nosiła w kaburze na nodze. George'owi też powiedziała, że jedzie z zespołem. Wskoczyła za kierownicę. O tej porze na Park Crescent nie zgromadzi się tłum gapiów pragnących sprawdzić, co się stało, wszyscy wrócili już do domu.

Ruszyła opustoszałymi ulicami. Jechała na Covent Garden.

Rozdział 39

Po dziewiątej zaparkowała na ulicy, przy której mieszkała Coral. Mrok bezksiężycowej nocy rozpraszało łagodne, przyjemne światło z rzadka rozstawionych latarni. Ludzie w parach spacerowali, rozmawiali, tulili się i całowali.

Okno na pierwszym piętrze nad wejściem, wyposażone w matową szybę, lśniło słabym światłem, ciemnoróżowym, niemal czerwonym. Paula zadrżała. Korzystając z klucza, który dała jej Coral, otworzyła drzwi wejściowe. Zawiasy zgrzytnęły, co bardzo ją zaskoczyło. Weszła do szerokiego korytarza oświetlonego wiszącą u sufitu lampą.

Powoli zamknęła za sobą drzwi, uważając, by zawiasy nie skrzypnęły znowu. Spóźniłam się, pomyślała. Coral kąpie się w łazience z oknem z matowego szkła. Dzięki butom na gumowej podeszwie mogła niemal bezszelestnie wejść po schodach na piętro. Drzwi do pokoju dziennego były otwarte. Zajrzała do środka, po czym weszła do sypialni. Stało w niej niskie podwójne łóżko, wzniesione zaledwie kilkanaście centymetrów nad drewniany parkiet, przykryty tu i ówdzie dywanikami.

Poruszała się powoli, bardzo ostrożnie. Patrzyła na półotwarte drzwi w przeciwległej ścianie. Słyszała już szum prysznica. Podeszła do szafy-garderoby. Uznała, że gospodyni nie miałaby powodu tu zaglądać... chyba że zamierzała gdzieś wyjść. A to nie wydawało się prawdopodobne, bo w wiaderku chłodził się szampan, na stoliku stały dwa kieliszki.

Powoli, ostrożnie otworzyła drzwi szafy. Stawiały opór i nagle puściły z głośnym skrzypnięciem. Zerknęła w stronę łazienki, ale szum prysznica zagłuszał wszystkie inne dźwięki. Przez matowe szkło dostrzegła nagą Coral. Szybko odwróciła wzrok.

Ukryła się w szafie, pomiędzy ubraniami. Zamknęła drzwi. Prysznic ucichł nagle. Coral rozmawiała przez telefon komórkowy. Mówiła cichym, podnieconym głosem.

- Hej, cześć! Cieszę się, że cię słyszę. O co chodzi? -1 po chwili:

- Jasne, będę gotowa. Zdążę. - Zachichotała. - Szczerze mówiąc, je stem gotowa

już teraz.

Znowu milczała chwilę.

- Nie, jeszcze nie. Jesteś niegrzeczny. Przerwa.

- Nie mówiłam, że cię Kocham, tylko że bardzo cię lubię, a to różnica.

Kolejna przerwa.

- W porządku. Spiesz się. Czekam. - Znów ten śmiech. - Nigdzie się nie wybieram. Pa.

Paula zamarła. Jeśli dziewczyna wejdzie teraz do garderoby?

Przypomniała sobie, że na krześle w sypialni widziała schludnie złożoną bieliznę.

I suknię przerzuconą przez oparcie drugiego krzesła.

Drzwi szafy były masywne, ale brzęk szła usłyszała przez nie wyraźnie. Coral nie ubierała się na przyjęcie gościa, o nie. Piła szampana. Nago!

Paula żałowała, że nie zdjęła wiatrówki; w szafie zrobiło się bardzo ciepło.

Uznała, że nie warto ryzykować. Mogła przecież trącić wieszak, narobić hałasu...

Postanowiła czekać.

Rozdział 40

Tweed rozsiadł się na tylnym siedzeniu taksówki. Studiował na planie niasta okolicę mieszkania Papugi. Zmieniał pozycje, w których 10zstawił zespół Newman.

- Uprzedziłem ich, że będziesz się do wszystkiego wtrącał, szefie - rzucił przez ramię Harry.

- Daleko jeszcze?

- Najwyżej pięć minut. Zatrzymamy się na bocznej uliczce, niedaleko mieszkania Papugi. Już jesteśmy w Hammersmith.

- Objedź okolicę bardzo powoli. Chcę sprawdzić, co robią nasi ludzie.

- O, podjeżdżamy pod właściwy dom.

Tweed wyrzwał przez okno. Mieszkanie na pierwszym piętrze wychodziło na skrzyżowanie głównej ulicy z bocznym zaułkiem. Podwójne okno od strony głównej ulicy błyszczało światłem. Przez chwilę widział boczne okienko, także rozjaśnione świecącą wewnątrz lampą. Papuga z pewnością była w domu.

Przygarbiony, obdarty facet leniwie zamiatał chodnik wielką miotłą. Był wysoki, kapelusz z szerokim rondem zsunął na czoło. Niemal nie sposób było rozpoznać w nim Newmana.

Harry przejechał boczną uliczkę powolutku, na półsprzęgle. Tweed dostrzegł opierającego się o ścianę naprzeciw wejścia do domu Papugi pijaczka, kurczowo ściskającego szyjkę butelki piwa.

- Pete Nield - rzekł Harry z uśmiechem.

- A Marler?

- Ani śladu, co? Jak myślisz, dlaczego nazywamy go niewidzialnym człowiekiem?

- Muszę wiedzieć, gdzie jest. Znajdź go. To rozkaz!

- Tak jest, szefie. Ukrył się w cieniu pod domem stojącym tuż obok domu Papugi. Zauważy każdego, kto próbowałby wejść do środka. Ciekawe, jakim cudem intruz czy gość mógłby przedrzeć się przez taką obronę.

- Dziękuję ci, Harry. Mieszkanie Papugi możemy uznać za zabezpieczone, a o to właśnie mi chodziło. Teraz pokręcisz się po okolicy, jakbyś szukał klienta.

Położę się na siedzeniu, więc nikt mnie nie zobaczy. Pokażę się tylko wtedy, gdyby ktoś próbował cię zatrzymać.

- Nie zatrzyma. Wygasilem koguta, co znaczy, że zjeżdżam z trasy. Proponuję, żebyś się odprężył i zjadł kolację.

Tweed dostosował się do tej dobrej rady. Zjadł kolację, popił wodą mineralną z butelki, wyglądał przez okno taksówki i myślał. Przypominał sobie szczegóły raportów, które przekazali mu współpracownicy. Rozwiązania zagadki należało szukać w ich relacjach. Podczas intensywnego przesłuchania nikt nie jest w stanie ustrzec się wpadki.

Nagle wpadł na pewien pomysł. Poprosił Harry'ego o telefon komórkowy i o to, żeby włączył górną lampkę. Z górnej kieszonki płaszcza wyjął wizytówkę, którą wsunął tam generał Macomber. Zadzwoił na jego numer domowy. Po pierwszym dzwonku słuchawkę podniosła kobieta, zapewne gospodyni.

- Dom generała Macombera. Z kim rozmawiam?

- Tu Tweed z SIS. Generał z pewnością powiedział pani, że spotkaliśmy się dziś rano...

- Oczywiście. Wiem, kim pan jest, proszę pana.

- Czy mógłbym zamienić z nim kilka słów?

- Niestety, to niemożliwe. Wczesnym popołudniem wyjechał do Londynu. Nie powiedział, kiedy wróci.

- Dziękuję. Zadzwoię jutro. Do widzenia.

Była to niepokojąca wiadomość. Generał krąży gdzieś po Londynie? Gdzie? A przede wszystkim dlaczego? Tweed przestał zaprzętać sobie głowę generałem po tym, jak Macomber wysadził w powietrze kompleks więzienny na Black Island. Czyżby popełnił błąd?

Benton. Dziwny człowiek. Trudno go było zrozumieć. Podobno godzi członków Konspiracji. Uspokaja nastroje. Czyżby? Pod koniec rozmowy z Nieldem okazał wyraźnie, że nie zawsze panuje nad sobą.

Noel. Gwałtowny temperament. Zaplanował ten złowrogi system. Czy jest nie zrównoważony? A jeśli tak, do jakiego stopnia?

Nelson. Tweed, przynajmniej do pewnego stopnia, podzielał jego poglądy na stan współczesnej Wielkiej Brytanii. Opanowany, inteligentny. Czyżby jego ostatnia wizyta była zasłoną dymną? Czyżby miała go tylko uspokoić?

Papuga. Harry zawrócił, taksówka znów zbliżała się do jej mieszkania. Nagle jasno oświetlone okna wydały się Tweedowi niepokojące. Może włączały się automatycznie? Czy Papuga rzeczywiście jest w mieszkaniu?

W jego głowie brzmiało echo piosenki Louisa Armstronga. Nie potrafił się od niej uwolnić. „What a wonderful world”. Irytujące. „Jaki cudowny jest świat”.

I nagle doznał olśnienia. Paula opowiadała mu przecież, co się działo w pokoju przylegającym do gabinetu Konspiracji. Na biurku Coral leży gazeta złożona tak, że widać krzyczący nagłówek. Dziewczyna tańczy, śpiewa piosenkę Armstronga. Papuga wrzeszczy na nią, każe się jej zamknąć...

- Harry! - krzyknął. - Daj mi komórkę!

Połączył się z Park Crescent.

- Muszę mówić z Paulą. Natychmiast - powiedział, gdy tylko Mo-nica podniosła słuchawkę.

- Nie ma jej.
- Co?! -Tweedowi nagle zrobiło się zimno.
- Wyszła jakiś czas temu. Powiedziała, że dołączy do zespołu. Ale zrobiła coś dziwnego...
- Co takiego, na litość boską?!
- Patrzyłam przez okno, jak odjeżdża. Byłam pewna, że skręci w lewo, w stronę Baker Street, ale pojechała w prawo. Nie rozumiem dlaczego...
- Dziękuję. Muszę kończyć.

Siedział w taksówce nieruchomo, zaskoczony i przerażony. Ale trwało to tylko kilka sekund. Wybierał numery z pamięci. Wszystkim członkom zespołu wydał ten sam rozkaz.

- Uwaga, niebezpieczeństwo! Odwołuję akcję! Pilne! Macie jak najszybciej przemieścić się na Covent Garden.

Rozdział 41

Zamkniętej w szafie Pauli było coraz bardziej niewygodnie. Gość Coral ciągle się nie pojawiał. Nie ośmieliła się nawet zerknąć na zegarek ze strachu, że potraci wieszak, narobi hałasu. Z tego samego powodu nie usiadła.

Nie mogła się poruszyć. Strasznie bolały ją nogi. Błogosławiła wygodne buty na gumowej podeszwie. Tylko dzięki nim od czasu do czasu ośmielała się przenosić ciężar ciała z nogi na nogę.

Zachowanie Coral bynajmniej jej nie pomagało. Z płyty CD grzmiało powtarzające się raz za razem „Włiat a wonderful world”. Paula zaczynała mieć już dość, chociaż lubiła Armstronga. Od czasu do czasu słychać było brzęk szkła; zapewne gospodyni popijała szampana, a jej coraz bardziej chciało się pić. W zamkniętej szafie było gorąco jak w piecu. Na szczęście mogła od czasu do czasu napić się wody z butelki, którą miała przy sobie. Wybierała najgłośniejszy fragment piosenki, kiedy nikt w pokoju nie miał prawa usłyszeć, że pije.

Był jeszcze jeden poważny problem. Uznała, że powinna trzymać w dłoni browninga, a tymczasem prawa dłoń zaczęła się jej pocić. Mierzenie i strzelanie z broni krótkiej, której nie sposób dobrze uchwycić, to nie najlepszy pomysł. Musiała chować pistolet do kieszeni i wycierać dłoń chusteczką. Cały czas się bała, że browning wypadnie jej z ręki, z głośnym stukiem uderzy o drewnianą podłogę.

Odpędzała senność, wbijając paznokcie w rękę. Przeszkadzało jej światło, które zapaliło się po otwarciu drzwi i nie chciało zgasnąć. Ciekawe, czy lepiej czułaby się w ciemności. Nie potrafiła rozstrzygnąć tego problemu. Właśnie dowiadywała się, jak straszną torturą może być wtrącenie więźnia do karceru, jeśli zostawi mu się zapalone światło na całą dobę.

Po raz kolejny wytarła dłoń. Zacisnęła ją na kolbie browninga. I nagle usłyszała dobiegający z korytarza głos. Nie słyszała słów, nie rozpoznała nawet, czy jest to głos męski, czy też kobiecy.

Coral wyłączyła CD. Louis Armstrong zamilkł w pół słowa. Teraz słychać ją było wyraźnie.

- Cześć. Wiem, że pada. Te swoje przeciwdeszczowe ciuchy mo żesz powiesić na kołkach w łazience. Ręcznik też tam znajdziesz. Wytrzyj się. Nie ma pośpiechu.

Paula usłyszała kroki, stuk obcasów po parkiecie. Coral mogła chodzić po mieszkaniu nago, ale o szpilkach nie zapomniała. Seksowna babka, nie ma co, pomyślała Paula wściekle.

Powoli, ostrożnie przysunęła się do drzwi szafy. Nie wątpiła, że - jeśli w mieszkaniu pojawił się morderca - na ocalenie Coral będzie miała zaledwie kilka sekund. Najważniejsze to zareagować błyskawicznie. Ale i nie wolno jej zdradzić swej obecności zbyt wcześnie. Gdyby się pospieszyła, przybysz miałby szansę odwrócić się, zbiec na dół po schodach i zniknąć w płataninie uliczek. Doskonale pamiętała, że drzwi domów, w których mieszkały Viola i Marina, morderca pozostawił otwarte.

Na schodach wyraźnie słyhać już było ciężkie kroki. Saafeld coś o tym wspominał... o płóciennych butach dużych rozmiarów, być może czymś wypchanych. Na wszelki wypadek; gdyby zdarzyło mu się na przykład wdepnąć w krew, pozostawić ślady, policja szukałaby kogoś o wielkich stopach...

- Masz ochotę się czegoś napić?

Sądząc z dobiegających do szafy dźwięków, Coral napelniała kieliszki szampanem. Pewnie stoi teraz, trzymając kieliszki...

- O mój Boże, nie, nie, nieeee...!

Kroki w sypialni i ten przeraźliwy krzyk! Krzyk nieopanowanego, zwierzęcego strachu.

Pchnęła drzwi... i nic. Zacięły się! Tylko nie to! Stuk obcasów; Coral zapewne chowa się za łóżko. Szybko, szybko! Paula uderzyła w drzwi ramieniem z całą siłą. Wybiła je z zawiasów. Wyleciała z szafy, poślizgnęła się, zdołała odzyskać równowagę. Usłyszała ohydny stuk, to Coral upadła, pchnięta przez mordercę, uderzyła tyłem głowy o podłogę.

Paula omal nie doznała szoku na widok białego upiora. Długi lekarski fartuch, chirurgiczna czapka przykrywająca głowę, na twarzy maska od oczu po podbródek. Oczy ukryte pod goglami, nieruchome, jakby martwe, w ręku wielki tasak do mięsa. I - Boże! - jak szybko działał ten ktoś! Zdażył zakneblować Coral chustą, ale nie pozbawił jej przytomności.

Zauważył Paulę. Obiegł łóżko, zaatakował ją, zamachnął się tasakiem. Nie ustąpiła ani o krok. Uniosła browninga w klasycznym policyjnym chwycie. Strzeliła raz, potem drugi. Bez żadnego widocznego skutku. Czyżby morderca włożył kamizelkę kuloodporną? Uniosła lufę, mierząc w głowę. Kolejne trzy strzały, tym razem skuteczne. Upiór w bieli zatrzymał się, stał nieruchomo przez kilka sekund, runął na podłogę, wypuszczając tasak.

I nagle w domu Coral pojawili się ludzie. Mnóstwo ludzi. Tweed, Buchanan, Newman, reszta zespołu.

Lufa browninga drżała. Tweed podszedł do Pauli, delikatnie odebrał jej pistolet, wrzucił go do torebki na dowody. Następnie pochylił się i dłonią w gumowej rękawiczce zdjął zabitemu maskę i gogle. Nelson Macomber patrzył na nich nieruchomym spojrzeniem. Twarz miał czerwoną jak zachód słońca w letni dzień.

Paula podbiegła do obezwładnionej Coral. Pomogła jej wstać, podała wiszący na oparciu krzesła szlafrok, zdjęła knebel. Nie zważając na głośne protesty, wyprowadziła ją z sypialni do pokoju dziennego, zatrzasnęła drzwi. Cierpliwie

pomogła się jej ubrać, odebrała kieliszek szampana.

- Najpierw napijesz się wody. Potem kawy.

Epilog

Cztery tygodnie później

W biurze obecni byli Tweed, Paula i Bob Newman. Przedterminowe wybory już się odbyły, co zdecydowanie poprawiło im nastrój. Rząd upadł, władzę przejęła opozycja.

- Ciekawa jestem, co spowodowało tak miażdżące zwycięstwo - powiedziała Paula. - To.

Tweed pokazał jej „Daily Nation” sprzed miesiąca. Bardzo wielkim i bardzo tłustym drukiem wyróżniono artykuł Drew Franklina.

NOWO MIANOWANY MINISTER MASOWYM MORDERCĄ

Franklin dokładnie opisał śmierć Nelsona Macombera, zabitego przez Paulę, gdy próbował porąbać tasakiem Coral Flenton. Wydarzenia te powiązane zostały oczywiście z tragicznymi zabójstwami sióstr Violi i Mariny Vander-Browne. Raport komisarza Buchanana nie pozostawiał wątpliwości: w obu wypadkach mordercą był Nelson.

- I to.

Dwa dni później w „Daily Nation” ukazał się kolejny artykuł.

„KONSPIRACJA” NELSONA MACOMBERA ZAMIERZAŁA ZMIENIĆ WIELKĄ BRYTANIĘ W PAŃSTWO POLICYJNE

Tym razem Franklin opisał ze szczegółami kompleks więzienny na Black Island, do druku trafiły też zdjęcia izb tortur. Opinia publiczna dowiedziała się przy okazji o aferze z przemytem do kraju Słowaków i zapoznała się z fotografią ich przywódcy, Radka.

Kilka dni później w tej samej gazecie ukazał się miażdżący raport Howarda, wręczony obalonemu już premierowi, oraz kopia propozycji ustawy o stworzeniu Służby Bezpieczeństwa Państwowego. Oryginał tej ustawy został zniszczony.

Newman uśmiechnął się cynicznie.

- Ciekawe, skąd Drew ma te wszystkie informacje, łącznie ze zdjęciami Pauli - rzekł z namysłem.

- Nie mam zielonego pojęcia. - Tweed z napięciem wpatrywał się w sufit.

- Wiesz, im bezczelniej kłamiesz, tym bardziej cię ten sufit interesuje.

- Obserwuję pajęczka. - Tweed spojrzął na Paulę. - Jak się czuje Coral? - spytał.

Po zlikwidowaniu Nelsona Paula zabrała Coral do swojego mieszkania. Wezwała profesora Saafelda. Lekarz przyjechał do niej natychmiast po przeprowadzeniu badań ciała. W swej diagnozie orzekł, że panna Flenton powinna dojść do siebie w prywatnej klinice.

Coral nie wytrzymała.

- Żadnych klinik, do cholery!

- Może zostać u mnie - oznajmiła Paula. - Potrafię się nią zaopiekować.

Saafeld skinął głową.

- To może nawet lepszy pomysł - przyznał. - Jest w szoku, ale to nic poważnego. Młodzi ludzie mają wielkie zdolności regeneracji. Pozostawiam ją w twych rękach, Paulo.

O ile pamięć nie myliła Pauli, Coral weszła do ich biura w tym właśnie

momencie. Szła tanecznym krokiem. Ubrana była w białą spódnicę i obcisły, również biały bezrękawnik, wspaniale kontrastujące z jej płomiennorudymi włosami. Spojrzała na Tweeda, uśmiechnęła się nerwowo.

- Mogłabym wyjechać na krótkie wakacje z Pete'em Nieldem? - spytała nieśmiało. - To wspaniały człowiek i chce mnie zabrać do luksusowego hotelu w Dorset.

- Pete praktycznie u mnie zamieszkał - zauważyła oschle Paula.

- W porządku. Daję mu dwa tygodnie wolnego.

Coral przebiegła przez pokój, rzuciła się Pauli w ramiona.

- Byłaś wspaniała, naprawdę wspaniała. Tak się mną opiekowałaś! Mam nadzieję, że pozostaniemy w kontakcie.

- Doskonale. Kiedy wrócicie, zaprosicie mnie na kolację. Założę się, że Pete czeka już na ciebie na dole, w sali recepcyjnej.

- Oczywiście. Ale nim odejdę...

Uściskała Tweeda mocno. Newman też nie unikał dowodów jej wdzięczności. Wreszcie wyszła, machając im ręką na pożegnanie.

- No i wszystko jakoś się ułożyło - powiedział do Pauli Tweed, splatając dłonie na karku. - Leżąca na biurku Coral gazeta z informacją o mianowaniu Nelsona ministrem. Taniec radości. Facet coś w sobie miał i dziewczyna wpadła. Ona miała być kolejną ofiarą, nie Papuga.

- Ja pierwsza się tego domyśliłam. A ty strasznie zwlekałeś z odsieczą.

- Wiem. Miałas rację, a ja się myliłem. Przepraszam. W przyszłości masz służbowy obowiązek zwracać mi uwagę na błędy. Nie zapomnij o tym.

- Nie zapomnę. Obiecuję, że szybko znudzą ci się moje uwagi.

Od autora

Akcja tej powieści dzieje się w niedalekiej przyszłości. Wszystkie występujące w niej postaci są wytworem wyobraźni. Nie mają żadnych związków z osobami żyjącymi, wszelkie podobieństwa są przypadkowe.

Ta sama zasada czystej wyobraźni stosuje się do opisanych miejsc, domów, hoteli i wiosek zarówno w Wielkiej Brytanii, jak i we Francji.

Colin Forbes – nie ma sobie równych!

wydawnictwo Alfabeta

Burza krwi

Tuż przed zmierzchnięciem i wyfyrtaniem królów Młocumów ciosa mianem ślepięz Brytaniję w postaću przetransmita

„Jedyny, kto nie zgodził się z decyzją regentów, jest upokorzonym kobolodziejem”

„Każdy jeden z nich – oficer brytyjskich sił specjalnych Ferrel i jego dowódca Paul Grey – musi się nie dopuścić do rezygnacji, bo to oznaczałoby koniec planów. Jednakże królom Młocumów udaje się przekonać prezydenta państwa do skierowania karnego Młody Bergmannsteinowi Potokowemu. Tymczasem Ferrel przetransmita śledztwo w sprawie brytyjskiego morderstwa – i odkrywa, że jego morderca to właśnie ten sam Młody Bergmannstein Potokowski. Nie mogąc zidentyfikować mordercy, prezydent decyduje się na odwołanie króla.”

COLIN FORBES

Colin Forbes, właściciel Brytyjskiej Młocumów, nie widać jest przetransmita – ma ich już 47, ma żonę – a także ślepiez się karmieniem. Książka napisana na 40 stronach 30 języków. Wskazuje młocumów opisaną w krótkich odstępach czasu, niezależnie w których podziałach, wskazując, gdzie zachodzą, Europie, wschodnie – zachodnie, wybrzeża Afryki, oraz wybrzeża Indii, Azji i Am.



Cena 29,90 zł

Wydawnictwo Alfabeta, Kraków
www.alfabeta.pl

